

YDZIAŁ KULTURY PREZYDIUM P. R. N.
W KOLBUSZOWEJ
TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ZABYTKAMI

BIULETYN
NR 10

1969 r.

25-LECIE

POLSKIEJ RZECZPOSPOLITEJ

LUDOWEJ

25-LECIE WOJEWÓDZTWA

RZESZOWSKIEGO

Towarzystwo Opieki nad Zabytkami im. J. Goslara w Kolbuszowej

BIULETYN NR 1-2/69
(10)

Bohaterom walk o niepodległość
Polski w II-giej wojnie światowej-
Byłym więźniom obozów hitlerowskich-
Członków Związku Bojowników o
Wolność i Demokrację

ku wspomnieniu i pamięci
owych dni

w 25-lecie Polskiej
Rzeczpospolitej Ludowej

Towarzystwo Opieki
nad Zabytkami
im. J. Goslara w Kolbuszowej

Spis treści

	str.
Wstęp.....	1
1/ Bitwa pod Kolbuszową 9 września 1939.....	5
/w relacjach jej odnalezionych dowodów/:	
a/ relacja por. Antoniego Krawca i relacja kpt. Piotra Tymkowicza	13
b/ dr Kazimierz Skowroński: Pierwszy i ostatni raz o bitwie pod Kolbuszową.....	15
2/ mgr Józef Rządcki- „Borynia” Udział „Kefiru w operacji V2”	33
3/ Z dokumentów : wykazy organizacji podziemnych działających na terenie pow. Kolbuszowskiego:.....	40
a/ Gwardia Ludowa.....	40
b/ Bataliony Chłopskie.....	42
c/ Armia Krajowa.....	43
4/ Urywki z pamiętników działaczy e czasie okupacji. Kazimierz Stanisław Osetek, Jan Mytych, Franciszek Bieleń.....	45
5/ dr Kazimierz Skowroński: Pamiętne owe dni.....	50
/urywek z pamiętnika/	
6/ Za okupacji w Kolbuszowskim.....	76
a/ relacja Selwy „Byłem w Baudiensce Świerczów”	76
b/ relacja Magdy: Pomoc radzieckim jeńcom”	81
c/ relacja Bronisława Kuczyńskiego „Czegośmy pożądali” /Z posłowiem dr Kazimierza Skowrońskiego/.....	86
7/ Janina Augustynowiczowa: Z pamiętnika byłej więźniarki.....	93
8/ Bronisława Kołcz: Byłam w wojsku polskim.....	106
9/ Dr Kazimierz Skowroński: Lato 1944 r. /wiersz/.....	108
10/ mgr Michał Czartoryski: Z ziemi Włoskiej do Polskiej.....	109

W S T Ę P

W roku jubileuszowym w 25-lecie Polski Rzeczypospolitej Ludowej i 25-lecie woj. Rzeszowskiego, a w 30-tym roku rozpoczęcia II wojny światowej, Zarząd Towarzystwa Opieki nad Zabytkami w Kolbuszowej, pragnie swoim członkom i sympatykom, szczególnie młodzieży powiatu kolbuszowskiego przekazać niniejszy biuletyn.

Słusznie nazwać go można biuletynem wspomnień, bo na treść jego składają się autentyczne wspomnienia ludzi z Kolbuszowszczyzny, lub związanych z Kolbuszową z czasie tej wojny, w szczególnie godny pamięci sposób. Zrozumiałym jest, że Zarząd Towarzystwa może przedstawić wspomnienia te, które zostały mu udostępnione. Nie można, więc powiedzieć, że wybieraliśmy ludzi w naszym mniemaniu najbardziej zasłużonych, bo do tego nie czuliśmy się powołani.

Staraliśmy się jednak zebrać materiał różnorodny, obrazujący uczestnictwo kolbuszowiaków w walkach, w ruchu oporu, w obozach koncentracyjnych, w dywizjach firmujących się przy boku Armii Radzieckiej na wschodzie, oraz w armiach walczących na zachodzie.

Dla wyjaśnienia wielu momentów szczególnie zaś dla naświetlenia pierwszych chwil odzyskania niepodległości, w sierpniu 1944 r. poprosiliśmy naszego historyka dr Kazimierza Skowrońskiego, który pisząc niemal przez całe swoje życie dzieje kolbuszowskiego powiatu – mógł wiele niejasnych – dzisiajszemu, osobliwemu zaś młodemu czytelnikowi, momentów, dokładnie naświetlić.

Pisane wspomnienia są autentykami, stąd też można w nich spotkać błędy natury stylistycznej. Wszak autorzy wspomnień, to ludzie nie znający sztuki pisarskiej. Zarząd jednak postanowił zostawić ich pracę w niezmienionej formie.

Zdawać by się mogło, że biuletyn nasz nie jest treści tematycznej zawartej, tak jednak nie jest, bo jak to już było wspomniane, dążeniem naszym jest pokazanie kolbuszowiakom – kolbuszowiaków walczących, konspiracyjnych z narażeniem życia, cierpiących, oraz kolbuszowiaków idących w zwycięskich już pochodach i niosących, nad nam pozostającym tu w tęsknocie i oczekiwaniu – wyzwolenie.

Bitwa w Kolbuszowej stoczona w dniach 8 i 9 września 1944 r., której przebieg wykazał jak zawsze w owym w owym pamiętnym nam wrześniu, męstwo i bohaterstwo naszych żołnierzy, miała wiele kronikarzy i historyków.

Do zbiorowej mogiły żołnierzy poległych w czasie tej bitwy, do kilku pojedynczych grobów z tego czasu, na kolbuszowskim cmentarzu, przybyła przed rokiem – niespodziewanie odkryta – jeszcze jedna mogiła, mieszcząca zwłoki sześciu nieznanym uczestników bitwy. Pochowani prawdopodobnie w nocy z 9-go na 10-go września 1944 r., kiedy to słyszano na cmentarzu kolbuszowskim strzały, bez trumien, bez dokumentów.

Jeszcze jeden pomnik bohaterski – jeszcze jeden dowód “wysokiej kultury”, zwycięskiego wtedy niemieckiego Wehrmachtu. Nie zawahano się odebrać chwilowo zwyciężonym oprócz życia nawet ich tożsamość.

Z dokumentów znajdujących się obecnie w rękach prywatnych mających być

przekazanymi do naszego Muzeum podajemy, jak przedstawiał się ruch organizacyjny w podziemi Polski walczącej w latach 1940-1944 w Kolbuszowskim. Do tych dokumentów dołączyliśmy krótkie urywki pamiętników członków Batalistów Chłopskich oraz Gwardii Ludowej grupy "Iskra". Pan Józef Rządcki, który był komendantem "Kefiru" oddziału Armii Krajowej w powiecie kolbuszowskim, kreśli swoje wspomnienia omawiające pracę Konspiracyjną Dokonaną dla wyśledzenia tajemnicy budowy V1 i V2.

I wreszcie oswobodzenie Kolbuszowej w miesiącu sierpniu 1944 r. Przez Armię Czerwoną, pomoc członków Armii Krajowej, jej życzliwy stosunek do wkraczających wojsk radzieckich, kilkudniowe "panowanie" oddziału AK "Kefir" po ustąpieniu Niemców, przed wkroczeniem wojsk radzieckich w dniach od 26 lipca do 2 sierpnia 1944 r., nastroje ludności, jej wyczekiwanie, bardzo wyczerpująco w urywku swojego pamiętnika podaje nasz historyk dr Kazimierz Skowroński.

Z podanych relacji – wspomnienia Selwy z Widelki mają dołączone wyjaśnienia.

Wysiłki członków oddziału A.K. "Kefir" dążące do złagodzenia ciężkiej doli jeńców radzieckich w majdanie – podaje Magda. Ciekawym bardzo, ze względu na swoją specyfikę jest opowiadanie Kuczyńskiego o "volksdeutschach" z Dzikowca, których przed wielu laty przyjęła za swoje dzieci polska ziemia, a którzy w czasie wojny poczuli swoją przynależność do Niemców. Strach przed butą świeżo upieczonych patriotów niemieckich, ich zachowanie się w stosunku do miejscowych Polaków, to też przyczynek do cierpień w czasie okupacji. Opowiadanie to uzupełnione zostało obszernym posłowiem dr Kazimierza Skowrońskiego.

Wspomnienia z obozu Ravensbruck mają dołączone wyjaśnienia. Pragniemy zwrócić uwagę na krótkie wspomnienia napisane przez ob. Kołcz Bronisławę. Są one bardzo cenne, bo pokazują jak dziewczyna ta, wstąpiła do formującej się drugiej dywizji w Sielcach, tam dopiero uczyła się miłości Ojczyzny i poczuła się dumna, że bierze udział w jej wyzwoleniu.

Napisany na gorąco w pamiętnych dniach wyzwolenia w sierpniu 1944 r. wiersz Kazimierza Skowrońskiego przedstawia nastroje ludności w owych historycznych dniach.

I wreszcie kolbuszowiak w armii zachodniej – biorący udział w bitwie pod Monte Cassino – zamyka zbiorek opowiadań kolbuszowskich z czasów wielkiej wojny.

Jeśli treść tego biuletynu przyczyni się do pogłębienia wiedzy kolbuszowiaków o ich rejonie, jeśli poszerzy zrozumienie szczególnie młodych czytelników, wielkiej "Sprawy", która wtedy działała się i była dominującą treścią codziennego życia, uważać będziemy, uważać będziemy, że trud autorów nie poszedł na marne.

Zarząd Towarzystwa czuje się zobowiązany podziękować wszystkim, którzy zupełnie bezinteresownie oddali nam swoje prace. Szczególnie dotyczy to dr Kazimierza Skowrońskiego.

Jednocześnie dziękujemy Wydziałowi Kultury Prezydium WRN w Rzeszowie, którego dotacje umożliwiły nam wydanie biuletynu. Dziękujemy również Wydziałowi Kultury Prezydium PRN w Kolbuszowej, za opiekę i życzliwość ustosunkowanie się do naszych wysiłków.

Zarząd Towarzystwa
Opieki nad Zabytkami
w Kolbuszowej

Por. Rez. Andrzej Krawiec
Suchedniów

Udział IV baonu fortecznego 20 p. p. W boju pod
Kolbuszową w dniu 9.IX.1939 r.

(wspomnienia dowódcy)

3 września

Wieczorem tego dnia po nieudanym organizowaniu Szkoły Podchorążych 6 D.P. (nikt bowiem do tej szkoły nie zgłosił się), a której to szkoły zgodnie z rozkazem ob. miałem być komendantem, zostałem przydzielony do zapasowego batalionu 20 p. p., organizującego się w koszarach 20 p. p. W Krakowie.

4 września

W tym dniu w godzinach rannych zameldowałem się u dowódcy baonu kpt. rez. Batko i Dowódca baonu zadowolony z mojego zgłoszenia się, byłem w tym baonie jedynym oficerem służby czynnej, powierzył mi pełnienie obowiązków adiutanta baonu. Od dowódcy dowiedziałem się, że baon ma wejść w skład grupy obrony Krakowa. Około godz. 8:00 d-ca baonu otrzymał rozkaz bodajże od płk Gwelesiani, natychmiastowego wymarszu drogą przez Tarnów do Rzeszowa.

W chwili otrzymania rozkazu skład baonu był następujący: trzy kompanie strzeleckie po ok. 160 ludzi i kompania c.k.m. 62 ludzi. Kompanie dowodzone były przez oficerów rezerwy – 1 kom.ppor. rez. Balcer, 2 komp. - ppor.rez. Sanicki, 3 komp. - ppor. Janicki komp c.k.m. - por.rez. Rożanowicz. Plutonami dowodzili oficerowie i podoficerowie w stopniach kapral, plutonowy.

Uzbrojenie baonu – karabiny ręczne, 3 ckm bez budek po 3 jed. Amunicji do kb, po trzy taśmy amunicji do ckm i po jednym granacie na strzelca.

Baon nie posiadał kuchni ani też jakiegokolwiek taboru, posiadał jedynie motocykl “Sokół” z przyczepą. Przed rozpoczęciem marszu baon zaopatrzył się w cztery dwukonne podwozy, na które załadował c.k.m. Po trzy na jedną, a na czwartą podwoję załadowaliśmy konserwy i suchary, które zostały zabrane z magazynu żywności 20 pp.

Przed wymarszem każdy żołnierz pobrał z magazynu żywnościowego po jednej konserwie i jednej paczce sucharów, które miał zachować jako żelazną porcję. W sumie baon miał wyżywienie na trzy dni. Około godz. 10:00 rozpoczął nakazany marsz.

Po dojściu do Wieliczki, skierował się na boczną drogę północną, równoległą do głównej szosy przez Grodkowiec, Stanisławowiec, Proszówki, gdzie przekroczył rzekę Rebę, by w późnych godzinach wieczornych osiągnąć Bochnię.

Baon zatrzymał się na postój nocny na jej wschodnich przedmieściach. W Grodkowicach dowódca baonu wyjechał motocyklem do Bochni celem zorganizowania kolacji dla baonu. Więcej go nie oglądaliśmy, kolacji nie było.

5 września

Tego dnia rano na zbiórce baonu ogłosiłem się “samozwańcym” jego dowódcą, a na adiutanta powołałem ppor. Warchałowskiego.

Od godz. 5 baon kontynuował marsz szosą na Tarnów około godz. 7:00 kolumnę baonu

wyprzedza sztab G.O. "Bielsko" gen. Boruty – Spiechowicza. Generał, po przyjęciu ode mnie meldunku o zadaniu baonu, przekazał mi wykonanie następującego zadania : szosą Bochnia – Tarnów maszeruje kolumna artylerii – od południa istnieje możliwość zagrożenia broni panc. nieprzyjaciela – ubezpieczyć przejście kolumny artylerii, obsadzając wzgórza na południe od szosy okrakiem na drodze Zakliczyn – Wojnicz. We wczesnych godzinach popołudniowych baon zostanie zluzowany przez baon strzelców podhalańskich. Zadania wykonałem. Około godz. 14:00 przekazałem strzeżony odcinek baonowi p.sp. Po otrzymaniu wiadomości od majora, jego dowódcy, że kontynuowanie marszu szosą na Tarnów jest niebezpieczne, przeprowadziłem baon na północ Wodnicz – Bogumiłowice – Wierzchosłowice do wideł rzeki Dunajec – Biała, przeprawiając się przez Dunajec poniżej ujścia Białej do Dunajca. Przeprawę przez Dunajec umożliwił mi dowódca obrony Dunajca, w którego dyspozycji był prom. Przeprawa została zakończona ok. Godz. 17:00.

po przeprawieniu się przez Dunajec baon został podporządkowany dowódcy obrony Dunajca. Otrzymuje zadanie obrony Dunajca na południowym skrzydle Oddziału, organizującego już obronę do wysokości ujścia rzeki Białej z równoczesnym zadaniem obrony skrzydła od południa z kierunku Mościce.

Ugrupowanie baonu w obronie Dunajca i skrzydła było następujące: 1 komp. plus 2 c.k.m. Obrona Dunajca do ujścia rzeki Biała, 2 komp. plus 4 c.k.m. Obrona skrzydła z kierunkiem na Mościce, 3 komp. Plus 3 c.k.m. w odwodzie za kompanią 2-gą z zadaniem zorganizowania obrony również z kierunku wschodniego. Około godz. 19-ej kompanie zajęły wyznaczone stanowiska, przygotowując się do obrony.

6 września

Baon umacnia stanowiska obronne. Żołnierze jakkolwiek zajęci budową dołów strzeleckich mogli odpocząć po trudach odbytego w ciągu dwóch poprzednich dni około 100 kilometrów marszu. Dzięki temu postojowi, mogłem zorganizować baonowi obiad, rekwirując w okolicznych wioskach świnię, ziemniaki, przygotowując ciepłą strawę w domach wiejskich. Do spożycia obiadu żołnierze dochodzili plutonami na zmianę z każdej kompanii.

Wysłane patrole na Tarnów meldowały o dużych ruchach naszych wojsk w kierunku wschodnim. W ciągu dnia obserwowaliśmy dość dużą aktywność lotnictwa rozpoznającego nieprzyjaciela. Tak zastała nas noc z 6 na 7 września.

7 września

Około godz. 5:00 dowódca plutonu sąsiadującego z północnym baonem obrony melduje mi, że sąsiedzi opuścili Dunajec wycofując się na wschód. Dowódca baonu wycofującego się nie zawiadomił mnie o decyzji wycofania się, pozostawiając mnie swemu losowi.

Dałem rozkaz przygotowania się baonu do marszu. W oczekiwaniu na patrol, który około godz. 4:00 wyruszył na rozpoznanie w kierunku Tarnowa, analizowałem, jaki wybrać kierunek marszu. Były do wyboru dwa kierunki – 1. Tarnów – Dębica i 2. Lisia Góra – Radomyśl Wielki. Po meldunku dowódcy patrolu powracającego z Tarnowa, który donosił o bardzo dużych ruchach wojsk i uciekinierów szosą na Dębice, chcąc uniknąć tłoku na szosie Tarnów – Dębica, obawiając się działań lotnictwa nieprzyjacielskiego wybrałem kierunek Lisia Góra – Radomyśl Wielki. Około godz. 11 baon dochodził do lasu na wschód m. Wesoła. W lesie tym zatrzymuje baon na postój. Aktywność lotnictwa zwiadowczego nieprzyjaciela duża, ludzie zmęczeni, coraz więcej maruderów. W późnych godzinach popołudniowych baon dochodzi do Radomyśla. Przed miastem spotykam oficera sztabu GDP (bodajże był to kpt. Mizerski), który informuje mnie o położeniu dywizji, wieczorem baon dochodzi do m. Piątkowiec.

8 września

około godziny 6:00 baon kontynuuje marsz na Mielec. Kiedy czoło wychodziło z lasu m. Piątkowiec, baon został zaatakowany bronią pokładową trzech samolotów nieprzyjaciela, nadlatujących od strony Mielca. Samoloty te zostały ostrzelane ogniem zbiorowym 3-ej kompanii maszerującej w straży przedniej. Dowódca kompanii twierdził, że jeden samolot został uszkodzony, bo zmienił kierunek lotu z zachodniego na południowy, obniżając znacznie wysokość. W wyniku lotu 1 żołnierz został zabity, dałem polecenie pochowania go w lesie Piątkowiec, rozkazałem zabranie znaczka tożsamości. Wtedy dopiero zorientowałem się, że nikt z żołnierzy nie posiada znaczków tożsamości. Nazwisko poległego zostało odnotowane przez adiutanta baonu.

Baon przeszedł Wisłokę mostem pod Mielcem, po czym zatrzymał się na południowym jego krańcach. Mielec był zatłoczony różnymi oddziałami wojskowymi, przeważnie maruderami i uciekinierami.

Postój w Mielcu zarządziłem w dwu powodów: po pierwsze w celu odszukania sztabu GDP i po drugie by otrzymać polecenia ze sztabu lub samemu wybrać kierunek dalszego marszu. W celu odszukania sztabu dywizji wysłałem do miasta trzy patrole dowodzone przez podoficerów. Po prawie dwugodzinnych poszukiwaniach patrole wróciły, meldując, że sztabu GDP nie odnaleziono.

Jeden z patroli przyprowadził cywila z walizką, którego wskazali mieszkańcy Mielca, nazywając go dywersantem. Zapytany go robi w mieście, odpowiedział, że ucieka, jak wielu to czyni. Rozkazałem zrewidować go. Po otwarciu walizki stwierdziliśmy, że przenosił w niej kilka pistoletów i amunicję. Przekazałem go nadchodzącemu patrolowi żandarmerii. Miałem podjąć trudną decyzję wyboru dalszego kilometru marszu – północ czy wschód?

Patrole wysłane do odszukania sztabu dywizji meldują, że według uzyskanych informacji różne oddziały wojskowe maszerowały tak na północ, jak i na wschód.

Decydowałem się iść raczej na wschód – na Kolbuszowę. Za wyborem tego kierunku przemawiało zadanie, dane baonowi jeszcze w Krakowie – marsz do Rzeszowa. Ostatecznie o wyborze kierunku zdecydowała informacja patrolu, że sztab GDP udał się w godzinach rannych do Kolbuszowej. Baon ruszył do marszu, osiągając w godzinach wieczornych skraj lasu obok miejscowości Przyłęk, gdzie zatrzymał się na przystanek ubezpieczony. Żołnierze coraz bardziej zmęczeni, z obolałymi nogami, głodni. Daję zezwolenie na zjedzenie żelaznej porcji. Przez te pięć dni ubyło z baonu 37 ludzi, wielu nie wytrzymało trudów marszu. Część żołnierzy pozostawała bez zezwolenia, inni prosili o zezwolenie pozostania, pokazując poobcierane nogi. Byłem bezsilny, nie mogłem dać im żadnej pomocy. Kilkunastu mogłem podwieźć na podwodach z karabinami maszynowymi, innych, innych pozostawiałem dając im tylko 10 sztuk amunicji i dając rozkaz dołączenia na postojach. Mimo tych różnych trudów, morale żołnierzy było dość dobre. Wielu mimo złego samopoczucia wołało być razem z baonem.

W utrzymaniu dyscypliny wiele pomagali mi oficerowie i podoficerowie jak również wielu szeregowych, których humorem, nie rzadko śpiewem podtrzymywali na duchu słabszych.

Po drodze z Mielca do Kolbuszowej włączam do baonu napotykanym maruderów. Dowódcy placówki ubezpieczającej baon od strony Mielca daję rozkaz zatrzymania wszystkich maruderów i odprowadzenia do miejsca postoju dowództwa baonu. Przez noc do czasu wymarszu baonu zebrano i włączono do baonu dalszych około 100 strzelców maszerujących grupami w ilości od około 10 do 25 ludzi z różnych oddziałów, jak: 49 pp. KOP, pułków strzelców podhalańskich i innych jednostek.

9 września

Rano wszyscy zatrzymani maruderzy zostali powłączani do poszczególnych kompanii. Przed wymarszem baon liczył około 700 żołnierzy. Rano rozpoczął marsz na Kolbuszowę. We wsi Siedlanka dowiaduje się od mieszkańców, że wieczorem dnia wczorajszego w m. Kolbuszowa była walka. Zatrzymuję baon w lesie na zach. skraju wysyłając do Kolbuszowej na rozpoznanie pluton pod dowództwem mego adiutanta ppor. Warchałowskiego, dając mu do dyspozycji mojego konia przy

+pomocy, którego miał mi złożyć jak najszybciej meldunek o sytuacji w Kolbuszowej.

Około godziny 11:00 powraca ppor. Warchałowski z meldunkiem "Kolbuszowa wolna, w dniu wczorajszym w godzinach wieczornych odparła atak czołgów niemieckich. W Kolbuszowej niewielka ilość rozproszonych żołnierzy, wielu uciekinierów".

Po meldunku tym baon kontynuuje marsz na Kolbuszowę, którą osiąga około godz. 12:00. Zatrzymuje baon na rynku w Kolbuszowej ubezpieczając się z kierunków Sędziszów i Przecław.

Od strony Rzeszowa nie ubezpieczam się, gdyż już w samej Kolbuszowej miną mnie jakiś oddział artylerii, którego dowódca mjr na moje zapytanie, dokąd udaje się, informuje mnie, że ma rozkaz jak najszybciej dotrzeć do Rzeszowa. Podczas odpoczynku baonu staram się zebrać jakiś bliższe wiadomości o położeniu naszych wojsk i nieprzyjaciela. Żołnierze obcych oddziałów niewiele mogą mi powiedzieć, niemal wszyscy twierdzą, że oddziały ich rozbite, dowódcy polegli. Z jakich oddziałów pochodzą? KOP, 49 pp z Bielska itp. Nie spotykam oficerów. Spotykam dwa działony artylerii – dowodzi nimi ogniomistrz, którego podporządkowuje sobie. Od mieszkańca Kolbuszowej dowiaduje się, że w dniu wczorajszym był tu jakiś generał z oficerami, który po bitwie z czołgami udał się na wschód. Z opisu osoby generała domyśliłem się, że był to gen. Mond.

Około godz. 12:30 popłoch – od strony Raniżowa nadjeżdżają jakieś samochody ciężarowe. Nim zdążyłem podjąć jakieś decyzje, w rynek wjechało 9 samochodów ciężarowych polskich.

Z pierwszego wysiadł znany mi pro. Pikuła z 12 ppw czasie wojny oficer sztabu GDP. Przywiózł rozkaz gen. Monda "załadować baon na samochody i szybko dołączyć do Ulanowa". Poprosiłem go, żeby samochody zawróciły i przyjęły kierunek marszu, a sam zaważwałem dowódców kompanii celem wydania rozkazu podziału baonu na grupy załadowcze. W czasie oczekiwania na dowódców kompanii zaczyna się "groteska". W środek baonu na rynek wjeżdża niemiecki samochód – cysterna. Samochód zatrzymuje się, dopadamy do niego wyciągając kierowcę, który jest sam. Woła po czesku, że jest Czechosłowakiem sudeckim. Nim zdążyłem coś z niego wyciągnąć, skąd tu przyjechał- z wieży kościoła padają strzały, zabity zostaje mój koń, obok którego stałem. Już w następnej chwili popłoch – czołgi, słysz strzelaninę z kierunku, gdzie moje ubezpieczenie. Podbiegam do miejsca, gdzie słyszę strzały, widzę 5 czołgów stojących na drodze z kierunku Niwiska. Obok drogi, gdzie stoją czołgi, oparkanie z desek, wracam na rynek do baonu.

Ppor. Balcerowi, dowódcy 1 kompanii daje rozkaz – resztą wzmocnić placówkę już walczącą, przydzielam do tego plutonu dwa c.k.my. Drugi pluton plus jeden c.k.m. Zająć stanowiska w obronie na lewo od już walczących plutonów na skraju Kolbuszowej.

Trzeci pluton wyprowadzam z rynku bramą wjazdową z kamienicy z zadaniem, by biegnąc opłotkami, zasłonięci od obserwacji ze strony stojących czołgów parkaniem i obrzucić je granatami. Wybiegam z plutonem by wskazać im kierunek uderzenia. Wybiegający pluton został ostrzelany ogniem karabinów maszynowych ze wzgórza od strony m. Nowa Wieś. Padamy na ziemię, silny ogień nie pozwala ruszyć do przodu, daję rozkaz wycofania się na skraj miasta, przygotować się do obrony. Wracam do rynku. Dowódcy kompanii wraz z adiutantem oczekują na mnie przy bramie wjazdowej.

Rozkazuje: kompania 2-ga zająć stanowiska obronne na prawo od kompani 1-szej na skraju m. Kolbuszowa Dolna. Kompanii tej przydzielam pluton c.k.m.

Dowódcy kompanii k.m. (zwanego w baonie "Dziadkiem) dają rozkaz zabrać jeden c.k.m. dla wzmocnienia obrony kompanii pierwszej i tam pozostać celem zorganizowania zadań dla kaemów, broniąc wejścia do Kolbuszowej. Kompanię trzecią wraz z dwoma c.k.mami zabieram ze sobą celem zorganizowania obrony w odwodzie na cmentarzu i wzdłuż zabudowań parafialnych. Moje miejsce dowodzenia cmentarz. W drodze na cmentarz na szczęście zastaje tam jeszcze stojące dwa działony. Daje zadania jeden działon zająć stanowiska w zabudowaniach Kolbuszowa Dolna przy ulicy Mieleckiej, sektor działania – droga Niwiska – Kolbuszowa do drogi Przyłęk – Kolbuszowa. Działon zająć stanowiska w załomie muru cmentarnego, z kierunkiem strzału wzdłuż ulicy Mieleckiej, zamknąć ewentualne wyjście czołgów po wdarciu się ich do rynku oraz ewentualne wykonanie ognia na wzgórza na południu od lasu m. Nowa Wieś. Oddziały zajmują stanowiska. W rejonie rozpoczęcia walki silny ogień karabinowy i granatów. "Zaimprovizowana" obrona, jak chyba bardzo słusznie nazwali ją ppłk. dypl. Steblik i dr Kazimierz Skowroński działa. Znajduje chwile czasu na dokonanie oceny sytuacji. Z tyłu, za stanowiskami kompanii odwodowej, ciągną się zabudowania Kolbuszowej Dolnej wzdłuż drogi na Cmolas, do tej pory zupełnie nieobsadzone. Zorganizowanie tam obrony staje się konieczne z dwu powodów: po pierwsze – należy nie dopuścić do wdarcia się nieprzyjaciela na tyły obrony, stwarzając jak gdyby trzecią linię obrony, po drugie – obrona tej linii umożliwiałaby linii obrony pierwszej i drugiej zabezpieczenie tyłów i danie możliwości ewentualnego wycofania się w przypadku braku możliwości dalszej obrony (biorę pod uwagę bardzo nisko zapasy amunicji). Kim obsadzić trzecią linię? Wycofuję z trzeciej kompanii odwodowej z cmentarza jeden pluton plus jeden c.k.m. i przesuвам do obrony trzeciej linii. Wraz z plutonem wysyłam adiutanta, który ma dopilnować zorganizowania obrony włączając w nią grupy żołnierzy niezorganizowanych. Udaje się na odcinek pierwszej kompanii na lewe skrzydło.

Na lewym skrzydle obrony rzeki Nil, odcinek otwartej przestrzeni, szosa na Rzeszów i zabudowania Kolbuszowej Górnej. Tam nie ma nikogo. Łapie dowódcę kompanii K.M. "Dziadka", polecam mu zorganizować jakiś nieduży oddział, który mógłby, chociaż tylko obserwować kierunek ze wschodu i południa.

Ocena nieprzyjaciela – Czołgom nie udało się zająć pierwszym impetem Kolbuszowej. Ulokowały się on na przedmieściu w zabudowaniach wzdłuż drogi od strony m. Niwiska, skąd prowadziły ogień. Rowami wzdłuż wymienionej drogi przemykały się grypy pieszych. Ze wzgórza od strony m. Nowa Wieś nieprzyjaciela w dalszym ciągu ostrzeliwuje miasto i skraj Kolbuszowej Dolnej. Jakie siły nieprzyjaciela kryją się w lesie "Niwiska", nie wiadomo. Nieprzyjaciel działa ostrożnie, "może aż nazbyt ostrożnie, na nasze szczęście. Być może wczorajsze jego niepowodzenie każe działać mu ostrożnie, a i zaobserwowany przez jego samoloty marsz baonu do Kolbuszowej nakazuje mu przeceniać nasze siły. Lekkiimi czołgami i niezbyt dużym oddziałem pieszych, przy silnym ubezpieczeniu ogniowym ze wzgórza biegnącego równolegle od strony zachodniej do Kolbuszowej, stara się rozpoznać nasze siły.

Zyskuje na czasie, ale na jak długo? Co kryje przeciwnik w lesie "Niwiska"? Czy dysponuje większą ilością czołgów, czy dysponuje artylerią? Najwięcej obawiam się artylerii.

Intensywny ogień kilku dział na kościół, a już tylko samym rozrzutem pocisków pokryją niewielką obszar Kolbuszową. Jeżeli przypuszczenia miałyby się sprawdzić, to co mogę przeciwstawić przeciwnikowi? Możliwości obrony znałem, nie znał ich przeciwnik – na szczęście. Czuję przed nimi respekt. Trzeba blefować, że jesteśmy silni. Na odcinku pierwszej kompanii ciągle tylko wymiana strzałów. Udaję się w rejon drugiej kompanii, tam spokój, dlaczego? Czyżby Niemcy próbowali szukać rozstrzygnięcia w okrążeniu? Z prawego skrzydła drugiej kompanii obserwuje jakiś ruch oddziałów pieszych z lasu Siedlanka w kierunku na m.

Cmolos. To jakiś nasz oddział, nie idzie nam na pomoc, ale przynajmniej obecnością swoją daje znać Niemcom, że tam są oddziały polskie. Ja przynajmniej narzazie, jestem o ten kierunek spokojny.

Obserwuje skraj lasu "Niwiska", pierwsze grupy Niemców przesuwały się do zabudowań w kierunku pierwszej kompanii.

Wzmógł ogień karabinów z obu stron. Polecam c.k.-mom kompanii drugiej ostrzelać ogniem bocznym przesuujących się pieszych. Ujawniam siły, chcę pokazać się silny. Byle jak najdłużej ta "nijaka" walka, byle do zmierzchu. W tej sytuacji stać było baon na przyjęcie obrony, ale czy w wypadku rzucenia przez nieprzyjaciela większych sił do opanowania Kolbuszowej potrafimy ją obronić? Nie miałem żadnych złudzeń, pomocy żadnej nie oczekiwałem, nikt o położeniu baonu nie wiedział. Pomocy mogła nam udzielić tylko noc, a obecnie godzina dopiero po 14:00. Rozmyślenia moje przerywa okrzyk – "z lasu czołgi". Kierują lornetkę na las "Niwiska". Z lasu szeroką ławą w towarzystwie pieszych ruszają czołgi. "Działon ognia" - padają dwa strzały, czołgi znikają w zagłębieniu terenu między lasem a grzbietem górskim, nie wychodzą zza wzgórza.

Niemalże w tym samym momencie artyleria nieprzyjaciela rozpoczęła ogień. Pociski padają na całej szerokości naszej obrony i miasta. Wzmaga się ogień na odcinku pierwszej kompanii.

Czołgi ruszają do natarcia, wre zażarta walka. Udaje się na punkt dowodzenia na cmentarz. Jednostronny ogień artyleryjski nieprzyjaciela trwa. Po pewnym czasie artyleria nieprzyjaciela przestaje ostrzeliwać Kolbuszowę – rejon rynku, a w dalszym ciągu padają pociski na Dolną. Z odgłosów walki prowadzonej na lewym skrzydle wnioskuje, że Niemcy wdzierają się w rejon rynku, słyszę silny ogień karabinowy i pojedyncze wybuchy granatów. Widzę wycofujących się żołnierzy kompanii pierwszej z lewego skrzydła. Z rynku dochodzi warkot czołgów. Łysze ogień karabinowy i wybuchy granatów z rejonu kamienic położonych naprzeciw rynku nad rzeką Nil. Z kamienic tych walczą nasi żołnierze/, którzy uprzednio tam usadowili się, i ci, którzy wycofują się. Przybiega goniec pierwszej kompanii z meldunkiem – czołgi w rynku, cofamy się. Łysze strzały naszego działonu z rejonu cmentarza – nie wiej do kąta strzelają, domyślam się, że z rynku na ulicę Mielecką wychodzą czołgi.

W chwilę potem otrzymuję meldunek z plutonu lewego skrzydła kompanii odwodowej, że u wylotu ulicy Mieleckiej stoi unieruchomiony czołg, prowadzi jednak ogień. Walka w rejonie rynku słabnie, słychać jeszcze pojedyncze wybuchy granatów.

Wysłałem ppor. Warchałowskiego na rozpoznanie, co dzieje się w rynku. Po kilkadziesiąt minut znowu na rejon rynku nawała ognia artyleryjskiego. Niemal na całej długości obrony wybuchają pożary. Dlaczego na rynek strzela znowu artyleria? Przecież tam ich czołg. Obserwują kierunek Niwiska. Ruszają czołgi, część ich kieruje się na drogę od Niwisk. Oba nasze działony otwierają ogień, czołgi posuwają się na przód, coraz więcej pożarów. Kompania druga wycofuje się, przybywa dowódca kompanii: "spalimy się, mam wielu zabitych i rannych, dwa c.k.my zniszczone, działon bez amunicji". Rozkazuje wycofać się poza cmentarz przez rzekę Nil w rejon trzeciej linii obrony, w wypadku braku późniejszego kontaktu ze mną wycofać się na Ulanów.

Pada ostatni strzał działonu przy cmentarzu. Dowódca działonu melduje – brak amunicji. Zniszczyć działo, wycofać się z kompanią drugą. "Ogień artylerii przeciwnika trwa – czołgi podchodzą do Kolbuszowej Dolnej. Obrona z cmentarza otwiera ogień, między płonącymi budynkami widać nadchodzące czołgi. Ogień artyleryjski słabnie, przenosi się na Kolbuszową Dolną na kierunek Cmolos. Znowu w rynku słyszę czołgi. Z lewego skrzydła, poza budynkami parafialnymi biegnie goniec. "Brak amunicji, dowódca kompanii zabity". Koniec obrony. K.My odwodu "ognia do ostatniego naboju", czołgi na cmentarz szybko nie dostaną się, przeszkodzi im mur cmentarny. Próbuje ratować resztki baonu.

Z tyłu w kierunku północno – wschodniego wieś Zarębki a za nią zbawczy las. Może uda nam się dotrzeć. Liczę na zasłonę dymną płonącej Kolbuszowej, nad rzeczką Nilem czołgi mogą trochę pomarudzić, linia trzeciej obrony trochę ich wstrzyma.

Daję rozkaz wycofania. Kompanie rozpoczynają wycofywanie się. Ja z moimi gońcami szybko przebiegam do plutonu trzeciej linii. Tam czołgów jeszcze nie ma. Od strony Weryni słyszę jakąś walkę, jakieś nasze oddziały tam chyba walczą. A więc z tego bardzo niebezpiecznego kierunku jestem jak gdyby ubezpieczony. Kompanie obrony Kolbuszowej tyralierą przechodzą trzecią linię obrony, której daję polecenie “biegiem do tyłu”, ryzykowna ale jedyna szansa ocalenia. Biegniemy tyralierą długimi skokami, przerywanymi tylko dla nabrania oddechu. Żołnierze biegną szybko, ale bez paniki, c.k.my niesione są na zmianę.

Do m. Zarębki jeszcze ok. 300 m. może uda się dobiec, nim czołgi nas zobaczą. Wtem na wysokości naszej tyraliery zapala się jakiś rozbity samochód. W parę chwil potem padają pociski artylerii nieprzyjaciela, na szczęście ogień za krótki. Już dobiegamy do zabudowań m. Zarębki, mijamy ją szybko, Zarębki to dobry cel dla artylerii. Do lasu jeszcze około pół kilometra, maszerujemy do niego. Oglądam się na Kolbuszowę, płonie, słyszę strzały. Niemcy nie prowadzą pościgu! Dochodzę do baonu, który ciągle w szyku tyraliery dochodzi już do lasu. Znowu płonie stóg siana, znowu ogień artylerii. Nie robi na nas wrażenia, jesteśmy zbyt zmęczeni i zmartwieni by w ogóle coś odczuwać. Szybko wpadamy do lasu. Zatrzymuje baon, trzeba zrobić bilans stoczony walki. Bilans był smutny. Ze stanu około 700 żołnierzy z Kolbuszowej wycofało się około 300.

Z relacji żołnierzy naocznych świadków, poległo około 40. W Kolbuszowej zostało wielu rannych i otoczonych w domach, los ich nieznany. Straty w uzbrojeniu: 5 c.k.m., oba działa, amunicji prawie nie posiadaliśmy. Największe straty poniosła kompania 2-ga, której około 80% nie było wśród nas. Podobno poległ ppor. Balcer, dowódca 1-szej kompani i ppor. Warchałowski, adiutant baonu, wspaniały żołnierz, najwięcej mogłem go poznać, w boju niemal cały czas był ze mną. Straty Niemców: podobno wielu poległo, dwa czołgi zniszczone, relacje naocznych świadków. To był bilans strat i zysków w ludziach i sprzęcie. Czy była jakaś korzyść stoczony boju pod Kolbuszową? W ogólnej sytuacji położenia naszej armii – nie zdawałem sobie sprawy. Jedno było dla nas pewne. Przynajmniej na dzień dzisiejszy zatrzymaliśmy bezkarny marsz Niemców tak na wschód, jak i północ, a to było na pewno wiele.

Podziękowałem dowódcom i żołnierzom za ich bojowość, odwagę, zdyscyplinowanie i poniesione trudy. Wspólnie ustaliliśmy maszerować natychmiast do Ulanowa, by jak najszybciej połączyć się z dywizją.

Przeprowadzani przez miejscowych przewodników od jednej miejscowości do drugiej, około godz. 14:00 dnia 10 września minęliśmy m. Jeżowe.

10 Września

Z Jeżowego baon maszerował na m. Rudnik w towarzystwie różnych mniejszych i większych oddziałów kierujących się za San. Do Ulanowa baon przybył ok. Godz. 10:00. Odszukałem miejsce postoju sztabu dywizji. Osobiście złożyłem meldunek dowódcy dywizji gen. Mondowi. Meldowałem generałowi o przybyciu baonu, stoczonym przez baon pod Kolbuszową i o skutkach tego boju. Generał Mond nie mógł uwierzyć własnym uszom ani oczom. Miał jakieś informacje, że baon został rozbity, a ja poległem w tym boju. Zameldowałem generałowi o dużym wyczerpaniu ludzi, o braku wyżywienia. Otrzymałem rozkaz wymarszu baonu do m. Huta Deręgowska, gdzie żołnierze mają wypocząć i tam otrzymać wyżywienie. Dałem rozkaz wymarszu do Huty Deręgowskiej, w której zatrzymaliśmy się w godzinach popołudniowych, odpoczywając do dnia następnego.

11 września

W godzinach rannych otrzymałem ze sztabu dywizji rozkaz zameldowania się wraz z baonem u dowódcy 20 pp. płk. Brożka w m. Żdziary. Po zameldowaniu się u dowódcy 20 pp., dowodzony przeze mnie baon zapasowy zostaje wcielony w skład II/20 pp. i od tej pory jako jednostka liniowa 20 pp. bierze udział w dalszych akcjach pułku. Ja obejmuję dowództwo sześciu kompani, które rekrutuje się w 100% z ludzi baonu zapasowego.

W ogólnej ocenie stoczonego boju pod Kolbuszową należy odpowiedzieć na zasadnicze pytanie. Czemu należy zawdzięczać, że baon słabo uzbrojony, (brak przede wszystkim broni przeciw pancernej), zmęczony sześciodniowym marszem, (pokonywał dziennie ok. 50 km.), źle żywiony, mógł przeciwstawić się przeciwnikowi znacznie silniejszemu, bardzo dobrze uzbrojonemu i będącemu stale w zwycięskiej ofensywie.

W okresie sześciu dni poprzedzających bój pod Kolbuszową baon wykonywał codziennie jakies ćwiczenia bojowe, na które złożyły się przede wszystkim marsze, postoje ubezpieczone a dwa razy baon organizował obronę – Wojnicz i Dunajec. Zadania te pozwoliły rezerwistom tak dowódcy jak i żołnierzom, na przypomnienie ich zadań bojowych.

Podczas wykonywania tych zadań z dnia na dzień poprawiła się dyscyplina, nastąpiło zżycie się żołnierzy między sobą i dowódcami. Mimo wielkich trudów fizycznych, mimo panikarskich wieści od różnych "Rozbitków" dzięki doskonałej postawie dowódców, którzy umieli we właściwy sposób komentować otrzymane wiadomości i raczej wykorzystywać je w kierunku podnoszenia bojowości swych oddziałów, baon był zdolny w bardzo krótkim czasie zająć stanowiska obronne i bronić się mimo pełnego zaskoczenia ze strony nieprzyjaciela.

Największy sukces baonu to niewątpliwie fakt, że nie dał się opanować panice, że mając na przedmieściach Kolbuszowej czołgi nieprzyjaciela, zorganizował obronę, powstrzymał marsz nieprzyjaciela zmuszając go do zorganizowania natarcia, a w wyniku improwizowanej obrony, zadając mu poważne straty.

Na zakończenie pozwolę sobie na ocenę działań nieprzyjaciela.

1. nieudany opanowaniem Kolbuszowej dnia poprzedniego,
2. bardzo złym rozpoznaniem sił obrony Kolbuszowej, a właściwie jej bezbronnością w momencie, gdy czołgi opanowały przedmieścia,
3. kompletny brak rozpoznania, co dzieje się na skrzydłach Kolbuszowej, a (były one bezbronne) i w dalszym ciągu nie dokonywanie tego rozpoznania.

Odnosiło się wreszcie, że przeciwnik rozpoczął działania, mając pewność, mając pewność, że Kolbuszowa jest broniona. Że tak właśnie rozumował przeciwnik, dowodziłby fakt, że wysłane czołgi, otrzymawszy ogień słabego zresztą naszego ubezpieczenia, zatrzymał się, że natychmiast ze wzgórza na południu Kolbuszowej odezwały się karabiny maszynowe nieprzyjaciela, a więc musiały już wcześniej zająć stanowiska, że w niedługim czasie z rejonu lasu "Niwiska" ruszyły w szyku rozwiniętym czołgi i że wreszcie artyleria nieprzyjaciela otworzyła ogień ze stanowisk już wcześniej obsadzonych. Te niepewne wiadomości o nas, duże niezdecydowanie nieprzyjaciela pozwoliły mi na zorganizowanie zaimprovizowanej obrony, a ujawnione nasze środki obrony utwierdziły przeciwnika w istnienie naszej "silnej" obrony.

Zadaniem moim, gdyby przeciwnik działał na ślepo, bardziej zdecydowanie i natychmiast z kolumny marszowej, opanowałby Kolbuszowę impetem bez większych własnych strat, a z bardzo dużymi naszymi stratami i prawdopodobnie z kompletnym rozbięciem baonu.

Niemcy, chlubiąc się bojem pod Kolbuszową, chcieli chyba usprawiedliwić poniesione straty. W opinii mojej, dowódcy niemieccy na pewno nie zdali egzaminu prowadzenia sztuki bojowej, na nasze szczęście. Mogliśmy ich, bowiem nie tylko powstrzymać, ale i zadać straty.

Niezrozumiałym dla mnie jest fakt szukania opanowania Kolbuszowej tylko we frontalnym natarciu, bez szukania tego opanowania w niezbyt głębokim zresztą oskrzydleniu i przecięciu jedynej zresztą drogi odwrotu. Fakt, że na zdobycie Kolbuszowej Niemcy stracili około 6 godzin, ponosząc na pewno duże straty w zabitych i że mimo ich dużej pod każdym względem przewagi część baonu mogła się wycofać, zupełnie bez prowadzenia pościgu z ich strony, nie może przynosić im chwały.

Uzupełnienie wspomnień dowódcy ochrony Kolbuszowej z dnia 9.IX.1939 r., prof. Antoniego Krawca, byłego dowódcy krakowskiego 4 batalionu fortecznego, stanowi relację drugiego inicjatora obrony naszego miasta, kpt. Piotr Tymkiewicz był dowódcą części batalionu KOP "Wołożyn" z I-szej Brygady Góralskiej przekazał ppłk. Władysławowi Steblikowi, byłemu szefowi sztabu armii "Kraków", autorowi dzieła "Zarys działań wojennych armii Kraków" (Londyn 1949), po ukazaniu się jego artykułu w "Wojskowym Przeglądzie Historycznym"/ur. 3. 1967/pt. "Odwrot armii "Kraków" znad Nidy i Dunajca nad San".

Akcja kpt. Piotra Tymkiewicza od szosy Mieleckiej

po walce nad Dunajcem 7.9.1939 r. część batalionu KOP "Wołożyn" z odpryskami innych oddziałów, o ogólnej sile dwóch kompanii strzeleckich (po około 180 ludzi) i pół kompanii ckm (80 ludzi, 5 ckm, 8 biedek), pod dowództwem kpt. P. Tymkiewicza cofała się od Żabna na Mielec – Kolbuszowa. Przekroczywszy 9.9 w godzinach rannych potok za lasem Siedlanką, zatrzymano się na chwilowy biwak, zamierzając po uporządkowaniu się pomaszerować do Kolbuszowej. Już jednak ok. godz. 10 odezwały się krótkie serie strzałów z pistoletów maszynowych z kartofliska po południowej stronie drogi. Około godz. 11 ogień się wzmógł na szosie mieleckiej powstał niepokój a nawet zawracanie w stronę lasu wycofujących się nią różnych odprysków. Uważając, że ogień ten prowadzi jakiś nieznaczny oddziałek nieprzyjaciela, rzucony dla zakłócenia polskiego odwrotu, kpt. Tymkiewicz zdecydował się odrzucić go poza wzgórze ku Nowej Wsi. W tym celu rozwinął swe dwie kompanie (z 5 ckm) wzdłuż szosy aż niemal po płu. zach. zagrody Kolbuszowej i ruszył nimi do natarcia na wzgórze. Strzelcy parli brawurowo do przodu.

Jednak ogień nieprzyjaciela początkowo słaby wzmagał się coraz bardziej w miarę odrywania się od szosy i zagród, i w rezultacie natarcie zaległo w odległości ok. 100 – 150 m przed szczytem wzgórza.

Artyleria niemiecka otwarła ogień na szosę i zagrody przy niej a niebawem także na miasto, wzniesając w nim pożary. Ostra walka trwała dość długo, powodując liczne straty w rannych i zabitych (poległ między innymi dowódca 1 kompanii por. Władysław Dolecki, ciężko ranny został kpr. zam. Niedbała). Co gorsza zaczęło brakować amunicji. Gdy ponadto na wzgórzu pojawiły się czołgi (ok. 7 – 8) i nie schodząc ze wzniesienia ziały ogniem na szosę i miasto, kpt. Tymkiewicz zdecydował się ratować swe resztki wydaniem rozkazu wycofania się do lasu na płu. zach. tyłach koło Dąbrówki (na zach. od m. Dubas). Wycofanie się do tego lasu udało się tylko drobnej grupce żołnierzy. W tym czasie Kolbuszowa już po prostu grzmiała, stała w ogniu i dymie.

Przed południem 10.9 kpt. Tymkiewicz pomaszerował ze swym oddziałem lasami ku nisku i przekroczywszy tam San 11.9 w Zarzeczcu zameldował się u ppłk. S. Trzebuni, dowódcy tamtejszego odcinka Sanu. Po odpoczynku w południe 12.9 otrzymał od niego rozkazy objęcia dowództwa nad batalionem zbiorczym, broniącym odcinka Sanu od Zarzeczca po Ulanów.

A oto – po relacjach obu inicjatorów i dowódcy obrony Kolbuszowej wyżej opisanych akcjach dwu wspomnianych oddziałach armii Kraków, Grupy operacyjnej "Bielsko"- "Boruta", które

“choć nie zgrane z sobą” odegrały bodaj główną rolę w zatrzymaniu 2 Dywizji Pancерnej Niemców “pod Kolbuszową” ocena ich ze strony byłego szefa sztabu armii Kraków ppłk. dypl. Władysław Stoblika: “Ze swojej strony pragnę zaznaczyć, że krakowski 4 batalion forteczny por. A. Krawca i części batalionu KOP “Wołożyn” kpt. P. Tymkiewicza, jako też inne opóźnione w odwrocie oddziały i różne odpryski z 49 pp, 202 ppiech.

Oddziałów nadwyżek 6,21 i 23 DP/, które podjęły walkę z wjeżdżającym do Kolbuszowej nieprzyjacielem, chlubnie wypełniły swoje elementarne obowiązki żołnierskie, a ponadto zatrzymaniem pod Kolbuszową tego przeciwnika – jak się okazało 2 D panc. - oddały wielką usługę ogólnej bitwie w Małopolsce. Opóźniło to, bowiem 2 D panc. prawie o cały dzień w marszu na Łańcut – Jarosław i w rezultacie niemiecki XXII Korpus Pancerny dopiero po południu 11.9 zdołał sforsować San pod Jarosławiem “Wojskowy Przegląd Historyczny” 1968 cz.IV/.

Dr Kazimierz Skowroński

Ostatni raz o bitwie pod Kolbuszową
(w 30-tą rocznicę)

WSTĘP – PROLOG

Oto elementy ostatnie kolbuszowskiego boju w “polską jesień” w zamieszczonych powyżej relacjach najważniejszych uczestników, inicjatorów jego i dowódców dwóch grup z 21-szej Dywizji Piechoty Góralskiej G.O. “Bielsko – Boruta” Armii “Kraków”, działających niezależnie od siebie w obronie Kolbuszowej przed głównym czołem drugiej Dywizji Pancerniej Niemców w dniu 9 września 1939 r.: porucznika Antoniego Krawca, byłego dowódcy 4 batalionu fortecznego ośrodka nadwyżek 20 pp. “Ziemi Krakowskiej”, i kapitana Piotra Tymkiewicza, byłego dowódcy części batalionu “Wołożyn” K.O.P. Z I Brygady Góralskiej.

Czy relacje te, publikowane też w “Wojskowym Przeglądzie Historycznym” zeszyt 4 z r. 1968 przez ppłk. dypl. Władysława Steblika, byłego szefa sztabu Armii “Kraków”, w art. “Jeszcze o boju pod Kolbuszową 9 września 1939 r.”, dają już obraz pełny tej – bodaj najważniejszej – bitwy wrześniowej w obecnej Rzeszowszczyźnie?

I one jednak wskazują pewne luki, których nie unikną nawet i jej opis pióra wytrawnego historyka wojskowości, ppłk. dypl. Władysława Steblika w art.: “Odwrót Armii “Kraków” znad Nidy i Dunajca nad San” w zeszycie 3/67 r. “Wojskowego Przeglądu Historycznego”. 1/

Czas więc, w jubileuszowy rok, wśród głośniejszych jeszcze echem niedawnych uroczystości 30-lecia w skali województwa Rzeszowskiego w Kolbuszowej, podjąć jeszcze jedną, ostatnią, próbę ujęcia w całość wszystkich dostępnych danych i wspomnień o tej “ogólnie mało znanej jeszcze obronie Kolbuszowej przed niemiecką 2 d.Panc. w dniu 9 września 1939 r.”, a to tym więcej, iż po wojnie, jako pierwszy, - w ocenie ppłk. dypl. Władysława Steblika – opisał u nas bój kolbuszowski dr Kazimierz Skowroński w art.: “Bój pod Kolbuszową” Dziennik Rzeszowski (wrzesień 1945 r.) i w “Piaście” ze stycznia 1947 r., a następnie obszerniej w art. “Nieznany bój wrześniowy Podchalan i Ślżaków” Kierunki z 12.I.1958., oraz w art.: “Raz jeszcze o bitwie pod Kolbuszową” Kierunki z 2.II.1958 r., iż chociaż “w art. dr Kazimierza Skowrońskiego tło operacyjne jest również – jak w literackim opisie Jana Józefa Szczepańskiego w “Polskiej jesieni” - błędnie przedstawione (koncentracja wojsk polskich w Kolbuszowej przyp. mój (podają ona natomiast) w ocenie byłego szefa sztabu Armii “Kraków”) bardzo wartościowy opis przebiegu kolbuszowskiego boju”. 2/

W międzyczasie przybyły nowe materiały: w realiach odnalezienie się byłego dowódcy dwu akcji pod Kolbuszową, odkrycie nieznanego dotąd grobu sześciu jej obrońców, rozstrzelanych przez Wehrmacht, jako jeńcy na kolbuszowskim cmentarzu w nocy z 9 na 10-ego września 1939 r., udowodnienie istnienia polowego lotniska “Karasi” w Weryni (wbrew zarzutom red. Skarańskiego); w publikacjach historyków – prace Adama Kurowskiego “Lotnictwo polskie 1939 r.” Warszawa 1962 r., rozprawy ppłk. Steblika w “Wojskowym Przeglądzie Historycznym” i jego głosy polemiczne po stronie polskiej, 3/ po niemieckiej zwłaszcza pamiętnik Franza Josefa Straussa (uczestnika bitwy o Kolbuszowę) “Ein Kapitel Weltgeschichte aus Sicht der Panzerjager – Abteilung 38/SF/ in der ehemaligen 2 (Winer) Panzerdivision”. Schweinfurt NRF 1961 r.: w dziełach literackich wreszcie – obok dalszych wydań “Polskiej jesieni”, “Dzień coraz krótszy” Ryszarda Zielińskiego o gen. Józefie Kustroniu, byłym dowódcy bohaterskim 21 Dywizji

Piechoty Góralskiej, poległym na rzeszowszczyźnie, czy "Skrzydlate fatum" Władysława Kisielewskiego o akcjach bojowych 31-ej eskadry obserwacyjnej, w części z podkolbuszowskiego jej lotniska w Weryni.^{4/}

Akt pierwszy – spod Kolbuszowej

Rola Kolbuszowej w kampanii wrześniowej – jako centrum wideł Wisły i Sanu i głównego węzła ośmiu traktów we wszystkie strony Sandomierskiej Puszczy i Centralnego Okręgu Przemyskiego – rozpoczęła się na długo przed dniami bohaterskiej jej obrony przez odwoły G.O. "Bielsko – Boruta" Armii "Kraków" czy "Małopolska" 8 i 9 września 1939 r. przeciw uderzeniom 4 dywizji lekkiej i drugiej dywizji pancernej XXII Korpusu Pancernego 14 Armii, wojsk Grupy Armii "Sud" - "Południe"

Podstawą związanych z nią i Puszczą Sandomierską u Wisły i Sanu planów dowództw naczelnych: polskiego – obrona Centralnego Okręgu Przemyskiego i koncentracji wojsk u średniej Wisły do kontruderzenia, i niemieckiego – uchwycenia jej jako węzła gościńców w C.O.P. przez pierwszy w drugiej wojnie spadochronowy desant i stworzenie tu wielkiego kotła dla głównych grup Armii "Małopolska", stał się rozgłos lotnich manewrów w r. 1938 z decydującą "Bitwą o C.O.P." pod Kolbuszową i defilada polskich wojsk wobec przedstawicieli państw "osi Berlin – Rzym – Tokio" na rynku w Kolbuszowej.

Pierwszy wkład podkolbuszowskich stron, gdzie się znajdował przecież przed wrześniem znany poligon dla artylerii, czołgów i lotnictwa w Sandomierskiej Puszczy, użyty za okupacji przez Niemców jako "Artillerieziel Feld Blizna" w "Heidelager Waffen SS" dla prób z V1 i V2, pole ćwiczeń w "podkolbuszowskiej Sacharze" osławionego "Africakorps" i baza wypadowa, zwłaszcza VI Armii marsz. V. Paulusa, przeciw Z.S.R.R., a po wyzwoleniu przez Czerwoną Armię w r. 1944, jako punkt wypadowy wielkiej ofensywy panc. wojsk I Frontu Ukraińskiego marsz. Koniewa – to złożenie tu, pod Kolbuszową, tuż przed początkiem kampanii wrześniowej, lotniska polowego w Weryni dla 31 eskadry rozpoznawczej dowództwa Armii "Karpaty" w Rzeszowie, w bliskim sąsiedztwie 56 eskadry obserwacyjnej w Mrowli i plutonu samolotów łącznikowych nr. 5 w Zaczerniu w dyspozycji tego dowództwa (gen. Fabrycy). ^{5/}

Lotnisko, ukryte za lasem Weryńskim, ogrodem i parkiem Tyszkiewiczów w Weryni, urządzono w tajemnicy z końcem sierpnia, stało się ważną bazą wypadową bojowych wypraw kluczy "Karasi" (według miejscowej tradycji i na Berlin). ^{6/} i krótkiego pobytu 23 i części 26 obserwacyjnej eskadry Armii "Kraków" (może i części "Łosi" z Mielca), nie zostając, aż do ewakuacji w dniach 8 i 9 września wykryte i zbombardowane przez Ju – 86 i 87, Do – 17 czy He – 111, czwartej floty powietrznej Niemców z lotnisk na Śląsku i w Słowacji, aby doczekać swego renesansu po wyzwoleniu, od sierpnia 1944 r. po luty 1945 r., na usługach lotnictwa I Frontu Ukraińskiego Czerwonej Armii (obok wielkich lotnisk radzieckich w Lipnicy i Niwiskach).

Lotnisko to pod Kolbuszową objęła już w dniu 31 sierpnia 31 eskadra rozpoznawcza, zmobilizowana w 3 pułku lotniczym w Poznaniu, w pełnej gotowości 9 samolotów bojowych typu "Karas" z uzbrojeniem 6 K-Mów trzyosobowej załogi, z wyrzutnikami bomb 100 kg i odłamkowych 12 kg i radiostacjami N 12/2 każdy. Osobowy skład eskadry wynosił blisko 150 lotników i techników służby: 18 oficerów, 2 podch. rez., 51 podoficerów, 75 szeregowców pod dowództwem kapitana pilota Witalisa Nikonowa, na kwaterach w pałacu i we wsi Werynia i w hotelu R. Deca w Kolbuszowej. Maszyny krył cień drzew ogrodu i gąszcze żywopłotu, Ursusy techn. bazy i warsztaty naprawcze gospod. zabudowania, składy paliw i smarów, sterty lotn.

bomb, nieodległe partie parku, a nawet – te ostatnie – opieka św. Jana Nepomuka w klasycystycznej kapliczce u meandru szosy na Leżajsk i Łańcut. 7/

Już w dniu 1 września eskadra wykonała dwa loty rozpoznawcze nad teren zachodniej Słowacji, skąd ruszyła na południe Polski 14 Armia, rozpoznając duże lotnisko nieprzyjaciela w Igllo k. Spiskiej Nowej Wsi i pancerną kolumnę Niemców w marszu ku polskiej granicy w górskim wąwozie, wymarzony cel do zniszczenia przez bombardowanie.

Meldunek skłonił dowódcę lotnictwa Armii “Karpaty”, ppłk. dypl. pil. Olga. Tuskiewiczza do wydania całej 31 eskadrze rozkazu gotowości do akcji bojowej, która udaremniłaby wypad XXII Korpusu Pancernego ze Słowacji dla oskrzydlenia G.O. “Bielsko” i X Brygady Zmot. Armii “Kraków”. 8/

Zakaz Naczelnego Wodza “bombardowań lotniczych poza granicami państwa” uniemożliwił tę konieczną akcję bojową lotników spod Kolbuszowej.

Wyprawa bombowców 31 eskadry w Weryni na koncentrację przyszłych zdobywców Rzeszowszczyzny – 4 dyw. lekkiej i 2 dyw. panc. XXII Pancernego Korpusu do skutku nie doszła z winy Naczelnego Dowództwa. Poznańscy “weryniacy” nie dokonali spod Kolbuszowej pierwszego bombardowego nalotu na teren III Rzeszy, wykonali za to w dniu 2.IX trzy dalsze loty rozpoznawcze ruchów wroga na kolejnych liniach Słowacji i na styku XXII Korpusu Pancernego z Armią “Kraków”. W tym dniu, w sobotę, pod wieczór eskadra Luftwaffe, przelatując nad Kolbuszową i Werynią, w masowym nalocie zmasakrowały Chmielów, co z wizją groźnego pożaru wywołało żądę odwetu prze zbombardowanie lotnisk rozpoznawczych w Słowacji. Apel dowództwa 31 eskadry i lotnictwa Armii “Karpaty” do Naczelnego Dowództwa Lotnictwa został znów odrzucony, odtąd jednak podkolbuszowska eskadra lotnictwa liniowego zmienia charakter z rozpoznawczej, który przejmuje 56 obserwacyjna w Mrowli, na bombardującą, jak w brygadzie bombowej, urządzając już 3 września – prócz lotu na rozpoznanie wzdłuż linii kolei na Kraków (straci w nim Karasia por. Możdżenia nad Mościcami) 9/ - wielką wyprawę bombową na pancerną kolumnę 4 dyw. lekkiej na szosie Nowy Targ – Chabówka dla odciążenia G.O. “Boruta” armii “Kraków”, zagrożonej oskrzydleniem.

Wyprawę siedmiu “Karasi” z bombami z lotniska w Weryni na czele z dowódcą eskadry, kpt. pil. Nikonowem poprzedził lot zwiadowczego Karasia dla odkrycia celu – niem. kolumny pancernej. Po jego dołączeniu u Brzeska do eskadry, ta przeszedłszy z szyku trójkowego w “gęsi” - torowy, obrzuciła skutecznie bombami wrażliwą kolumnę na szosie i w dwukrotnych seriach lotów koszących ostrzelała Niemców z pokładowej broni. W akcji tej poznańscy “weryniacy” stracili dwa Karasie, jeden w powietrzu, drugi – dowódcy – przy lądowaniu na lotnisku w Weryni. 10/

“Czarna niedziela”, choć niby radosna z racji ujęcia się za Polską Anglii i Francji, kosztowała 31 eskadrę aż trzy Karasie, jedną trzecią stanu. Nadchodziły, po “klęsce bitwy granicznej”, dni “przełamania polskiej obrony”, gdy armia “Kraków” w odwrocie na linii Dunajca, potem Wisłoki, zmierza ku Sandomierskiej Puszczy w dwu G.O. - “Śląsk Jagmin” i “Bielsko – Boruta”, rozdzielonych Wisłą, w ustawicznej osłonie 10 brygady Panc. Mot. płk. Maczka i lotnictwa armii Kraków i Karpaty – już wkrótce złączonych rozkazem Naczelnego Wodza w Armię “Małopolska”. Wobec ciężkich strat 31 eskadry Naczelnego Dowództwa Lotnictwa kieruje ze Lwowa do Weryni trzy samoloty P-11 jako uzupełnienie, żądając w dn. 4.IX wzmożenia bombardowań pancernych sił nieprzyjaciela koło Tymbarku. Tego dnia czyni eskadra weryńska tylko dwa loty bojowe na styk z armią Kraków i nad Słowację, tracąc przy starciu z Weryni znowu jednego Karasia, nazajutrz 5.IX drugiego, wykonując już kilka lotów bojowych: nad Słowację, za Wisłę dla nawiązania łączności z G.O. “Jagmin” i Krakowska Brygadą Kawalerii, i nad Chabówkę dla wsparcia G.O. “Boruta” i X Brygady Zmotoryzowanej Kawalerii. Naczelnego dowództwo, odmówiwszy prośbie o bombardowanie kolumn pancernych, prących na Dunajec i

Zakliczyn, przez bombowe lotnictwo i jego dyspozycji, żąda wsparcia za działań za Wisłą, gdzie grozi odcięcie G.O. n "Jagmin" do przepraw w Sandomierską Puszcze u Szczecina i Baranowa. Eskadra spod Kolbuszowej, miał wspierać w groźnej sytuacji G.O. Boruta na ważniejszym odcinku frontu na południu, przerzuca akcję za Wisłę w rejon m. Kije w dwu kolejnych wyprawach bombowych, pierwszej z udziałem wszystkich czterech Karasi i drugiej już tylko z trzema Karasiami plus kilka maszyn R-XIII z 56 obserw. eskadry z Mrowli. Jeszcze we środę, 6.9., przybywa na lotnisko dwa samoloty uzupełnienia ze Lwowa, a w dniu następnym, 7.9., pod wieczór maszyny 23 obserw. eskadry G.O. "Bielsko – Boruta" i II/26 obserw. eskadry "Śląsk – Jagmin" Armii "Kraków" z lotniska u Szczucina przez Mielec do Weryni. "Samoloty odleciały do Kolbuszowej, wybito nam oczy" wspomina o tym we "Wspomnieniach" płk. Rzepecki.

Tego dnia armia "Kraków" przeszła pod rozkazy dowódcy armii "Karpaty", gen. Fabrycego, tworząc "Armię Małopolska" ze sztabem ewakuowanym z zagrożonego Staromieścia u Rzeszowa do Bachórze pod Dynowem.

Pierwszy akt wrześniowych działań u Kolbuszowej zbliżał się ku końcowi. Jeszcze 7 września, gdy spadły pierwsze bomby niemieckie pod stadionem obok miasta, 31 eskadra w składzie 5 maszyn odbyła z lotniska w Weryni dwa loty rozpoznania: w rejon walk G.O. "Boruta" u Dunajca i nad Słowację wschodnią, gdzie XVIII Korpus Górski, "Alpenkorps" gen. Kneblera z rejonu Bardejowa czaił się do skoku przez karpackie przełęcze na Żmigród i Duklę. W piątek 8.IX. W południe 31 poznańska eskadra obserwacyjna odleciała z lotniska w Weryni, zostawiając część sprzętu, bomb i benzyny swym następcom z eskadr krakowskich spod Szczucina, na nowe locum pod Cieszanowem. "Transport kołowy eskadry ruszył koło południa – pisze Władysław Kisielewski w "Skrzydlatym fatum" - w w godzinę później pięć Karasi i dwa "R W D" łącznikowe wzniosły się w powietrze. Start i lot odbyły się szczęśliwie. Nowe lotnisko było gorsze od poprzedniego". 1/

Następcy 31 eskadry w Weryni, eskadry krakowskie w część "Łosi" z Mielca, przebywać będą tu krótko, też nie odkryte przez niemieckie Luftwaffe. W piątek stały jeszcze na tutejszym lotnisku, zapewne do przedpołudnia w sobotę 9.IX. (dnia bitwy pod Kolbuszową), gdy po ostatnim stąd locie na rozpoznanie, dowódca II/26 obserwacyjnego plutonu składał dowództwu armii - "Małopolska" meldunek: "Stwierdziłem kolumnę motorową, zaczynającą się po zachodniej stronie Kolbuszowej, a ciągnącą się aż po Mielec. Po stwierdzeniu tego, wylądowałem na lotnisku i wydałem rozkaz zapuszczania maszyn i startowania do Przemyśla". Wcześniej już może - "po południu tego dnia (8.IV.)", jak podaje A. Kurowski – ewakuowały się maszyny 23 obserwacyjnej eskadry z Krakowa i część Łosi z Mielca (z kapotażem Karasia w Weryni i Łosia w Osiej Górze u Ranirzowa) "na lotnisko Medyka wskutek zagrożenia Kolbuszowej przez niemieckie kolumny zmotoryzowane."12/

Rajd trzech Ursusów z 31 obserwacyjnej eskadry "na stare lotnisko po zostawione tam bomby i benzynę" rankiem 9 września, dotarłszy "pod prąd" odwrotu dopiero pod noc przez Sokołów do Weryni u Kolbuszowej, uzyskać informację, że "miejscowość tę zajęli już Niemcy".

Lot rozpoznawczy maszyn tej eskadry rano 10 września stwierdził smutną prawdę tej wieści. "Kolbuszowa, niedaleko której było ich lotnisko, stała jeszcze w ogniu. Na drodze ujrzeli tabory niemieckie i długą kolumnę broni pancernej." 13/

Akt drugi – przez Kolbuszowę

Zanim dojdzie do podwójnego boju pod Kolbuszową w dniach 8 i 9 września, przeszedł przez miasto, powiat i Puszcze – już po klęsce "bitwy granicznej" - wielki pochód Wojska Polskiego w

odwrocie za San, a także prawdziwa rzeka uchodźców od Bielska, Katowic, Krakowa.

Zaczął się już we wtorek 5.IX (w tut. targ), gdy miasto minęły pierwsze mechan. pojazdy osób cywilnych i ewakuowanych władz, co wzmogło wieczorne i ranne warty obywatelskie z obawy “przed dywersantami”, odprowadzane ochoczo, choć bez broni. W nocy z 6 na 7 września rozpoczęły się przemarsze wojskowych jednostek w związku z rozkazem Naczelnego Wodza (6.IX godz. 17), łączącym – wobec zagrożenia przez niem. XXII Korpus Panc. Małopolskiego frontu – dwie południowe armie “Kraków” i “Karpaty” w Armie “Małopolska” dla jego umocnienia i wstrzymania Niemców na linii Dunajca czy Wisłoki. W rejon Sandomierskiej Puszczy zmierzała przede wszystkim w odwrocie dwoma szlakami armia “Kraków” w dwu grupach: na północ od Wisły pod wodzą gen. Szylinga w składzie G.O. “Jagmin” gen. Sadowskiego (23 i 55 D.P., fort. grupa płk. Kłaczyńskiego), 22 Dyw. Piech. i Krak. Brygada Kawalerii, przebijając się spod Nowego Korczyna i Wiślicy na Stopnicę i Brody przez Wisłę, Szczucin i Baranów, by przejść we większej części przez północną połąć kolbuszowskiego powiatu (na Majdan Królewski) za San, oraz na południe od Wisły pod wodzą gen. Boruty Spiechowicza jako G.O. “Boruta” w składzie 6D.P. i 21 D.P.G. z resztą I Brygady Górskiej i główną swą siłą – 10 Brygadą Kawalerii Zmotoryzowanej płk. Maczka na osi odwrotu znad Dunajca Radomyśl Wielki – Kolbuszowa.

Ruchy wojsk w rejonie Kolbuszowej – prócz rosnącego nacisku Niemców – wzmogły w tych dniach poprzedzających boje o nią dwa rozkazy dowództwa armii “Małopolska” z Bachorza u Dynowa, z nocy z 6 na 7.IX, by za miejsce postoju dowództwa armii “Kraków” obrać albo Mielec albo Kolbuszowę, 14/ i z wieczora 7.IX dla G.O. “Boruta” w Zassowie i 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej w Radomyślu Wielkim – już po wtargnięciu XXII Korpusu Pancernego za Dunajec w rejon Tarnowa z uderzeniami jego 2 Dywizji Pancernej na “Borutę” z flanki u przeprawy pod Biskupicami, a 4 Dyw. Lekkiej na odwrót 24 D.P. nad Wisłokę pod Pilzno i Dębicę – by G.O. “Boruta” cofał się na Wisłokę u Mielca, a 10 Brygada Kawalerii Zmobilizowanej natychmiast ruszyła przez Kolbuszowę dla osłony Rzeszowa i zagrozenia XX Korpusowi Pancernemu drogi po rzeszowskiej osi od Sanu u Radymna. 15/

Odwrót przez Kolbuszowę osiąga swój szczyt w dniu 8 września, w piątek, gdy w mieście przebywali, prócz płk. Maczka trzej generałowie: dowódca G.O. “Boruta”, gen. Spiechowicz, dowódcy 6 D.P. gen. Mond, i 21 Dywizji Piechoty Górskiej, gen. Józef Kustroń. Chyba najpierwej i najśluszniej – ewakuowały się przez Kolbuszowę polowe szpitale armii “Kraków”, zmobilizowane przez zapasową kadrę 5 szpitala Okręgowego w Krakowie, jako pierwszy Nr 501 dla 6 D.P. z gros kadry do Rzeszowa dla urządzenia tymczasowego szpitala ewakuacyjnego Armii (mjr dr L. Goldberg), potem nr 502 dla 21 D.P.G. (mjr dr St. Augustyn) i nr 561 jako szpital odwodowy armii (ppłk dr Wal. Popek), wreszcie szpital nr 503 (mjr dr Józef Pająk) przeznaczony dla 23 D.P. i całej G.O. “Śląsk – Jagmin”. 16/

Z kolei – na rozkaz dowódcy armii “Małopolska”, gen. Fabrycego, zamknięcie głównej magistrali Dębica – Rzeszów – Jarosław, przed XXII Korpusem Pancernym, “by zyskać choćby tylko dwa dni czasu na zorganizowanie obrony nad Sanem pod Jarosławiem, Radymnem i Przemyślem” - 17/ ruszyła w nocy z 7 na 8 września 10 Brygada Zmotoryzowana z Radomyśla Wielkiego, drogami do Przeclawia i Mielca na Kolbuszowę pod Rzeszów. “Szliśmy przez Mielec i Kolbuszowę po marnych i wąskich drogach, wśród zarostów (uciekiniery i grupy wojsk) drogowych, przez które trzeba było przecinać się siłą” - wspomni w r. 1960 szef sztabu Brygady Franciszek Skibiński w “Pierwszej Pancerniej”, a cel marszu przypomni w r. 1961 jej dowódca płk. Stanisław Maczek we wspomnieniach “Od podwoły do czołga”: “Rzeczą najpilniejszej wagi jest zabiegnięcie drogi temu zagonowi (4 dyw. lekkiej Niemców) przez Brygadę, możliwe jeszcze w rejonie Rzeszowa. Zadaniem brygady jest wygrać dla Armii (“Małopolska”) dwa cenne dni 8 i 9 września, potrzebne dowódcy armii na obsadzenie obronnej linii Sanu”. 18/

Zostaną one wygrane dzięki obronom Rzeszowa, Łańcuta – i Kolbuszowej. Na razie płynęła przez nią nocą i rankiem rzeka kawalerii zmotoryzowanej: szwadrony 24 pułku ułanów, 10 pułku Strzelców konnych, łączności, dywizjon rozpoznawczy armat przeciwpancernych, artylerii motorowej i przeciwlotniczej, kompanie czołgów Vickers i lekkich “czołgów TKS ze służbami, wstawione już w bojach od 1 września. Ich przemarsz i postawę ujął pięknie Jan J. Szczepański w “Polskiej jesieni” w rozdziale “Koncentracja” (w Kolbuszowej) w słowach: ”Najlepsze wojsko, potęga, potęga”. Z 10 Brygadą jechały przez Kolbuszowę na Werynię szwadrony kawalerii dywizyjnej 6 dyw. piechoty i 21 dyw. piechoty górskiej, co upiększył autor “Polskiej jesieni”: “teraz po obu stronach drogi zaroily się od kawalerii. Napływała od tyłu (od Przecławia i Mielca) szeroka ławą. To było piękne wojsko. Konie dobrane maścią w szwadronach szły lekko i kapryśnie, jak na defiladzie. Wsparci kułakiem o uda jeźdźcy przeżyli się na grzbietach wierzchowców z jakimś anachronicznym wdziękiem i butą. Ci nie wyglądali (też) na cofających się”.

Kolbuszowa i Kolbuszowianie patrzyli na nie – nie przeczuwając jutrzejszego (9 września) losu – jak “na złudzenie marszu naprzód, a nie odwrót” według opisu w “Polskiej jesieni”. “Miasteczko wydawało się czyste, nawet wesołe. Tak, było wesołe i ożywione, jak żadne z tych, przez które przejeżdżaliśmy dotychczas. Ludzie śmiali się do nas z chodników, pozdrawiali przyjaznymi gestami (było święto), a zgrabne pasjonarki podbiegały ku nam z dzbankami pełnymi wody z malinowym sokiem”. 19/ Chociaż – rankiem opuściły miasto na “polskich fiatach”, zabranych spółce Osiniak i Zieliński, władze z policją i mężczyźni w wieku poborowym: za San”, a jeszcze nocą opadła na spadochronach w rejonie Błonia znaczna grupa niemieckich spadochroniarzy, kryjąc się w lasach, lub w cywilnych i wojskowych ubraniach przemykając między domy, skąd część ich wyłowiła i zlikwidowała polowa żandarmeria z pomocą mieszkańców (na swoje i Kolbuszowej nieszczęście).20/

Gdy rozkaz dowódcy armii “Małopolska” skierował 10 Brygadę Kawalerii Zmotoryzowanej przez Kolbuszowę pod Rzeszów dla obrony magistrali przed 4 dyw. lekką, Grupa Operacyjna “Boruta” miała bronić linii Wisłoki i Mielca w oparciu o lasy wokół Kolbuszowej, 21/ węzła dróg w centrum Puszczy w Centralny Okręg Przemysłowy, jak w wielkie letnie manewry w r. 1938 w “bitwie o C.O.P.”.

W wykonywaniu tego zadania dowódca Grupy Operacyjnej “Boruta”, gen. Boruta Spiechowicz postanowił w Radomyślu – po odejściu 10 Brygady – odejść lasami na Kolbuszowę. 22/

Marsz podjęła pierwsza 6 dyw. piechoty (krakowska) gen. Monda jeszcze o północy z 7 na 8.IX z Dąbrowy Tarnowskiej za Wisłokę z pułkiem K.O.P. Ppłk. Wojciecha Wójcika, resztką 1 Brygady Górskiej, osiagając rano i obsadzając Kolbuszowę. Nie były to “tylko – jak ocenia autor “Odwrotu Armii Kraków” – nieliczne pododdziały, wycofujące się na Radomyśl Wielki – Przecław – Kolbuszowa (główne siły odchodziły w większości bezładnie drogami wzdłuż Wisły na Szczucin i na Mielec – Majdan”) 23/, ale gros 6 dywizji, o czym najlepiej świadczy obecność sztabu jej i dowódcy gen. Monda w Kolbuszowej, który z tutejszej poczty złożył dowództwu Armii “Małopolska” koło południa meldunek o przybyciu 6 dywizji tu przed jednostkami 21 dywizji piechoty górskiej (podhalańskiej) gen. Kustronia. Prócz podanego składu “4 baony, kilka baterii, kompania telegrafistów i wszystkie tabory”, co zamieści gen. Fabrycy, wódz “Małopolski” w swym meldunku o sytuacji o godz. 3 rano 9 września do Naczelnego Dowództwa, w mieście znajdowały się w piątek przybyłe leśnymi szosami do Przecławia i Mielca, inne jeszcze jednostki krakowskiej dywizji, do których dołączyły tu czołówki idącej na Kolbuszowę dywizji podhalańskiej: kawaleria i artyleria dywizyjna, baterie 21 pal i 21 dywizjon artylerii ciężkiej, obok dywizjonów 5 p.a.c. “Kraków” i baterii 11 i 40 pułku art. lekkiej z części 24 dywizji piechoty.

Czy to był już – przed południem 8.IX, przed rozkazem gen. Fabrycego do gen. Monda dalszego

odwrotu za San - "dalszy, bezładny odwrot za San" (Stoblik), czy jeszcze "próba koncentracji w rejonie Kolbuszowej", jak pragnęli widzieć to: autor pierwszego opisu kolbuszowskiej bitwy (Skowroński) i – jeszcze bardziej – autor "Polskiej jesieni", oficer rezerwy J. J. Szczepański, w rozdziale o wymownym tytule "koncentracja". Oto on: "Przed wejściem na rynek... ulica (od Przeclawia) zatkana była po brzegi piechotą, minęło wiele czasu, nim wydostaliśmy się na rynek. Wielki, kwadratowy plac wypełniony był po brzegi szarozieloną masą wojska. Znać było w tym wszystkim jakiś ład. Wąskie miedze odgraniczały od siebie trzony poszczególnych formacji. Piechurzy siedzieli przeważnie na ziemi.

Przy oddziałach artylerii, taborów i pontonów bataliony ich wyglądały, jak zagony zgniecione wiatrem. Samochody, furgony i sprzęt wszelkiego rodzaju wypełniał przylegające ulice. Tu i ówdzie wznosiły się nad ciżbą leniwe dymki z kuchni polowych. To była koncentracja – nie ulegało wątpliwości. Koniec naszego błądzenia, początek realnej, wojennej pracy". 24/ Pewne światło rzucają pytania wszystkich uchodźców i żołnierzy: "Daleko do Kolbuszowej?", które – już po kolbuszowskiej bitwie – zastąpią: "Daleko do Sanu?", skąd według powszechnej wiary wyjść miała "polska ofensywa".

Zupełny zwrot przyniósł południowy rozkaz dowódcy Armii "Małopolska", odebrany przez gen. Monda na kolbuszowskiej poczcie, odwrotu G.O. "Boruty" - wobec nacisku XXII Korpusu pancernego na Rzeszów i Radomyśl – za San w rejon Ulanowa. 25/ Ewentualnie próba koncentracji przeszła od tej chwili w możliwie najszybszy odwrot na linię Sanu, tym więcej, że niemal równocześnie, aby nie dopuścić do utworzenia stałego frontu polskiego nad Sanem, Hitler wydał rozkaz okrążenia przez południowe skrzydło grupy armii "Południe" wojsk polskich w kotle Puszczy Sandomierskiej w widłach Wisły i Sanu, dokąd przez Szczucin i Baranów jęła przechodzić zza Wisły G.O. "Śląsk – Jagmin", skrzydło północne byłej armii "Kraków". 26/. Odskok liniowych jednostek 6 dyw. krakowskiej, nakazany rozkazem dowództwa armii "Małopolska", otrzymany telefonicznie w Kolbuszowej w południe, dla zorganizowania obrony Sanu w rej. Ulanowa, odbył się – na Sokołów – pod osłoną pierwszego boju pod Kolbuszową, który popołudniu 8.IX toczyć będzie samorzutnie korpus czołgów Vickers (zatrzymany tu z braku benzyny) 10 Brygada Kawalerii Zmotoryzowanej (główne jej siły bronią w tym czasie Rzeszowa) z częścią pułku K.O.P. ppłk. Wójcika u stadionu z zagonem pancernego zwiadu 4 dywizji lekkiej od Sędziszowa.

Odwrot liniowych jednostek 21 dywizji podhalańskiej z gen. Kustroniem do Kolbuszowej z rejonu Dąbrowy osłonił też popołudniowy bój w obronie Radomyśla Wielkiego z przednią strażą głównej kolumny niemieckiej 2 Dywizji Pancerniej od Lisiej Góry, toczony w mieście od wieczora pod wodzą pułkownika o nieznanym nazwisku przez części 2 batalionu 49 p.p. i może jakieś inne oddziały. 27/

W jego osłonie główne siły podhalańskiej dywizji uskoczyły przez Przeclaw, częściowo i Mielec do Kolbuszowej za sztabem i gen. Kustroniem, by maszerować stąd przez noc i rano 9 września, jak części 3 i 4 pułku strzelców podhalańskich, pułk 202, baterie 3/21 p.art. lekkiej, dywizjon armijnego 5 p. art. ciężkiej, nad San w rejon Rudnik – Leżajsk, względnie wziąć udział, jak 21 dywizjon artylerii ciężkiej, dywizjon mjr. Koziela (części 1/21 i 3/65 pułków artylerii lekkiej), batalion K.O.P. "Wołożyn", część formacji zapasowych, w bitwie pod Kolbuszową w sobotę 9 września, która uratowała większość południowej kolumny G.O. "Boruta" - głównie 21 dyw. piechoty górskiej – dla rychłych, bohaterskich działań za Sanem, ratując też 10 Brygadę Kawalerii Zmotoryzowanej przed taranem niem. 2 dywizji pancerniej z flanki.

Akt trzeci – w Kolbuszowej

Jeszcze trwa w pełni ruch odwrotowy jednostek 6 dywizji krakowskiej w Kolbuszowej w kierunku Sanu, a głównie siły podhalańskiej dywizji były w marszu ku niej na linii Wisłoki Przeclaw – Mielec, gdy około 15 godziny 8 września traktem do Sędziszowa przez Las Czarnieński zagroził kolbuszowskiemu węzłowi dróg na wschód nad San, na Nisko, na Rudnik, na Leżajsk i na Łańcut wypad wydzielonego oddziału 4 dywizji lekkiej, której główny trzon pod wodzą gen. Alfreda von Hubickiego podejmował właśnie bój o Rzeszów z 10 Brygadą Kawalerii Zmotoryzowanej płk. Maczka. Podjazd, złożony z kilkunastu tankietek i Horchów (opancerzonych wozów), zlustrowawszy pobieżnie z góry Bukowieckiej miasto z okolicą, z marszu uderzył na Kolbuszowę, docierając szpica 8 motocykli z przyczepami i trzech tankietek poza tartak Orgla pod stadionem. Tu przyjął go gwałtowny ogień broni ręcznej i maszynowej obrony miasta, zarządzanej przez gen. Borutę Spiechowicza, czy gen. Monda, z Lasku pod Stadionem i ze wzgórz Łysej Góry Szajby, który zniszczył motocyklowy zwiad (7 Niemców i kilka motocykli wzięto) i wstrzymał tankietki. W dalszym boju prawie trzygodzinny wzięły udział trzy Vickersy kompanii czołgów, odbitej tu od brygady Maczka dla braku benzyny, które odparły ogniem ponawiane kilkakrotnie szarże niemieckich tanków i Horchów, napływających z góry nad Bukowcem. Wobec zmasowania polskich jednostek w Kolbuszowej w obecności czołgów i “Karasi” na lotnisku w Weryni, artylerii różnych typów na ryglach wzgórz nad kotłina miasta u rz. Nilu, wydzielony oddział 4 dywizji lekkiej jeszcze popołudniu, po gwałtownej wymianie strzałów i strąceniu Ju-86 (spadł u Ranizowa), wśród nieznanych bliżej strat wycofał się w kierunku Bratkowic i Rzeszowa. 28/

Spotkaniowy pierwszy bój o Kolbuszowę, zostawiwszy ślad w urzęd. spisie niem. bitew i potyczek w kampanii wrześniowej “Gefecht bei Kolbuschow am 8 September”, przyniósł duży sukces G.O. “Boruta”, umożliwiając “niezakłócone przesunięcie 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej pod Rzeszów”. 29/ odskok głównych sił krak. 6 dywizji nad San i spokojną ewakuację 31 obserw. eskadry z lotniska w Weryni, które – na krótko – zajęła jeszcze obserw. eskadry krakowskie.

Zbliżał się 9 wrzesień, dzień właściwej bitwy pod Kolbuszową. Jeszcze przed nocą z piątku na sobotę kompania czołgów Vickers opuściła miasto z rozkazu dowódcy broni panc. armii Kraków, ppłk. J. Goreckiego już nie na zajmowany przez Niemców Rzeszów dla powrotu do 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej, szykującej się do obrony Łańcuta, lecz dla wsparcia krak. 6 dyw. nad Sanem u Niska. Obrona Kolbuszowej, której “utrzymanie miało duże znaczenie, gdyż umożliwiało oddziałom 21 D.P.G. i 1 B.G., znajdującym się w tle, oraz przeróżnym formacjom, wycofanie się z rejonu Tarnowa i Dębicy, kontynuowanie odwrotu przez Puszcę Sandomierską nad San najprostszą osią, wyprowadzającą z kolbuszowskiego węzła trzema drogami: na Leżajsk, na Rudnik i Nisko”. 30/ przeszła w ręce Podhalan. Właśnie główne siły 21 dywizji z gen. Kustroniem nocą i rankiem 9.IX osiągnęły w odwrocie miasto z okolicą, skąd skierowały się głównie przez Sokołów, osiągnięty w południe (spotkanie gen. Kustronia z szefem sanit. “Krakowa” ppłk. dr Gergowichem), dla przyjęcia na rozkaz gen. Boruty Spiechowicza - “obrony Sanu na odcinku Krzeszów – Sieniawa” z miejscem dowodzenia w Bielinach, potem w Leżajsku. 31/ Równocześnie połowe lotnisko w Weryni opuściły ostatnie “Karasie” obserw. eskadr krakowskich, odlatując na lotnisko w Medyce pod Przemyślem. 32/

Miasto jednak nie pustoszało w przedpołudnie, choć jego wygląd jakże daleki był od obrazu danego w “Polskiej jesieni” jako miejsca “koncentracji”. Wobec zajęcia Rzeszowa przez Niemców, boju o Łańcut i zagrożenia Przeworska z Jarosławiem ruch odwrotowy na osi południowej przez Kolbuszowę na Leżajsk zaczął się zmniejszać, obciążając raczej osi północne przez Puszcę do przeprawy przez Wisłę u Baranowa na Majdan Królewski, Bojanów,

Rozwodów – Nisko w Zasanie, które dy przenikały już w północną rubież kolbuszowskiego powiatu pierwsze oddziały G.O. “Śląsk – Jagmin” byłej armii “Kraków” zza Wisły. W niebezpiecznym położeniu znalazły się przed południem w Kolbuszowej formacje tyłowe 21 dywizji podhalańskiej z oddziałami nadwyżek rezerwistów, z resztkami batalionu K.O.P. Wołożyn i baonu 2 z 49 p.p., zapasowych formacji 6 i 21 dywizji piechoty z G.O. “Śląsk – Jagmin” z oddziałami Straży Granicznej i grupkami “Strzelca” z Suchej. 32/ i powstańców śląskich batalionu “Mikołów” Obr. Narodowej. 33/ ku którym zdążyły szybko główne siły 2 dywizji pancerniej Niemców, przeszedłszy Wisłokę w bród (w obawie zaminowania mostów) Przeclawia i Mielca. 34/

Wiódł je z dowódcą gen. Veielem rozkaz dowództwa Grupy Armii “Południe” i 14 armii gen. Lista likwidacji prób utworzenia nowego frontu polskiego na Sanie także “przez najspieszniejsze przesunięcie się gros 2 Dywizji Pancerniej z rejonu Radomyśla przez Kolbuszową na oś główną Rzeszów – Łańcut – Jarosław”. 35/ Wykonując je, po ponownym zrzucie spadochroniarzy – dywersantów w nocy z 8 na 9.IX obok miasta, główne siły od Przeclawia a północna kolumna od Mielca weszły do lasu w celu opanowania Kolbuszowej jako ważnego węzła gościńców. Kolumna główna doszła ok. godz. 10 do wsi Niwiska. Stały tu odwody, w pałacu umieszczono sztab i lazaret, na wzgórzach działa i punkt obserwacyjny, po czym grupy czołgów ze zmotoryzowaną piechotą wsparcia traktem przez las zajęła wzgórze lesiste pod szkołą w Nowej Wsi, tworząc na panującym nad okolicą wzniesieniu Krokiew nad Błoniem pozycję wypadową na miasto i skrzydłowe przedmieścia Dolna i Górna Kolbuszowa. Armaty i czołgi zajęły stanowiska po obu stronach szosy, biorąc pod ostrzał pięć dróg odwrotu polskiego na bezleśnych niemal garbach Kolbuszowskiego Płaskowyzu. Niemcy w obawie przed 10 Brygadą Kawalerii Zmotoryzowanej – przygotowali się doskonale do “bitwy o COP” w Kolbuszowej. 36/

Inaczej było po stronie polskich ewentualnych obrońców. Sytuacja, w porównaniu do wczorajszej u Stadionu przeciw zagonowi 4 dywizji lekkiej od Sędziszowa, była zupełnie inna. W miejscu jednostek liniowych, otrząskanych w bojach, jak część 10 B.K. i pułku KOP płk. Wójcika, zajmowały miasto różne oddziały różnych broni, przeważnie piechoty, częściowo artylerii w Weryni, na wzgórzach Cmolasu, Kłapówki i miejskiego cmentarza na Piasku. Przygotowań do obronnego boju właściwie nie było – stanie się improwizacja o kilku ośrodkach akcji i dowodzenia, z których najważniejsze – por. Antoniego Krawca na czele 4 zapasowego baonu 20 pp. z Krakowa i kpt. Piotra Tymkiewicza, dowódcy 2 kompani baonu KOP “Wołożyn” poznaliśmy ostatnio powyżej i w art. Wojskowego Przeglądu Historycznego. Nie obejmują one wszystkich akcji i wszystkich środków dowodzenia. Uzupełnić je musi pierwszy opis boju “Dzienniku Rzeszowskiego” pt. “Bój o Kolbuszową” (1945 r.) tym bardziej, że literacko – wspomnieniowy obraz kolbuszowskiej bitwy w “Polskiej jesieni” jest w zupełności niezgodny z jej obrazem historycznym. Autor wspomnień, bawiąc z baterią obok pałacu w Weryni, widział ją w ten sposób: “W tym momencie załomotała nowa seria wybuchów... Wypadliśmy na drogę. Tłum żołnierzy i chłopów mrowił się w miejscu. Ludzie pokazywali coś sobie, wyciągając dłonie i zadzierając głowy... Trzy błyszczące w słońcu maszyny wykonywały wiraż ponad wzgórzem, zasłaniającym nam Kolbuszową. Od dołu rósł ku nim brudny kłak dymu... Z daleka nadciągały trzy bombowce, nie śpiesząc się trzymając pedantycznie szyk. Huk nowych wybuchów przecwałował po ziemi. A gdy druga trójka Heinklów zawracała z kolei, odezwało się szybkie miarowe szczekanie działek... Dym ponad wzgórzem (zapalanej bombami Kolbuszowej w czasie koncentracji w niej dywizji) urósł teraz w wysoki słup, zrzędł i rozmywał się szaro na niebie. Nie słyszeliśmy już strzałów, tylko wrzawa biegnącego tłumu rosła. Coraz więcej sylwetek ukazywało się na horyzoncie, pojedyncze wozy taborowe gnały na oślep, skacząc po zagonach. - “Uciekają skurwysyny, uciekają dranie” - Pierwsza fala zbiegów dotarła już do opłotków (Weryni) “czołgi”, “czołgi”. To widok z Weryni. A bitwa w relacji rozbitka wyglądała tak:

“Bezsens grupowania tak wielkiej ilości wojska na jednym miejscu. Bomby niemieckie spadły na rynek jak w mrowisko, powodując nieopisane zamieszanie. Ludzie tratowali się nawzajem, szyki formacji splątały się tak, że o przywróceniu jakiegoś ładu nie mogło być mowy. Wtedy właśnie nadjechały czołgi. Szły same bez wsparcia piechoty prażąc ogniem z bliska i torując sobie drogę przez oszalały w panice tłum. Koncentracja... rozprysła się w jednej chwili, rozproszyła się na wszystkie strony, nie usiłując nawet stawiać oporu i porzucając większość swego sprzętu”. 37/ Było całkiem inaczej. Bez bomb, bez koncentracji, lecz z oporem południowym! Mówią o tym wyraźnie ostatnie, powyższe relacje uczestników – dowódców kolbuszowskiej bitwy. Ale jeszcze – pierwszy jej pisarz z r. 1945 pióra autora, po uznaniu go “za bardzo wartościowy opis przebiegu boju kolbuszowskiego” przez byłego szefa sztabu armii “Kraków”, po daniu składu niemieckiego ataku: 1 batalion Gablera z 4 pułku czołgów, 2 pułk strzelców zmotoryzowanych i 2 kompania 38 batalionu ppanc. według relacji Fr.J. Strausa z 38 bat. b.2. “Wiener Panzerdivision” uczestnika boju. 38/

Kulminacyjny punkt i katastrofa

“Bitwę zaimprovizować miały resztki grupy odwrotowej znad granicy (G.O. “Bielsko”), spieszące gościńcem od mielca, które nie znały głównego kierunku niemieckiego natarcia, ani siły nieprzyjaciela. Zakorkowane w kotlinie miasta, rzeką przeciętej karawaną uchodźców – plagą kompani wrześnieowej (z cyrklem “Korona” z bielska ze słoniami), czekały na przepust w główny trakt odwrotowy – na Sokołów. Jedyne część wojska, oddział artylerii ciężkiej (5 dywizja artylerii ciężkiej) i z 10 aut ciężarowych z Raniżowa, chcąc z powrotem ominąć korek około południa u “zakrętu śmierci” ku Weryni, zjechały na szosę na Rzeszów, nie wiedząc o jego zajęciu przez Niemców.

Tuż przed południem zlikwidowano spadochroniarzy i kilku szpiegów na polach księżych koło kościoła i na Pasterniku Kolb. Dolnej (odpowie za to miasto i niektórzy jeńcy), szykując pod południe obiad w taborach na ulicy Mieleckiej i po domach w ulicy 3 Maja od Przeclawia. Nic nie zwiastowało rychłej już, blisko sześciogodzinnej bitwy. Szpica u Krzyża pod Błoniem usunęła snem sprawiedliwych (wycofała się już wśród boju ku Stadionowi).

Przed godziną 13-tą z Krokwi u Błoni od Nowej Wsi runęła nagle w dół ul. 3 Maja niemiecka czołówka motocyklowa z kilku oficerami (major, 2 kapitanów). Nim dotarła do rynku, między szkołą i apteką została do nogi wybita strzałami żołnierzy, wybiegających z domu na łoskot motorów. Nadjeżdżały pędem dalsze. Powitał je ogień kb i CKM z sieni i okien kamienic u wylotu w rynek ulicy 3 Maja i Sędziszowskiej. Po likwidacji pierwszej próby zajęcia miasta z zaskoczenia przez oficerską czołówkę motocyklową, 39/ padły w miasto pierwsze niemieckie pociski armatnie i kilka samolotów wykonało zwiadowcze loty, chcąc wykryć polskie stanowiska i siły.

Nieco inaczej, choć do opisu autora, mniej do relacji porucznika Krawca, wyglądał początek kolbuszowskiego boju w ustnej relacji ppłk. Bałosa dla ppłk. Steblika z r. 1958. “na rynek wjechały nagle – zapewne od Nowej Wsi – niemiecki samochód ciężarowy, którego załoga 5 żołnierzy Austriaków, zaskoczona obecnością Polaków, poddała się bez oporu. W ok. 15 min. później wjechał na rynek motocyklista SS-mann i podzielił los poprzedników. Wzięty na badania przez jakiegoś polskiego kapitana artylerii, powiedział, gdzie są czołgi i artyleria, dodając, że za ok. 15 min. może ona otworzyć ogień na Kolbuszowę – a więc była przygotowana i nie

przypadkiem rolę wabia grał ów samochód: - czemu nie chciał dać wiary ów kapitan. - Był nim zapewne kpt. 5 pac. Chyży, organizator oporu w ulicy 3 Maja i w ul. Sędziszowskiej, który po bitwie u ks. Litwińskiego w Tusz. Ostrowach wziął na siebie "winę" za kolbuszowską bitwę i jej skutki. Po upływie 10 – 20 minut znów "jak do swoich" wjechały na rynek 3 czołgi. Wówczas dywersant z kościelnej wieży otworzył ogień do polskich oddziałów z maszynowej broni Czołgiści zaś zostali przez por. Różanowicza i ppor. Sanickiego ostrzelani z rkm i przy próbie ukrycia się pod czołgi polegli. Zaraz po tym epizodzie niemiecka artyleria otworzyła ogień na Kolbuszowę i ruszyły na miasto czołgi. Zaskoczeni żołnierze z kilku oficerami i podoficerami, przygotowali naprędce obronę w rynku i w ul. Okrężnej (dziś Mickiewicza i Bytnara) na wzniesieniu kościoła, na cmentarzu na piasku gdzie zatoczono armaty (baterię 1 i 3 dyw. 21 p.a.l., któraś zajęła pozycje za Pasternikiem i rzeką Nilem k. Augustynowiczów) i umieszczono łańcuch CKM-ów, jak i wzdłuż traktu na Mielec, przez Kolbuszowę Dolną (aż po jej zakręt, głównie u dróg za rzeką pod Szajtrówką, na Derenie i pod Jadachem). Front polskiej obrony od Stadionu nad traktem od Sędziszowa przez miasto i mielecką Dolną miał w przybliżeniu około 4 km. długości. Zbliżała się II faza spotkaniowej, przez polską stronę zaimprovizowanej bitwy (ujmie ją bardzo dobrze relacja porucznika Krawca). W międzyczasie, gdy uwaga obrońców skupiła się na walce u wylotu ulicy 3 Maja, kolumna lekkich czołgów ("Panzer 1/u.2") zajęła wypadowe stanowisko, bez wsparcia piechoty na wyżynie Krokwi, panującej nad miastem od zachodu u węzła polnych dróg, zbiegającym stąd szerokim wachlarzem ku przedmieściu Piasek z mielecką Dolną, i ruszyła, biorąc skrzydłami matni 2km. zasięg, z wolna od ataku na tę część miasta. (wróg odcinał je od Mielca, potem od szosy z Tarnobrzegu, cisnąc mniej na Stadion i Kolbuszowę Górną, jakby w oczekiwaniu stąd pomocy od 4 dywizji lekkiej z Rzeszowa dla wzięcia w kocioł sił polskich w mieście, które stanowczo wysoko przecenił).

Natychmiast wzięły je pod ostrzał działony artylerii z przeciwnych wschodnich wzniesień od Cmolasu przez Zarebki, Werynię i Kłapówkę po górę pod Kupnem u rzeszowskiego traktu. Nad kotłina Kolbuszowej wywiązał się artyleryjski pojedynek, gdy w dole, w mieście u zaciekle bronionego rynku i grzędy Piasku rozpętało się piekło ognia kb i CKM-ów. Mijały chwile walki. Oslaniane bohaterską obroną Kolbuszowej jednostki armii polskich uchodziły za San. Projektowany przez niemieckie Naczelne Dowództwo kocioł w widłach Wisły i Sanu (dla armii "Kraków") i niezamknięty przez tutejszy niespodziewany opór na głównym trakcie marszu 2 dywizji pancerniej przez Kolbuszowę na Sokołów, Żołyń, Jarosław, opróżniał się bardzo szybko. Niemcy stosują teraz nową formę walki – dwa zagony czołgów: z lewej flanki, ważniejszy dla nich, od mieleckiej Dolnej i z prawej, mniej ważny, przez Nowe Miasto, rzekę Nil w przedmieściu Kąty na Kolbuszowę Górną i rzeszowski trakt, biorą samo miasto, główną bazę obrony w okrażeniu. Za ich "schodkami", uliczkami ku Górnej i drogami polnymi ku Dolnej, suną kolumnienki piechoty bliskiego wsparcia. Bronią tych redut boje mniej rozpoznane jednostki (od strony Stadionu i Górnej morze dywizjony armijnego 5 pac z marszu baonem "Dąb", rozbite przez Niemców w lasach Widelki i Głogowa, od strony Dolnej obrońców Radomyśla 8.IX – 2 bat. 49 pp z bateriami 21 dac).

Teraz w centrum miasta na Rynek z kościołem i Piasek z cmentarzem spadła nawała ognia niemieckiej artylerii. Buchnęły pożary. Kolbuszowa od Poczty przy ulicy Sędziszowskiej po krańce Piasku i mielecką Dolną stanęły w ogniu. Krzyk ludzi, ryk płonącego bydła i koni, wycie egzotycznych zwierząt z cyrku "Korona" u Szajtrówki uderzyły w niebo, sypiące żarem upału. Polskie armaty cichły wzięte w ostrzał przez niemiecką artylerię z Krokwi, od Sokoła (dziś P.D.K.) i Stadionu, kierowaną sygnałami czerwonych rakiet z szybujących nad pozycjami Henschli, jej ogień zapalił domy w Weryni i przy zabytkowej farze w Cmolasie. W tym

momencie lewy zagon czołgów dotarł do mieleckiej szosy, u zakrętu pod Jadachem sforsował go i doszedł do rzeki Nil u Derenia, wobec słabszego oporu strzelców huculskich. 40/ Trzy czołgi, nie ryzykując dotarcia do bliskiego na Dolnej traktu na Tarnobrzeg, wzdłuż Nilu przez Pasternik jęły sunąć ku miastu, kosząc seriami K.M. Miejscowych ludzi i żołnierzy na Niezgodówce i Szajtrówce. Atakowane z flanki i z frontu od Błonia gniazda oporu na Dolnej przy Mieleckim trakcie poczęły kolejno milknąć ku miastu, wróg darł się na tylne centrum obrony (baon zapasowy 20 pp. por. Krawca), paląc pociskami z raketnic zagrody Dolnej i Piasku i grożąc obrońcom odcięciem dróg odwrotu na Zarebki i Werynię. Równocześnie z zajęciem Dolnej mieleckiej wróg wdarł się prawym zagonem lekkich czołgów przez Nowe Miasto i Kąty, zapalone już po zdobyciu, prąc przez targowice i Nil ku traktowi na Rzeszów, którego bronila – dość słabo – nieznana jednostka (prawa część baonu 12 p.p.) z murowanych zabudowań folwarku Tyszkiewiczów z gorzelnią, aby okrążyć – metodą Kannów – sam rdzeń miasta w rynku i kościołem, główną reductą boju. Mimo grozy położenia środek walczył. Duszą oporu byli oficerowie 3 pułku strzelców podhalańskich i 20 p.p. z Krakowa (jak w relacji por. Krawca). Następuje krótka, gwałtowna nawała ognia niemieckiej artylerii na centrum Kolbuszowej. Polska cofa się na wschód, a wraz z nią kilka Teków, rozbijanych pociskami w lesie Weryni, w Ranizowie i w Woli. Raptem Niemcy przerzucając ogień na tyły polskiej obrony. Do szturm na miasto suną ul. 3 Maja średnie czołgi typu Panzer 3. Zamieniają w pogorzel ulicę Okrężną i wlot Sędziszowskiej w rynek. Obrońcy cofają się na drugą linię oporu po nadrzecznej pierzei rynkowej, zabudowanej od ratusza po kościół kamienicami. Wróg osiągnął rynek czołgami. Dobiegła trzecia godzina boju o Kolbuszowę – już w samym jej centrum.

Łańcuch czołgów uderzył koncentracyjnie w Rynek: od kątów przez ul. Piekarską na “wielki most”, na Nil, od wylotu z ulicy 3 Maja obok studni na “mały most”, z ulicy Mickiewicza ku wzniesieniu kościoła, od księżej drogi ku cmentarzowi i drodze na nil koło plebanii.

W mury obu kościołów, w pomniki cmentarza, w okna wikańców i kamienicy Karakiewicza, skąd bronili się strzelcy podhalańscy i krakusi z 20 p.p., luną potop żelaza z luf armat czołgowych i M.G. Powietrzem targnęły wybuchy ręcznych granatów, rzucanych pod gąsienice, i ostatnie pociski działonu 21 pal u dwóch bram na cmentarz. Unieruchomiły one dwa Panzer 3 pod kościołem i w wylocie księżej drogi. W walce wręcz człowieka z maszyną dokazywano cudów waleczności i w obronie, jak kanonier 21 pal Jak Kolata, który padł przy rozbitym dziale, i w ataku na panzery, jak por. Włodzimierz Dolecki z bat. KOP “Wołożyn” z dwoma kopistami Stanisławem Ryńcem i Edwardem Wróblem pod cmentarzem, strzelec Tadeusz Cyboran z komp. gospod. 12 pp. Tarnowskie Góry rozerwany granatem, który chciał rzucić pod czołg u kapliczki św. Anny, porucznik 11 pal dowódca plutonu Straży Granicznej Rajcza Józef, M. Niedzielski, ranny u dzwonnicy k. kościoła przy żucie granatem pod czołg, dobity przez Niemców. 41/

Wieniec ognia płonących domów na Piasku i pierścień czołgów (1 batalion Gablera z 4 p. czołgów (z piechotą wsparcia) 38 batalionu ppanc.) coraz bardziej otaczał dwie główne reducty obrony: cmentarz z kościółkiem, gdzie walczyli żołnierze 20 pp. (z 4 batalionu zapasowego por. Krawca) i rząd kamienic Rynku u Nilu, od kościoła aż po Ratusz, broniony zaciekle u wylotów ulic na “mały” i “wielki most” przez żołnierzy i oficerów Straży Gen. Rajcza, Lipnicy, Nowej Wsi oraz 3 pułku strzelców podhalańskich z 2 kompanii i 3 CKM-ów. Pierwsza osłaniała dwie drogi odejścia na trzecią linię oporu na Dolnej wzdłuż traktu na Tarnobrzeg: przez Pasternik i Nil na Zarebki i przejazd od cmentarza przez Nil u Księżych Stawów na trakt ku Weryni i tę wróg czołgami przez mur cmentarny, mimo oporu u kościoła (konał tu długo ranny por. Balcer), opanował pierwej, zmuszając obrońców do wycofania się na tarnobrzeską Dolną, której początek u krzyżówki traktów “koło Diamanta” płoną już w ogniu artylerii i stąd na Zarebki i Werynię, gdzie toczyła się u lizjery lasu czwarta – ostatnia linia oporu. Dłużej i jeszcze bardziej

rozpaczliwie i bohatersko walczyła druga reduta boju w nadrzecznej pierzei rynku i w ulicze Nad Nilem, szturmowana na wielki i mały most na Lipnik przez czołgi i tankietki (oficerską rozbili obrońcy) 42/ i piechotę wsparcia (z komp. 38 batalionu ppanc.). Rozwścieczeni oporem Niemcy palą wikarówkę, rozstrzelać chcą organistę p. Magdę jako “bandytę – partyzanta”, mordują granatem w sieni dwóch jeńców – żydów, pędzą wszystkich mieszkańców zdobytego rynku w wylot ul. 3 Maja pod Aptekę, innych, z Piasku i Dolnej mieleckiej drogami polnymi aż na Błonie. Mijają czwarta i piąta godziny bohaterstwa Krakowian, Podhalan i Ślązaków. Broni się jeszcze trzecia linia obrony na Lipniku, wśród jego starych drzew i gmachu Liceum za rzeką Nilem. W ogniu podhalańskich CKM-ów giną dwaj niemieccy oficerowie, pochowani na miejscu na Lipniku (z kompani 38 batalionu ppanc. koledzy tu walczącego, jako zastępcę dowódcy, Fr. J. Straussa. 43/: ppor. Hingst i por Hesse). Piechota wsparcia zdobywa dom po domie w dziś ul. Kościuszki, (co trafnie Strauss określił: “im Hauserkampf in Kolbuschowa”) u wylotu dróg na Kolejową u Chodkiewicza i obok Sądu (dziś ul. Kolejowa) na czwartą i ostatnią linię kolbuszowskiego boju – na górze Weryńskiej od sokołowskiego traktu aż po lasek Remiza i starą cegielnię – której aż do zmięzchu bronią Podgalanie i Ślązacy (z batalionu zapasowego 73 pp.), wspierani przed debuszem trzech lekkich niemieckich czołgów przez nie rozpoznane teki i artylerię z lizjery lasu w Weryni. 44/

Czołgi 2 Dywizji Pancerniej i Zmotoryzowanej piechoty (2 Schuetzenregiment) nie podjęły dalszego marszu na San, pozostając w zdobytym, płonącym mieście (wbrew rozkazowi “za Kolbuszową 2 dywizja w kierunku na wschód wrócić się na płd.-wschód, by uciekające wojsko polskie od skrzydeł zgarnąć ku środkowi, aby przez to potężny pierścień mógł się możliwie najszybciej zamknąć”, co przypomniał w pamiętniku swym Franz Josef Strass).

Epilog tragedii

Jeszcze w czasie boju Niemcy zaczęli palić celowo miasto z okolicą, bądź pociskami dla torowania drogi czołgom i piechocie, jak w ul. 3 Maja od szkoły ku rynkowi i na mieleckiej Dolnej, czy dla zapory ogniowej, jak u początku Dolnej tarnobrzesckiej, bądź przez pociski z raketnic już po zajęciu ulic, jak w Nowym Mieście, ul. Sędziszowskiej i na Piasku, wreszcie- już po zdobyciu miasta i wypędzeniu wszystkich mieszkańców – już z zemsty za straty przez polewanie benzyną z beczek domów i kamienic, skąd stawiano opór, jak w ul. Okrężnej, a zwłaszcza w Rynku od strony Nilu, zrzucając winę na “cofające się wojsko polskie- z zemsty za wypędzenie z miasta”.45/

Ogółem spłonęło: w mieście 71 domów, w obu częściach Dolnej 145, na Górnej 1, w Weryni 1 i w Cmolasie 5- obok zabytkowego kościoła z modrzewia, który zaczął płonąć, razem 223. Pożar ten, obserwowany podobno przez Hitlera z samolotu krążącego nad miastem, widoczny z dalekiej okolicy, stwierdził jeszcze na drugi dzień rozpoznawczy lot 32 eskadry. 46/

Straszne kikuty domów usunięte zostały z polecenia okup. landrata Twardona. Drugim aktem niem. zemsty za bitwę była brutalna eksmisja wszystkich mieszkańców Rynku, ul. Okrężnej, Piasku i mieleckiej Dolnej jeszcze pod koniec boju przez żołdaków 2 pułku strzelców (zastępcą dowódcy 38 batal. ppanc. był Strauss) do dwu obozów: pod Apteką w ul.3 Maja, gdzie spędzano też Żydów, skąd po rewizji mężczyzn przeprowadzano ujętych z powrotem na Rynek obok gmachu Orgla, gdzie obstawieni strażą z rozpylaczami i zaporą czołgów spędzić musieli noc nieopisanego strachu przed nurkującymi Stukessami; oraz na Błoni, dokąd pod silną eskortą zabrano ludzi, bez względu na płeć i wiek, z Piasku i z Dolnej.

W obu obozach, zwłaszcza na Błoniu, rozdzielano kobiety z dziećmi oraz mężczyzn, trzymanych o głodzie i chłodzie pod lufami M.G. pod zarzutem współdziałania jako "bandyci" z wojskiem w obronie miasta.

Dochodzenia prowadził Sondergericht z generałem na czele (gen. Veiel), który na prośby ks. dziek. Dunajeckiego i burm. Osiniaka, nie mając dowodów "winy" cywilnej ludności, zaniechał egzekucji mężczyzn, rozstrzelując nad wspólną mogiłą na cmentarzu w opustoszałym mieście sześciu żołnierzy (oficerów), jeńców, prawdopodobnie rozpoznanych przez dywersantów jako winnych likwidacji części grupy spadochroniarzy w dniach 8 i 9 września.^{47/} Wśród grozy śmierci i niem. szykan. w głodzie, pragnieniu i chłodzie, z widokiem pożaru rodzinnego miasta - Kalisza i Dinant II wojny światowej - spędzili jego mieszkańcy wieczór i noc na niedzielę 10.IX. pierwszy dzień niewoli. Wieść o niem. zbrodniach w zdobytym mieście pobiegła szybko na uciekinierki i odwrotowy szlak ku wschodowi. Dał mu wyraz po latach śląski pisarz Jan Barenowicz w pamiętniku "Lata we mgle": "I wtedy rozległ się ten krzyk, na który zamarły serca w piersiach. Przyniosła go z sobą gromadka uciekinierów, która wpadła około północy na przykościelny podwórzec (w Cmolesie): "Niemcy zajęli Kolbuszowę. Wycinają mężczyzn. Nasze wojsko cofa się dalej w popłochu", oraz "Niemcy zegnali z miasteczka Żydów do grzebania trupów ludzkich i końskich. Spotkali się z odmową. Za karę rozstrzelali nieposłusznych w lesie. Poległych i pomordowanych pochowali mieszkańcy z okolicy".^{48/} a trupów poległych i pomordowanych w Kolbuszowej po stronie polskiej było wielu. Wojskowym zginęło ogółem 106, w tym ok. 10 oficerów, pochowanych przez kościelne służby w dwóch zbiorowych mogiłach na parafialnym cmentarzu, po zidentyfikowaniu zaledwie 38, przy reszcie, prawie 70, nieznanych żołnierzy. Z osób cywilnych poniosło śmierć około 50, w tym blisko 20 kolbuszowian i 30 uchodźców (czołg od kościoła ku rzece skosił serią M.G. nauczycielkę i dwa taborytów), złożonych w osobnej, zbiorowej mogile. Rany odniosło z górą 300 żołnierzy, z których kilkunastu zmarło i spoczęło na cmentarzach Cmolasu, Trzęsówki, Ranirzowa i Sokołowa (prócz żywej pochodni z ul. 3 Maja w Kolbuszowej), w niewolę wpadło (wg. Fr. J. Straussa 1000 ludzi z uzbrojeniem) około 600, więzionych w kościele - obozie zbiorczym i szpitalu. Niemcy rozbili 3 tankietki i wdziali sporo łupów w taborach, dwa samoloty ugrzęzły przy ewakuacji, z cyrku "Korona" zbiegło sporo zwierząt egzotycznych, co dało asumpt komuś z "Frankfurter Zeitung" do podjęcia zarzutu, że Polacy rzucili do walki nawet zwierzęta (słonie). Straty Niemców z 2 Dywizji Pancerniej obliczyć trudniej. Rannych w walce ulicznej ("im Hauserkampf") z górą 300 już w toku boju odwożono sanitarkami do szpitali polowych w szkołach w Kolbuszowej, w Nowej Wsi (także i w domu pana Kiwaka), Trzęśni i Niwiskach, zabitych, których wielu widziano przykrytych, celtami z ul. 3 Maja (oficer pod Apteką), w Rynku i na Lipniku, odwiozło sprzed hotelu Deca w ul. Sędziszowskiej sześć aut ciężarowych pod brezentem na Przeclaw czy Wojsław (z górą 100), gdy oficerów poległych pochowano obok miejsca zgonu - przed starostwem trzech (major, kapitan, porucznik), obok Apteki dwóch, na Lipsku dwóch podporuczników, opodał kościelnego cmentarza trzech, ogółem też około 10. Według poufnej relacji podoficera z Brzegu ze Śląska, straty oficjalne wyniosły 8 oficerów i 86 żołnierzy,^{49/} bez oficera i około 20 żołnierzy z potyczki pod Stadionem w dn. 8 września. Uszkodzonych zostało trzy czołgi, dwie tankietki, jeden samolot, sporo motocykli 8 i 9.IX., kilkanaście dział i samochodów typu Horch i Mercedes.^{50/}

Niemcy ocenili pierwsi doniosłość bitwy pod Kolbuszową, reagując natychmiast straszliwymi represjami wobec miasta i jego mieszkańców, później czyniąc je "karnym miastem i powiatem" z trzema ważnymi wokół organ. jednostkami o wielkiej wadze - "Truppenubungsplatz Sud der Waffen SS" i obszar der Luftwaffe w Górnicy, z granicami u opłotków w Kolbuszowej. Propaganda wykorzystwała tutejsze wypadki, szerząc wieści o podpaleniu miasta przez wojsko, o

zwierzętach użytych w walce, o udziale cywilnych “bandytów” w obronie przed “honorową” Wehrmacht w prasie, filmie i książkach, jak “Unser Kampf in Polen” (München 1940) w podpunkcie “Gefechte bei Kolbuschowa vom 8 bis 9 September”, co powtórzy jeszcze w 1961 r. w swym pamiętniku Fr. J. Strauss “8.9 bis 9.9. Gefechte bei Kolbuschowa”, jako uczestnik bitwy i współodpowiedzialny za zbrodnie Wehrmachtu, dokonanych tu na bezbronnych mieszkańcach, jeńcach i mieście. Nie miała za to Kolbuszowa i jej bohaterscy obrońcy uznania u swoich. Wprawdzie już w 1939 r. i 1940 w Londynie wspomnieli i nich autorzy “Polskich Sił Zbrojnych” i ppłk. dypl. Włodzimierz Steblik, ale dopiero cywil – autor tych uwag poświęcił jej w latach 1945 – 58 cztery artykuły i polemikę w prasie, chociaż do dziś dnia sporo historyków wojskowych pisze: “G.O. Boruta osiągnęła San bez walki”, “wymknięcie się sił polskich (z okrażenia w widłach Wisły i Sanu bez walki) było zaskoczeniem dla niemieckiego dowództwa”, “G.O. gen. Boruty Spiechowicza dzięki odejściu Niemców na Jarosław i brakowi ich naporu od zachodu – zdołała zebrać się za Sanem”, “mimo pęknięcia styku armii “Karpaty” i “Kraków” - rozbitki G.O. Boruta i gros armii Kraków wydostały się (bez boju i Kolbuszowej, choć piszę to głuchym milczeniem przytakuja pisarze – literaci, z wyjątkiem autora “Polskiej jesieni”, który go opisał, ale nazbyt czarno, choć Niemcy sami (Fr. J. Strauss) wyraźnie piszą: pod Kolbuszową została po zażartym oporze odcięta polska straż tylna przez czołgi Gablera (poddano się tysiące ludzi)”. Wartość tych, zrazu nieznanych, dwudniowych bitew pod Kolbuszową - “z czego wówczas – a i do niedawna, nic o tym odosobnionym boju nie wiedząc – nie zdawano sobie (według oceny byłego szefa sztabu armii “Kraków”) sprawy”, 52/ była, mimo straty i miasta i jednostek wojskowych wielka i dla Kolbuszowej, i dla ogólnej sytuacji Wojska Polskiego na południu Polski. “Z tą bitwą – pisał w r. 1946 autor niniejszego szkicu – przybyła Kolbuszowej i jej stronom najpiękniejsza karta dziejów, na której wpisały się serdeczną krwią swych przedstawicieli i synów – prócz obu polskich polit. obozów (wrogich sobie przed 1939 r.) w osobach redaktorów “Polski Zachodniej” (Stanisław Karol Szypiński z Katowic, członek Syndyku Dziennikarzy Śląska) i “Głosu Narodu” (Jerzy Warchałowski z Krakowa) – niemal wszystkie krainy na Polskę się składające, Śląsk, Krakowskie, Podhale, Poznańskie, Huculszczyzna, w dowód solidarności, zgody z jednością dla wspólnej sprawy” 53/.

To dla Kolbuszowej i jej stron, gdzie od początku okupacji aż po Kolbuszowską Republikę Partyzancką w lipcu 1944 r. działał – wsparty o tradycję tego bohaterstwa – Ruch Oporu i gdzie uczono pomnikami na cmentarzu, pierwszymi w kraju, Polskiego Żołnierza. A dla ogólnej sytuacji wojska Polskiego na południu Polski?

Autor pierwszych opisów “Nieznanego boju Podhalan (Krakowian) i Ślązaków” postawił jako pierwszy tezę o koncentracji wojsk polskich w Puszczy Sandomierskiej, w rejonie Kolbuszowej, dla obrony linii Wisłoka – Wisłok i dla kontrakcji z północy ku południu na klin pancerny niemieckiej 4 dywizji lekkiej na magistrali Rzeszów – Jarosław, odsloniętej przez błąd gen. Fabrycego i odmarsz 24 dywizji ku stryż. - dynowskiemu Pogórz. 54/

Została szeroko rozwinięta w “Polskiej jesieni” i uznana za błędną za ppłk. dypl. Steblika (w liście z 14.02.58 r.) w art. Odwrót armii “Kraków” (W.H.P, 3/1967), choć wyrzec się jej – prawie nie sposób. 55/

Mimo jej nieudanej, z powodu przerwania frontu armii “Małopolska” przez XXII Korpus Pancerny i pościg jego dwu pancernych klinów za G.O. “Boruta”: na południe 4 dywizji pancerny na Dąbrowę i Radomyśl ku Kolbuszowej, “bitwa kolbuszowska przyczyniła się - mimo dalszego odwrotu na rozkaz armii “Małopolska” wojsk G.O. “Boruta” i G.O. “Jagmin” (które

przeszły zza Wisły w Puszcę na Tarnobrzeg, Majdan Królewski, Rozwadów, w osłonie Krakowskiej Brygady Kawalerii, szwadronu jej 3 i 8 pułku ułanów i 5 pułku strzelców) – do powstrzymania na dwie bezcenne doby Niemców w marszu 2 dywizji pancernej przez Kolbuszową na Leżajsk i Jarosław i do udaremnienia przez to planu Hitlera okrążenia obu operacyjnych grup armii “Kraków” w kotle wideł Wisły i Sanu. Przerwa dwóch dni była już nie do powetowania. Gdy 2 dywizja pancerna podjęła go ok. południa dn. 10.IX przez Sokołów i Żołąnię, dywizję “Boruty” stały już na linii Sanu: u Leżajska (21 dywizja pancerna) i Krzeszowa (6 dywizja pancerna), dokąd wkrótce przybędą dywizja G.O. “Jagmin” pod Rudnik i Nisko, by podjąć już za Sanem II etap walk wrześnieowej kampanii na południu Polski - “o honorowe wyjście z katastrofy”. 56/

I jeszcze jeden aspekt znaczenia Kolbuszowskiej bitwy w ujęciu autora “nieznanego boju wrześnieowego”, który wywołał sprzeciw. “Bój pod Kolbuszową przez ocalenie do zniszczenia 21 Dywizji Piechoty Górskiej i 10 Brygady Kawalerii – miał wpływ na dalszy los Wojska Polskiego, na powstanie z tych zawiązków Polskich Sił Zbrojnych na emigracji: Brygady Podhalańskiej i I Dywizji Pancernej gen. Maczka”. 57/

Ten może śmiały wniosek uległ krytyce: “Żadne znane źródła nie wspominają w ogóle o udziale 10 Brygady Kawalerii w koncentracji, pod Kolbuszową... i nie potwierdzają poglądu, że bitwa pod Kolbuszową umożliwiła jej scalenie, a tym samym uformowanie z Anglii I Dywizji Pancernej gen. Maczka”... ”brygadzie nie groziło zepchnięcie w widły Wisły i Sanu i nie trzeba było osłaniać jej odwrotu na wschód”. “Dla uratowania się 10 Brygady Kawalerii – rozstrzygające było zadysponowanie jej do armii “Kraków”, “bój pod Kolbuszową nie miał na to prawie żadnego wpływu”. 58/

Bój ten jednak – w oba dni swego trwania – przyczynił się do uratowania tych jednostek Wojska Polskiego, które później choćby w stopniu najmniejszym brały udział w formowaniu wspomnianych zawiązków, może nawet i lotnictwa. I tak w dniu 8.IX odparcie wydział. Oddziału 4 dywizji lekkiej od Sędziszowa na okrążenie Rzeszowa przez 1 pułk K.O.P. płk. Wójcika i kompanię czołgów Vickers uchroniło się tylko 10 B.K., po przemarszu przez Kolbuszową na Rzeszów, od otoczenia, lecz i “Karasie” obserwacyjnych eskadr 31 karpackiej i 23 i 26 krakowskich w toku ewakuacji z lotniska w Weryni na wschód. W dniu zaś 9.IX sześciogodzinny opór Krakowian, Podhalań i Ślązaków nie tylko umożliwił odejście nad San gros 21 dywizji piechoty górskiej, lecz uratował 10 Brygadę Kawalerii Zmotoryzowanej w obronie Łańcuta i marszu na Przeworsk od rozjechania przez szarżę głównych sił 2 dywizji pancernej z północy przez Sokołów i Żołąnię, co potwierdza pamiętnik Fr. J. Straussa z niemieckiej strony.

Uznał to– choć nie w pełni – były szef sztabu armii “Kraków” ppłk. dypl. Steblik, pisząc: “W rzeczywistym tle sytuacyjnym znaczenie boju pod Kolbuszową redukuje się do uratowania większości południowej kolumny (nie tylko tej) G.O. “Boruta” do dalszych świetnych działań za Sanem i pośredniego – przez opóźnienie marszu 2 dywizji pancernej na Rzeszów – odciążenie 10 Brygady Kawalerii w walce z XXII Korpusem Pancernym na osi Rzeszów – Jarosław – Radymno. W skutek operacji opóźniło to – zapewne o 1 dzień – przedarcie się XXII, korpusu przez Jarosław - Radymno do rejonu Tomaszów – Rawa Ruska”. Równocześnie były szef sztabu “Krakowa”, stwierdziwszy możliwość przedostania się “pewnej ilości żołnierzy (zwłaszcza z Brygady Górskiej “Nowy Sącz”) na Węgry i do Francji w skład “Brygady Podhalańskiej”, podkreślił: “ożywiający tę Brygadę duch bojowy wywodził się bezpośrednio z świetnych tradycji

21 D.P. Górskiej, pierwotnie 1 Dywizji Podhalańskiej Ziemi Nowosądeckiej”. 59/

Wśród tych tradycji – obok bohaterskich walk tej dywizji za Sanem i zgonu jej dowódcy, gen. Józefa Kustronia pod Ułazowem – mieści się pamięć boju pod Kolbuszową. Jak w sercach kolbuszowian i kolbuszowiaków mieści się i trwa pamięć Podhalan, Krakowian i Ślązaków.

Nie zaćmiły jej tutaj – kir wspomnień strat Kolbuszowej z okolicą w tym boju, widok wrażej potęgi: 300 czołgów 2 dywizji pancernej w przemarszu w niedzielę 10.IX na Leżajsk, mas zmotoryzowanej piechoty VIII korpusu zza Wisły, w dniu 11.IX jego 28 dywizja, w dniu 12.IX jego 8 dywizja piechoty w Zasanie przez Leżajsk, wreszcie w dniu 16 września nowej fali 300 czołgów 5 dywizji pancernej z Sandomierza przez miasto na Rzeszów, 60/ hitlerowskie zbrodnie 5-letniej okupacji Sandomierskiej Puszczy, ani groźne ćwiczenia na podkolbuszowskim poligonie “Południe” czołgów z białym niedźwiedziem przeciw ZSRR, z białą palmą Afrikakorps, z białą gwiazdą VI armii V. Paulusa pod Stalingrad, czy próby – pierwsze w Polsce – odwetowych broni V1 i V2, z pobliskich wyrzutni w Bliźnie.

Nie przesłoniły tej pamięci biel i czerwień sukcesów tutejszego Ruchu Oporu od placówki “Odwet” Jędrusiów przez “Kefir” A.K., “Komar” B.CH. Oraz “Iskrę” G.L., które – choć pod różnymi barwami – walczyły o niepodległą Polskę wpatrzone we wzór bohaterów boju pod Kolbuszową. “Którzy zginęli” - jak wielu tutejszych żołnierzy – partyzantów, “za honor i ojczyznę” i za to, “abyśmy żyli wolni”.61/

Przypisy

- 1.Płk. dypl. Wł. Steblik opis ów oparł na artykułach autora i opisie J. J. Szczepańskiego “Polska jesień”.
- 2.Wojskowy Przegląd Historyczny z 3. r. 1967, str. 136.
- 3.Inne, jak L. Głowacki i A. Sikorski. Kampania wrześniowa na Lubelszczyźnie. Lublin 1966, Winc. Iwanowski. Wysiłek zbrojny narodu polskiego w czasie II wojny, a zwłaszcza B. Dolata i T. Jurga. Walki zbrojne na ziemiach polskich 1939-45. Warszawa M.O.N. 1967 nie podają tu nic nowego.
- 4.Romuald Pitera “Samotny oddział” zawiera tylko słów kilka o Kolbuszowej.
- 5.Adam Kurowski. Lotnictwo polskie w 1939 r. str. 113 i autopsja autora.
- 6.Poruszył ową sprawę – legendę autora we “Wrocławskim Tygodniku Kat.” z 10.XI.1963.
- 7.Relacja p. Józefa Mazura z Weryni, byłego pracownika dworu Tyszkiewiczów.
- 8.Kurowski o.c. Str. 118 i 123. Władysław Kisielewski. Skrzydlata flota. 13, 14.
- 9.Załoga pochowana na cmentarzu w Tarnowie w grobach nr 9, 10, 11.
- 10.Kurowski oc. 169 i Kisielewski oc. 99.
- 11.Część danych z Kurowskiego oc., data ewakuacji eskadry “pod wieczór 7.IX.” (z 95), inaczej Kisielewski.
- 12.Kurowski oc. 296 chyba błędnie – 8.IX nie było jeszcze 2 D.P. Pod Kolbuszową, dopiero 9.IX przed południem.
- 13.Kisielewski oc. 34, 35.
- 14.Sprostowanie ppłk. Steblika w W.P.H. 4/1960 w polemice z tezą Z. Kosiora Armii Karpaty z kampanii wrześniowej W.P.H. 1/1960.
- 15.Jak pod przyp.14.

- 16.Steblik. Odwrót armii "Kraków" W.P.H. 3/1967, str. 128.
- 17.Steblik oc. 118.
- 18.Franciszek Skibiński. Pierwsza Pancerna. 1960, str. 81. Cytat z pamiętnika gen Stanisława Maczka. Edinburgh 1961 za Steblika oc. 118.
- 19.Jan Józef Szczepański. Polska jesień, rozdział Koncentracja. Stron 60.
- 20.Relacja kolbuszowian i Polska jesień. Autor szkicu natknął z prof. Krymskim z Mielca na ich grupę w polach o godz. 2 w nocy na 8.IX., meldował oficerowi maszerującego ulica oddziału, bezskutecznie.
- 21.W. Steblik. Odskok armii "Kraków" na Nidę i Dunajec. W.P.H. 1/62.
- 22.W. Steblik, jak pod 21.
- 23.W. Steblik. Odwrót armii "Kraków". W.P.H. 3/1967 str. 123.
- 24.Ów widok prawdziwy umieszcza J. J. Szczepański w dn. 9.IX. Tak było 8.IX przed rozkazem gen Fabrycego dalszego odwrotu za San.
- 25.Steblik. Odskok armii "Kraków". W.P.H. 1/1962.
- 26.Polskie Siły Zbrojne. Londyn 1939 t. I. cz. III, str. 26.
- 27.Steblik. Odwrót armii "Kraków". W.P.H., 3/1967, str. 129, przyp. 24.
- 28.opis w art. Bój o Kolbuszowę w Dzienniku Rzeszowskim, Piaście i Kierunkach na pods. relacji świadków w Kolbuszowej. Przytoczył go Steblik oc. W.P.H. 3/67, str. 29, przyp. 25.
- 29.Steblik oc. str. 29. przyp 25.
- 30.Steblik oc. 29, przyp. 25 oraz niżej oc. 138 przyp. 41, 42.
- 31.Kurowski oc. 296 raczej przed południem 8.IX.
- 32.Steblik oc. 136 – 38 przyznaje częściowo rację autorowi, twierdząc słusznie i "wbrew supozycji dr K. Skowrońskiego nie uczestniczyły w nim w ogóle liniowe jednostki 6 D.P. I G.O. "Śląsk" ani bataliony K.O.P. "Dederkały" i "Niemenczyn".
- 33.Paweł Dubiel. Wrzesień 1939 r. na Śląsku. Śląsk 1963.
- 34.Steblik oc. 137 przyznaje racje Skowrońskiemu, nie Straussowi, który pisze o przejściu Wisłoki po mostach.
- 35.Steblik oc. 135.
- 36.Z artykułu Boju pod Kolbuszową, Dziennik Rzeszowski, 1945.
- 37.Podkreślono silnie w "Kierunkach" w dwu artykułach autora (1958) i na spotkaniu z J. J. Szczepańskim w P.D.K. w Kolbuszowej.
- 38.Za Steblika oc. 137 i opisem z Londynu, przesłanym przez b. kpt. art. rodem z Kolbuszowej, Tadeusza Gruszkę.
- 39.Z listu ppłk. Steblika. Podkreślone moje dodatki do relacji (też przez myślniki --). Groby oficerów przed Pow. Starostwem z tabliczkami, w r. 1940 przeniesienie na "Heldenfriedhof" w lesie Wojsławia.
- 40.Wywieszali na żerdziach koszulę na zamek poddając się.
- 41.Według relacji świadków. Dane z wojskowych książek autor podał w r. 1968 w W.T.K. "Uwaga rodziny poległych pod Kolbuszową" (wykaz 38 pozycji).
- 42.Relacja pana Magdy – organisty i jego syna.
- 43.Z wyciągu jego pamiętnika (1961 r.), nazwiska też z tabliczek nagrobnych.
- 44.Zaginęli tu 2 żołnierze, ekshumowani do wspólnej mogiły w Kolbuszowej w r. 1940. Urywek dalszy pamiętnika Fr. J. Straussa str. 38.
- 45.Relacja wielu świadków, też syna organisty. według reportażu Maksa Eulera w Krakauer Zeitung 1940. Niemcy ratowali z płonących domów – Żydów "Kastanjuden". Wskazywali domy dywersanci – cywile.
- 46.O Hitlerze i kronice filmowej mówili sami Niemcy, o pożarze autorzy polskiej jesieni i skrzydlatego fatum.

47. Relacja naocznych świadków. Grób nieznaną od 1939 r. odkryto komisyjnie w 1969 ze znamionami zbrodni żołnierzy Wehrmachtu.
48. Jan Baranowicz. Lata we mgle "Śląsk" Katowice 1957. str. 23, 39, 40.
49. Relacje ob. R. Deca, pamiętnik Magdy, relacja ob. Józefa Augustynowicza dziś pracownika P.D.K.
50. Steblik oc. str. 137 przyjmuje za autorem z pomyłką ilości spalonych domów w K. (71 nie 170).
51. A. Kurowski. Lotnictwo, oc. str. 236, Iwanowicz. Wysięk, str. 477. Polskie Siły Zbrojne I część 3, str. 48. "Sprostowanie" WPH.
52. Steblik oc. 136, z niem strony cytowany pamiętnik Fr. J. Straussa str. 38.
53. Kazimierz Skowroński "Bój o Kolbuszowę" Dziennik Rzeszowski 1945.
54. Kazimierz Skowroński "Nieznany Bój wrześniowy". "Kierunki" z 12.I.1958 r. i replika "w sprawie bitwy". Kierunki 27.IV.1958.
55. Nie wyrzekł się jej i J. J. Szczepański w II i III wydaniu "Polskiej jesieni".
56. Kazimierz Skowroński. Bój pod Kolbuszową (1945) i Nieznany bój (1958).
57. Skowroński oc. sprzeciw stanowczy red. B. Skaradzińskiego (w sprawie bitwy pod Kolbuszową), "Kierunki" str. 274/1959.
58. Dwa pierwsze cytaty z art. i listu red. Skaradzińskiego, trzeci z listu ppłk. Steblika z 14.II.1958 r.
59. Z listu ppłk. Steblika do autora z dnia 14.II.1958 i oc. W.P.H. 3/1967, str. 136.
60. Ludwik Głowacki. Kampania wrześniowa. II str. 67, 73. Steblik oc. str. 160, 175. Marsz przez Kolbuszowę. Opisał niemiecki żołnierz z 28 dywizji piechoty.
61. Napisy z pomnika na grobach bohaterów z 1939 r. i żołnierzy A.K. I B.CH. Na kolbuszowskim cmentarzu.

Józef Rządcki
pseudonim "Boryna"

Udział "Kefiru" - Kolbuszowa w operacji VI i VI

Po przeszło rocznym pobycie w Warszawie, odwiedził mnie komendant rejonu Związku Walki Zbrojnej, pułkownik "Jagra" Walery Tumanowicz, któremu podlegał Mielec, i zaproponował mi powrót na południe, i obiecał mi funkcję komendanta obwodu ZWZ "Kefir" Kolbuszowa. Pułkownik Jagra, przekazując mi ten obwód, nadmienił, że chociaż praca organizacyjna jest już przeprowadzona, to jednakże wszystko należy zacząć "od nowa", bo brak oficerów, podoficerów, broni i działań. Równocześnie Obwód mój został przydzielony do nowego rejonu ZWZ "Rzemiosło" (Rzeszów). Oficjalnie otrzymałem pracę vorarbeitera "bei Polnischer Hilfsflussregulierung" w Kolbuszowej.

Mając doskonałe alibi pod przybranym nazwiskiem "Kordyszewski", zabrałem się do pracy konspiracyjnej (Lipiec 1942). Nie brakło chętnych i oddanych sprawie ludzi. Zorganizowałem

dywersje, kompanię i placówki, szkoły podchorążych i podoficerów, W S K, a nawet pluton przysposobienia lotniczego, warsztaty rusznikarskie, produkcję granatów i pracownie kartograficzne, obsadę dowództwa, wywiad i propagandę i wtedy dopiero poczułem się pewniej i rozpocząłem działania.

Tylko 3 km na zachód od miasta miałem wielki poligon wojskowy SS – Truppenübungsplatz – Heidelager, założony pod koniec 1940 roku. Na tym terenie była Blizna. Poligon obejmował teren, mający w przybliżeniu kształt kwadratu o boku do 20 km. długości, którego narożniki stanowiły miejscowości: Brzeźnica, Rzochów koło Mielca, Kolbuszowa i Sędziszów Małopolski. Ludność wysiedlono, a opustoszały teren – zwłaszcza w rejonie Pustkowa – pokryto bunkrami, barakami koszarowymi, składami amunicji i żywności. W pobliżu poligonu założono obóz pracy przymusowej dla Polaków i Żydów. Stan załogi wojskowej – zmienny – dochodził niekiedy do 20000 żołnierzy, nie licząc stałej obsady administracji obozu i poligonu.

Po niemieckich zwycięstwach na Zachodnich Bałkanach, wzmożyły się ruchy armii niemieckiej na terenach polskich. Przedwiośnie roku 1941 obfitowało w nowe wydarzenia. Poligon Pustków pęczniał od nadmiernej ilości wojsk. Masy sprzętu i ludzi przetaczających się na wschód. Polskie organizacje podziemne zarządziły stałą obserwację ruchu wojsk niemieckich na szosach, dworcach i liniach kolejowych. W połowie 1941 roku jeden z patroli wywiadowczych AK zatrzymał w pobliżu poligonu Pustków, w rejonie Sędziszowa Małopolskiego oficera niemieckiego – kuriera do pogranicznych jednostek wojskowych – i odebrał mu pocztę służbową. Znalaziono wśród niej pisemne rozkazy wraz z mapami, w których była mowa o uderzeniu na ZSRR, z wytyczeniem kierunku natarcia dla poszczególnych armii. Plany te natychmiast przekazano drogą służbową przez Warszawę do Londynu – do sztabu wojsk sprzymierzonych. Tajemnica zaatakowania ZSRR została wydarta Niemcom, co najmniej trzy godziny przed pamiętnym dniem 22 czerwca 1941 roku.

A później Pustków zapełnił się jeńcami – żołnierzami Armii Czerwonej. Obdarci, schorowani, wygłodniali ginęli tysiącami. Ze szczytów Podgórze widać było płonące dniem i nocą światła elektryczne wzdłuż kolczastego ogrodzenia obozu, a nieustanny jęk zrozpaczonych ludzi, dla których zabrakło nawet korzonków trawy, dobiegał do odległych osiedli, budząc grozę.

Wyniszczanie żołnierzy radzieckich trwało jeszcze w r. 1943. W tym czasie poligon był już wspaniale zagospodarowany i ufortyfikowany. Stał się twierdzą na dalekim zapleczu frontu. W pobliżu były fabryki samolotów i lotniska, a w niedaleko leżącej Wiśniowej wykuto w skale jedną z tajemnych kwater połowych Hitlera.

Plany operacyjne AK, na wypadek powstania powszechnego, przewidywał uderzenie na obóz w Pustkowie. Zorganizowano liczne oddziały bojowe, które w końcowej fazie organizacyjnej liczyły około 6000 ludzi, uzbrojonych w niemiecką broń zdobyczną i broń pochodzącą ze zrzutów alianckich. Jednym z dowódców tych oddziałów był porucznik WP inż. Mieczysław Stachowski, występujący pod pseudonimami “Sęp” i “Maciej”. W konspiracji tkwił już od lutego 1940 roku. Początkowo był dowódcą placówek leżących na południowy wschód od poligonu, a później został komendantem AK we wschodniej części powiatu Dębickiego. Stałym miejscem jego pobytu był poligon i obóz w Pustkowie, pracował, bowiem w “Forstamt” Wola Ociecka, jako polski nadleśniczy od służby zewnętrznej, będąc jednocześnie “okiem i uchem” podziemia na tych terenach. Nie działał zresztą sam: do pracy wywiadowczej dobierał sobie z rejonu obozu zaufanych pracowników – leśników, Polaków, a także, znając świetnie język niemiecki, korzystał

dla celów wywiadowczych z usług Niemców. Około 50% robotników leśnych, pracowników biurowych i lotniczych – Polaków z terenu poligonu, to ludzie należący do AK – element inteligentny, przeszkolony wojskowo, niezwykle patriotyczny. Nic nie uchodziło ich uwagi: rozpracowano wszystkie urządzenia, magazyny, obsługę i uzbrojenie bunkrów. Dowództwo AK było stale informowane o aktualnym stanie obozu. Zdobyto większe szkice, plany i mapy, znano rozmieszczenie posterunków i czas ich zmian.

W lecie roku 1943 na terenie poligonu zjechały nagle specjalne oddziały Wehrmachtu w mundurach z czerwonymi wypustkami i objęły w swe posiadanie teren Blizny. Wioska ta leżała prawie w środku poligonu, na powierzchni ok 300 ha. w odległości 500 m od osady teren został natychmiast ogrodzony drutem kolczastym, który przebiegał lasem. Wstęp do blizny został wzbroniony nawet dla oddziałów i osób, wchodzących dotychczas w skład stałej obsługi SS-Truprübungsplatz. Obiekt otrzymał nazwę „Artilleriezielfeld – Blizna”.

Pierwsze próby z bronią raketową „V-2” przeprowadzono późnym latem 1943 roku.

Pamiętnego dnia 17 sierpnia 1943 r. o godz. 16:15 wracałem z pracy nad Nilem (tak nazywa się mała rzeka przepływająca przez miasto Kolbuszowę) w towarzystwie swego adiutanta Józefa Batorego ps. Argus. Dochodziliśmy do rynku, gdy nagle obydwaj prawie równocześnie zobaczyliśmy na tle horyzontu, w rejonie blizny, rzadkie tu zjawisko. Sądziłem, że to palący się samolot, chcąc zgasić pożar robi „świecę”. Przedmiot ten wznosił się prawie prostopadle z silnie płonąca głowicą. Po pewnej chwili płomień zaczął maleć, przygasać i opadać, wreszcie zniknął, a w chwili później usłyszeliśmy silny wybuch. „Jednego mniej” powiedział Argus. Siła wybuchu była bardzo wielka, bo w Kolbuszowej, oddalonej o blisko 15 km., pękły dwie szyby w oknach wystawowych. Wypadek ten poderwał na nogi ludność miasta. Liczni mieszkańcy wyszli na rynek. Wśród nich znalazłem się i ja z Argusem. Różne domysły snuły mi się po głowie. W pierwszej chwili myślałem, że to samolot załadowany bombami, zapalił się, spadł i nastąpił wybuch. Do tego dnia, przyznaje się niewiele wiedziałem o poczynaniach hitlerowskich w Bliźnie. Różne były nasze przypuszczenia, lecz o wyrzutni rakiet nie myśleliśmy.

Około godz. 17 tegoż dnia zjechał na rynek od strony Rzeszowa sześćosobowy samochód wojskowy. Byli w nim oficerowie z czerwonymi wypustkami. Po zatrzymaniu się samochodu, jeden z oficerów zapytał, „kto zna język niemiecki?”. Podszedłem do samochodu i oświadczyłem, że znam ten język. Wówczas zapytał mnie o kierunek na Nową Wieś. Leży ta wieś na drodze do Blizny. Po otrzymaniu odpowiedzi auto odjechało zaraz. Za jakiś kwadrans podjechało drugie podobne auto, również z oficerami z czerwonymi wypustkami. Jeden z oficerów zapytał się, tym razem po polsku, w którym to kierunku spadł dzisiaj samolot? Po otrzymaniu odpowiedzi, samochód odjechał w kierunku Blizny.

Te wszystkie wydarzenia spowodowały wydanie przeze mnie specjalnego rozkazu, przeprowadzenia wnikliwego rozpoznania w tej sprawie. Następnego dnia podobne zlecenie przekazałem swojemu zastępcy, a zarazem oficerowi wywiadu Wł. Nazimkowi, ps. Drzazga. Już trzeciego dnia otrzymałem pierwsze meldunki, że w Bliźnie mają jakąś nową broń, której pierwsza próba przeprowadzona 17.08.43 r. wypadła niepomyślnie, bo pocisk nie wyszedł na orbitę, lecz spadł w pobliżu i jest 27 Niemców zabitych. W pobliżu wypadku znaleziono również zabite zające i ptaki. Podano mi przy tym, że Niemcy trzymają sprawę Blizny w wielkiej tajemnicy. W tej sprawie wysłałem specjalny meldunek to komendanta Rejonu AK „Rzemiosło”. Odwrotnie otrzymałem rozkaz prowadzenia intensywnego wywiadu i natychmiastowego

meldowania o wszystkich osiągnięciach w tej sprawie przez specjalnych gońców.

Przez robotników rolnych w bauerostwach, przez pracowników leśnych udało mi się sporządzić plan sytuacyjny Blizny oraz stwierdzić, że jest tam wyrzutnia pocisków raketowych V-1, że części dowożone są koleją, a specjalne cysterny na samochodach, długość raket około 12 metrów itp. Dużą pomoc w tej sprawie oddał J. Piórek ps. Kłusownik i dowódca plutonu lotniczego Józef Augustynowicz ps. Pelikan.

Pewnego dnia pocisk raketowy rozleciał się w powietrzu. Duży aluminiowy zbiornik spadł we wsi Zarębki obok zagrody Jagodzińskiego. Wymiary zbiornika 11m 80 cm. długość, średnica 1,1 m. Zobaczył to jeden z moich Żołnierzy i natychmiast odciął kawałek ściany zbiornika, wziął pomiary, dostarczając mi to wszystko, resztę zabrali Niemcy, którzy przybyli samochodem. Innym razem por. ps. Zbych (Józef Micek), wracając do domu z Kolbuszowej do Cmolasu, zauważył spadający pocisk raketowy na wysokości Dubasu. Określił w przestrzeni jego upadek i na rowerze zdążył do przewidzianego miejsca upadku. Pocisk spadł, a Zbych przypłaciłby życiem, gdyby nie fałda terenowa, oddzielająca go od miejsca upadku pocisku. Silny podmuch przy wybuchu, mimo tej fałdy przewrócił go z roweru, tak że Zbych znalazł się w pobliskim stawie. Wyszedł z wody i chociaż cały wodą ociekał, zdołał schwytać kilka części mniejszych, jak transformatorów, materiał wybuchowy w kostkach itp. Natychmiast musiał uciekać do pobliskiego lasu, bo już nadjeżdżali Niemcy. Wszystkie zdobycze dotyczące pocisków raketowych były natychmiast dostarczane dowództwu wyższemu AK. Zdawałem sobie sprawę z ważności zadania dotyczącego Blizny oraz, że moim zadaniem było niszczyć potencjał wojenny hitlerowskich okupantów. Wiedziałem, że kolega Lazarowicz ps. Klamra, komendant Obwodu AK "Deser" (Dębica), również nie śpi i na pewno wszystko robi, aby wydrzeć tajemnicę Blizny. Przez jego obwód przechodziły transporty do Blizny, na jego terenie był obóz Pustków. Byłem pewny, że Klamra dużo robi, lecz nie porozumiewaliśmy się w tej sprawie, poza omówieniem planu uderzenia na tamten obiekt. Nie porozumiewaliśmy się, gdyż porozumiewanie mogłoby osłabić naszą prac lub skierować na mylne drogi. Przypadkowo wpadłem na trop wywiadu Komendy Głównej AK. U mojego oficera ps. Korala (J. Tyszkiewicza) zobaczyłem jednego dnia szkic Blizny. Wzięty na rozmowę stanowczą Korala musiał się przyznać, że działał poza normalną funkcją w Obwodzie, na rzecz Komendy Głównej AK, miał swą Komórkę z trzema ludźmi w Kolbuszowej i utrzymywał kontakty ze specjalnymi wysłannikami z Krakowa czy Warszawy. Potwierdzenie tego otrzymałem drogą służbową z Rzeszowa.

Jeden z moich ludzi W. Wąsowicz, ps. Góral, pracownik Kripo w Kolbuszowej, człowiek całkowicie oddany pracy konspiracyjnej tak pisze... - "Podczas pierwszej próby wystrzelenia V-1 byłem razem ze swym szefem W. Halickim w odległości około 3 kilometrów od terenu Blizny. (Halicki, zlikwidowany 15.04.44 r. współpracownik gestapo i wielce oddany okupantowi, miał zezwolenie swobodnego poruszania się po poligonie). W godzinach popołudniowych usłyszeliśmy silny warkot, jak gdyby co najmniej eskadra samolotów startowała, a przy tym zauważyliśmy wysoki słup ognia i nic więcej. Warkot po pewnym czasie ucichł, a następnie wybuch. Na drugi dzień przyjechało dwóch ss-manów do Holickiego i powiedzieli mu w zaufaniu, że próba z nową bronią nie udała się, bo nastąpiła eksplozja i zginęło przy tym 27 osób z załogi Blizny. Po kilku tygodniach nastąpiła nowa próba, a później prawie codziennie dalsze. Z tego samego miejsca dokonano prób z nową rakieta V-2. Rakieta ta nie miała już skrzydeł jak V-1. Rakieta spadła w oddaleniu około 10 – 20 km. i dalej od Blizny. Upadków takich było kilka a dwie blisko Kolbuszowej – w Zarębkach i Dubasie. Żołnierze AK zbierali części raket i według rozkazu Komendanta Boryny przekazywali do wyznaczonych punktów. Po upadku rakiety i

eksplozji pozostawały leje o średnicy około 20 – 30 metrów. Dodam jeszcze, że po wkroczeniu Armii Czerwonej przybyła do Kolbuszowej Komisja rosyjsko – angielsko – amerykańska, która przesłuchiwała świadków w sprawie V-1 i V-2, tj. Ludzi mieszkających na terenach wysiedlonych w charakterze robotników rolnych. Osoby nie mogły dać więcej ponad to, że określały kształt rakiety, przeloty dzienne i nocne oraz spustoszenie wyrządzone przy upadku.

Rakiety wyrzucane były przeważnie w kierunku wschodnim, a tylko 6 czy 7 w kierunku północno – zachodnim. Według zwierzenia się żandarma Schondera te wyrzutnie północno – zachodnie miały zmylić czujność wywiadu polskiego. Wiadome było jednakże, że V-1 i V-2 przeznaczone były przeciwko ZSRR.

Inż. Stachowski mieszkał w tym czasie w Rudzie Sokolskiej, odległej od Blizny w linii powietrznej 4 – 5 km. A oto jego relacja:

“Okolo godziny 16 spokój pogodnego sierpniowego popołudnia zmacił przeciągły grzmot, przesuający się w kierunku Rudy Sokolskiej. Grzmot ten zakończył się silnym hukiem. W okolicy Niwisk spadł – jak wydawało się wtedy – samolot niemiecki. Lecz mnie zainteresował fakt, że miejsce upadku rzekomego samolotu zostało natychmiast otoczone przez oddziały wojska, a wszelkie części po rozbitku zabrane. Następny wyrzut pocisku raketowego obserwowałem nocą, znajdując się wtedy na drodze Dębica – Ocieka. W pewnym punkcie szosa wznosi się nieco. Z tej wysokości widoczny był cały las poligonu, w środku którego znajdowała się Blizna. Nagle od strony Blizny zajaśniała bardzo silna łuna, a na jej tle poczęła się wznosić ponad Bliznę i ponad szczyty drzew – złocista bardzo duża bania. Cisza była zupełna. Dopiero na pewnej wysokości poczęły eksplodować rakiety”.

Inż. Stachowski wraz ze swymi ludźmi rozpoczął niezwłocznie akcję rozpoznawczą. W krótkim czasie zdobyto mapy lokalizacyjne Blizny, a na podstawie obserwacji i żmudnych dociekań własnych oraz wypowiedzi zaufanych osób spośród personelu niemieckiego – ustalono, że w Bliźnie montowane są nie tylko pociski “V-1”, czyli samoloty bez pilota z silnikiem odrzutowym, ale także i “V-2” - pociski raketowe dalekiego zasięgu.

Pociski “V-1” widoczne były przy wzbijaniu się dla obserwatora, patrzącego z nad stawów położonych pomiędzy Rudą Sokolską a Sokole. Przed wypuszczeniem próbnego pocisku “V-1” nadlatywał z lotniska w Mielcu niemiecki samolot pościgowy, który leciał następnie nad pociskiem, eskortując go. Pociski “V-2” wypuszczano niejednokrotnie parę razy na dobę, zarówno w dzień, jak i w nocy. Wiele z nich spadło w pobliżu Blizny, w odległości kilku lub kilkunastu kilometrów. Niemcy starali się zawsze pozbierać pozostałe części rakiety, aby nie wpadły w niepowołane ręce. Niekiedy rozpoczynał się cichy wyścig, kto pozbiera je pierwszy. Podwładnym inżyniera Stachowskiego udało się kilkakrotnie wygrać ten wyścig. Meldunki o wynikach rozpoznania broni raketowej były prawie codziennie wysyłane przy użyciu specjalnych gońców do dowództwa AK. Jednym z takich ofiarnych jego gońców, który przekradał się poprzez posterunki niemieckie z częściami rakiety i z meldunkami na punkt kontaktowy do Sędziszowa Małopolskiego, był przedwojenny śpiewak opery poznańskiej, wysiedlony przez Niemców – kpr. Jan Gruszczyński. Niektóre części pocisków oddano najpierw do ekspertyzy specjalnej grupie fachowców, zorganizowanej konspiracyjnie w Zakładach Przemysłowych w Sędziszowie Małopolskim za zgodą naczelnego dyrektora zakładów inż. Jurkowskiego. Grupa ta pod kierownictwem inż. Drzazgowskiego sporządzała dokładną analizę składu materiału i jego wytrzymałości. Wymiary pocisków próbowano ocenić na podstawie

pozostawionych na ziemi odcisków po raketach, które spadły, a nie eksplodowały. Obserwując przewóz pocisków na lorach kolejowych, zdołano stwierdzić, że pociski "Mittelbau Dora" wyrzucane są ze specjalnych wyrzutni, zlokalizowanej w zachodniej części Blizny. Materiały pędne do tych pocisków raketowych przewożono w cysternach na samochodach. Obłożone w rury ze skroplonym powietrzem zaopatrzone były w wentyle. Pocisk "V-2" był po wyrzuceniu widoczny gołym okiem w postaci błyszczącej strzały. Potem zaczynały działać rakiety odrzutowe, przy czym słychać było eksplozję i widać było białe smugi. Pocisk ginął z oczu na bardzo znacznej wysokości.

Wagony kolejowe oraz samochody dostawcze do Blizny obserwowano systematycznie z różnych miejsc, najczęściej jednak z okien nadleśnictwa w Woli Osieckiej, obok którego przebiegała szosa i tor kolejowy z Kochanówki do Blizny.

Oprócz informacji o broni raketowej, systematycznie przekazywanych wyższemu dowództwu, przygotowano plany tzw. akcji "P". w miesiącu listopadzie 1943 r. przybył do mnie na kontakt inż. M. Stachowski ps. Sęp. Na tym spotkaniu omówiliśmy przygotowanie do akcji "P". Ze swej strony przydzieliłem do tej akcji 1 kompanię AK pod dowództwem por. W. Wiśniewskiego, ps. Chruściel.

Resztę swoich sił w myśl planu Komendy podokręgu miałem użyć do północnej ochrony 24 dywizji AK. Kolbuszowa, bowiem była ważnym punktem strategicznym ze względu na węzeł dróg w kierunku na Mielec, Dębę, Sokółów, Rzeszów i Sędziszów.

Wiadomo mi, że sąsiedni obwód AK "Mleko" (Mielec) również miał w swym planie uderzenie na Bliznę. Do akcji tej wyznaczona była kompania pod dowództwem kpt. W. Kwarcianego, ps. "Mały". W skład tej kompanii wchodził plut. Al. Rusin, ps. Rusal. Kompania przybyła pod koniec lipca 1944 r. do Blizny bez walki, bo Niemcy po wywiezieniu całego sprzętu opuścili wyrzutnię, wycofując się przed nadchodzącą Armią Czerwoną. Plan akcji "P" opierał się przede wszystkim na dokładnym i stale aktualizowanym rozpoznaniu sytuacji w obozie (stanu liczebnego i uzbrojenia załogi), aby w pełni wykorzystać moment zaskoczenia nocnego.

Już w listopadzie 1943 r. inż. Stachowski przemycił na teren poligonu, przy pomocy fałszywych przepustek, swoich najbliższych współpracowników, dowódców miejscowych oddziałów bojowych AK - "Lucjana", "Ostręga" i "Łatę", którzy zapoznali się na miejscu z położeniem zbrojnych punktów i z warunkami terenowymi podejścia do wyrzutni. W lutym 1944 r. dowódcy oddziałów bojowych przeciwiczyli nocą w zwiększonym składzie podejście terenowe pod przyszłe obiekty uderzenia. Przygotowania do pełnej gotowości oddziałów prowadzone systematycznie i z rozwagą.

Tymczasem Niemcy wytrwale przeprowadzali próby wyrzucania pocisków "V-2", które zaczęły padać coraz częściej poza obrębem poligonu.

Wiosną 1944 r. zorganizowana została w Komendzie Głównej AK w Warszawie przez inż. Antoniego Kocjana specjalna grupa, która miała za zadanie możliwie pełne zgłębienie tajemnic niemieckich pocisków raketowych. Powstała myśl wykradzenia Niemcom całego pocisku-niewypału, aby gruntownie poznać zasady jego konstrukcji. Ostatecznie pomógł przypadek. W początku maja 1944 roku zdobyto niewypał "V-2", który spadł w bagnach nad Bugiem, w rejonie miejscowości, Sarnaki, w odległości 300 km od wyrzutni w Bliznie. Pocisk został skrzętnie ukryty przez miejscowych członków AK, a po rozmontowaniu przez fachowców główne jego

części przewieziono do Warszawy, gdzie gruntowne badania nad cenną zdobyczą przeprowadził wybitny specjalista w dziedzinie techniki, prof. dr inż. Janusz Groszkowski.

Części rakiety "V-2" przewieziono następnie do Tarnowa, skąd miały zostać dostarczone samolotem alianckim do Anglii. "Dakota", która miała przewieźć części rakiety oraz zabrać przedstawicieli polskiego podziemia, wylądowała na konspiracyjnym lotnisku pod Tarnowem w nocy z 25 na 26 lipca 1944 roku. Specjalnie oczekujące tam oddziały AK dokonały załadunku. Z powodu rozmoknięcia terenu po niedawnym deszczy start samolotu okazał się jednak bardzo trudny. Koła maszyny zaryły się w łąkę. Gdy angielski pilot był już bliski rezygnacji i zniszczenia samolotu – ostatecznie – przy największym wysiłku zebranych ludzi, podkładających pod koła deski, drągi, kamienie – start doszedł do skutku. "Dakota" szczęśliwie doleciała do Anglii. Wysiłek i ryzyko życia oficerów żołnierzy polskiego podziemia nie poszedł na marne. Wynik działań naszego wywiadu przyczynił się w tym wypadku poważnie do skutecznej obrony Anglii w ostatniej fazie wojny. Niemcy użyli bowiem pocisku raketowego "V-2" po raz pierwszy 8 września 1944 r. Zanim jednak pociski te padły na Londyn, dowództwo wojsk alianckich zdołało przedsięwziąć dość skuteczne przygotowania obronne.

Tymczasem 20 lipca 1944 roku w nocy Niemcy załadowali na wagon kolejowy – bezpośrednio we Bliźnie – urządzenia wyrzutni, które wraz z obsługą wywieziono na zachód. 21 lipca rano inż. Stachowski stwierdził osobiście, że w Bliźnie pozostały tylko fundamenty po wyrzutni. Wyrzutnia w Bliźnie przeznaczona była przede wszystkim przeciwko ZSRR, o czym Naczelne Dowództwo Wojsk Polskich na Zachodzie było powiadomione. Osobiście wyczerpującej informacji udzieliłem radzieckiej partyzantce "Grupie Bau" pod dowództwem kpt. "Juszy". Grupa ta posiadała całkowitą aparaturę radiową. Wiadomość o Bliźnie przekazał Jusza natychmiast swojemu dowódcy Armii Czerwonej.

Wiadomo mi jest, że wszystkie zdobyte części V-2, zwłaszcza pochodzące z niewypału, który opadł nad Bugiem w pobliżu wsi Sarnaki, zostały przesłane samolotem w miesiącach letnich 1944 roku z konspiracyjnego lotniska pod Tarnowem. W lipcu 1944 roku Niemcy wobec szybkiego postępu Armii Czerwonej i zbliżającego się frontu zlikwidowali bazę w Bliźnie, urządzenia wywieźli na Zachód, resztę zniszczyli, a okolicę zaminowali. Po przybyciu pierwszych jednostek Armii Czerwonej na teren Kefiru, gdy nawiązałem łączność z dowódcą artylerii gaśnicowej płk. Czernikowem, pierwsze pytanie było "co z Blizną?". Udzieliłem wyczerpującej informacji, a 4-ego sierpnia pluton AK pod dowództwem sierżanta ps. Wilk, łącznie ze zwiadem zmotoryzowanym Armii Czerwonej udały się do Bliźny. Minerzy utorowali dojsię. Zastano tam tylko gruzy i szczątki nic nieznaczące.

Spośród licznych publikacji na ten temat zasługuje artykuł zamieszczony w kwartalniku Nr 2/66 Wojskowego Przeglądu Historycznego str. 58 do 87 mjr mgr Michała Wiśniewskiego pt.: "Polacy w walce z niemiecką bronią V".

Kolbuszowa, dn. 11.V.1947 r.

Związek Uczestników Walki Zbrojnej
o Wolność i Demokrację
Oddział Kolbuszowa

Wykaz Organizacji Gwardia Ludowa

1. Nazwa Organizacji:

Organizacja nasza nazwała się Gwardia Ludowa, ponieważ przy scaleniu innych demokratycznych organizacji, przybrała ogólną nazwę "Armia Ludowa".

2. Data powstania Organizacji Gwardii Ludowej

Organizacja nasza pod nazwą Gwardia Ludowa, powstała na terenie naszego powiatu, około 15 listopada 1942 r. zapoczątkowana przez ob. Urbaniaka Antoniego ps. "Antek", z powiatu Tarnobrzeg.

3. Kto był organizatorem Gwardii Ludowej

Pierwszymi organizatorami w powiecie kolbuszowskim byli : Sołtys Franciszek ps. "Łęg" i "Brzoza", Tomczyk Antoni ps. "Krzywy", Wilk Józef, ps. "Wysoki".

4. W jakim celu powstała organizacja G.L.

Organizacja Gwardia Ludowa, później Armia Ludowa, powstała:

- a) do walki z okupantem hitlerowskim,
- b) niszczenia wrogów wywodzących się ze środowiska polskiego, /Volksdeutsche, konfidentów i współpracowników niemieckich,
- c) współpracy z innymi organizacjami, w pierwszym rzędzie z Batalionem Chłopskim,
- d) szerzenia uświadomienia wśród pracujących w celowości walki.

5. Zakres działania organizacji i jej struktura:

Gwardia Ludowa była zorganizowana w system piątkowy drużyny, bataliony i wyższe. Zakres działania piątki, przeprowadzenie akcji w terenie określonym przez komendanta drużyny, powrót, do miejsca zamieszkania. Prócz tego były oddziały stałe, składające się z ludzi tzw. spalonych przez okupanta. Oddziałów takich na terenie powiatu było dwa.

6. Nazwiska i pseudonimy dowódców

Dowódca i szef sztabu podokręgu Rzeszów: "Stefan", Szybisty Stanisław, dowódca oddziału partyzanckiego ps. "Iskra" i "Janek" nazwisko Paduch Jan, zastępca dowódcy oddziału "Iskra", i Pomykała Stanisław ps. nieznany. Organizatorami Gwardii Ludowej byli: Sołtys Franciszek ps. "Łęg", dzielnicy pierwszej, Bogacz Stanisław ps. "Strach", dzielnicy drugiej, Puzio Antoni, ps. nieznany, dzielnicy trzeciej, Osetek Kazimierz, ps. nieznany, dzielnicy czwartej. Dowódca oddziału "Bartosz Głowacki" ps. "Felek", nazwisko nieznane. (zabity w lipcu 1943 r.). Zastępca Dowódcy "Edek", nazwisko nieznane.

7. Ilość poległych i ważniejsze akcje bojowe:

Na terenie powiatu Kolbuszowskiego, poległo ogółem 30 członków Gwardii Ludowej w akcji

z Niemcami.

Ważniejsze akcje:

Rozbrojenie policji granatowej w liczbie 6-ciu na drodze Sokołów – Raniszów, spalenia magazynów niemieckich w Raniszowie, walka w Nadleśnictwie, walka z oddziałami niemieckimi w okolicy Turza, gdzie zostało zabitych 12 Gwardzistów. Napad na gestapo w lesie Sokołów na “Forstamt” Krzątki.

Powyższe dane podają
członków sztabu podokręgu G.L.
Sołtys Franciszek

Kolbuszowa, dnia 12.V.1947 r.

Pow. Związek Walki Zbrojnej
o Wolność i Demokrację
Oddział w Kolbuszowej

Wykaz organizacji "Batalionów Chłopskich"
pow. Kolbuszowa

1. Nazwa Organizacji

Bataliony Chłopskie

Organizacja Batalionów Chłopskich powstała z org. Stronnictwa Ludowego.

2. Data, gdzie i kiedy organizacja powstała

Organizacja Batalionów Chłopskich wraz z administracją powiatu powstała dnia 20.V.1940 r. Zapoczątkowanie organizacji miało miejsce w gminie Sokołów pow. Kolbuszowa, tworzonej przez ob. Falandysza Jana, ps. "Dębowy", który w krótkim czasie został uwięziony i zginął. Organizacja powiatu przeszła w ręce ob. Korzepy Piotra ps. "Narutowicz", oraz Zarządu Powiatowego, który się składał z następujących członków: Jadach Andrzej ps. "Koral", Kosiorowski Stanisław ps. "Czarny", Borowiec Czesław ps. "Zapomniany", Kołodziej Franciszek ps. "Koniczyna", Szczęch Stanisław ps. "Wyrwicz", Mytych Jan ps. "Dziadek".

3. W jakim celu powstała organizacja Batalionów Chłopskich

Organizacja Batalionów Chłopskich powstała w myśl drużyn Bartoszewych:

- a) do walki z najeźdźcą faszystowskim,
- b) niszczenia wrogów, wywodzących się ze środowiska polskiego,
- c) współpracy z innymi organizacjami, w pierwszym rzędzie z A.L.

4. Zakres działań organizacji i jej rozwój

Przez Zarząd Powiatowy zostały powołane Zarządy Gminne, Bataliony Chłopskie i Komendy gminne Ludowej Straży Bezpiecz., z czego zostały zorganizowane drużyny, plutony, kompanie B.Ch. Gmin zorganizowanych w powiecie było 7 i 8-ma miejska, przy każdej komendzie gminnej był szef wywiadu, propagandy, jak również "Zielony Krzyż", czyli oddziały "sanitarne". Na terenie powiatu zostały zorganizowane dwie bojówki, bojówka nr 1 i bojówka nr 2. Pochodnia i Burza, również był zorganizowany pluton operacyjny, czyli lotny. Plutonów w powiecie było 18, kompanii 5, stan kompani 220 ludzi, pozostała ilość ludzi została przesunięta do Ludowej Straży Bezpieczeństwa i Milicji: 1. Państwowej, 2. Samorządowej, 3. Honorowej. Zakres działań: niszczenie bunkrów, przecinanie kabli i bezwzględne utrudnianie Niemcom przy zbieraniu kontyngentów i wywozie Polaków do Niemiec.

5. Nazwiska i pseudonimy dowódców

Pow. Komendant całości Korzepy Piotr ps. "Narutowicz",
Pow. Kom. Batalionów Chłopskich Mytych Jan ps. "Grodzki",
Pow. Kom. Ludowej Straży Bezp. Gorzelany Józef ps. "Bomba",
Pow. Kom. Milicji "Wyspiański" Stanisław Kosiorowski,
Pow. Instruktor "Zielonego Krzyża" Bagińska Agnieszka ps. "Małgosia",

Pow. szef Propagandy Węglarz Stanisław ps. "Wacław".

Nazwa dowódców placówek:

Cebula Antoni ps. "Świrek", Jemioła Zygmunt ps. "Zapomniany", Bieleń Franciszek ps. "Wóz", Marut ps "Kornet", Mytych Jan ps. "Dąb".

6. Ilość poległych i ważniejsze akcje bojowe:

Ogólna liczna organizacji: Bataliony Chłopskie liczyły 1630 członków, ilość poległych 31 członków z B.CH.: w walkach z Niemcami.

Ważniejsze Akcje:

Na podstawie pisma oficjalnego w prasie podziemnej: organ B.CH. - ruszyły nasze oddziały w akcję bojową w miejscowości Majdan Królewski, zabierając tu 28 jałówek. Zrobiono wypad na linii wąskotorowej Dęba – Mielec, rozbrajając Niemców, zbierając amunicję i broń. Następnie w miejscowości Pikułówka likwidując placówkę SS, 18-tu zostało zabitych, walka 4-ro godzinna. Miejscowości Poręby – Komorów zastrzelenie dwóch SS wraz z leśniczym, paru rannych, w miejscowości Widelka zlikwidowano komisję kwalifikacyjną bydła – zabito targownika i kontrolera mlecz. W miesiącu lipcu 44 oficjalna 14-to dniowa walka Bratkowice – Budy i Poręby Kupieńskie, zabitych Niemców 48/86/.

Zarząd

<i>Sekretarz</i>	<i>Prezes</i>
<i>Mytych Jan</i>	<i>Korzępa Piotr</i>
Powiatowy Związek Walki Zbrojnej o Wolność i Demokrację Oddział w Kolbuszowej	Kolbuszowa, dnia 14.V.1947 r.

Wykaz organizacji Armii Krajowej w pow. Kolbuszowa

1. Nazwa organizacji

Armia Krajowa

2. Data powstania Armii Krajowej

Organizacja Armia Krajowa powstała w Kolbuszowej jako obwód na teren powiatu, we wrześniu 1940 r.

3. W jakim celu powstała "Armia Krajowa"

Zwalczanie Niemców, usuwanie konfidentów oraz przygotowanie terenu do wyzwolenia.

4. Zakres działań organizacji i jej struktura

Zakres działań organizacji Armii Krajowej na terenie powiatu ograniczał się do usuwania Niemców i konfidentów, którzy prześladowali Polaków.

5. Nazwiska i ps. dowódców

Komendantem obwodu, czyli powiatu ps. "Kefir", był Kordyszewski Józef ps. "Boryna",

komendantami placówek byli: Łykus Tadeusz, dowódca placówki Kolbuszowa ps. "Gryf" innych nazwisk nie można podać z powodu nieobecności dowódców, jak również i komendanta Kordyszewskiego.

6. Ilość poległych i ważniejsze akcje bojowe

Organizacja Armii Krajowej liczyła tu około 2100 ludzi, z tego poległo 50 osób.

Ważniejsze akcje Bojowe:

Poręby Kupieńskie, walka czternastodniowa. Las Przedbórz walka jednodniowa, Budy – Bratkowice walka trwała 4 dni, zdobyto na Niemcach jedno działo przeciwlotnicze. Likwidacja: komendanta kryminalnej policji, największego niemieckiego konfidenta Halickiego Włodzimierza.

Uzupełnienie:

Ad.5. /na podstawie artykułu "Z badań nad strukturą organizacyjną Ruchu Oporu w Rzeszowszczyźnie" pióra Andrzeja Zagórskiego w "Studia Historyczne" wyd. Polska Akademia Naukowa Oddział w Krakowie z r. 1968 zes. 1 str. 101 i 102 – Obwód ZWZ-AK Kolbuszowa kryptonim: "40, K, Kefir: 113", Kmdt Obwodu: do VII 1942 Wiśniewski, ps. Osa od VII 42 – 1944 kpt. Józef Rządcki ps. Konar, Boryna zastępca komendanta: od 1942 r. por. Władysław Nazimek, ps. Drzazga, kpt. ps. Rdzawy, kpt. Ludomir Frankiewicz, ps. Mních, Róża, adiutant: ppor. Józef Batory ps. Argus, oficer szkoleniowy por. Czesław Cieślik, ps. Agawa, oficer zrzutowy ps. Maczuga, oficer broni ppor. ps. Filip, ps. Lonc, oficer wywiadu ppor. Władysław Nazimek, ps. Drzazga, oficer łączności ppor. Józef Batory ps. Argus, kwatermistrz: por. M. Fiszer, ps. Las, oficer dywersji 1943/44 ps. Jan, 1944 ppor. ps. Piotr, kierownik informacji i propagandy 1942-44 oficer czasu wojny Michał Mokrzycki, ps. Bartnik, Orlik, lekarz obwodu ppor. san. Juliusz Własnowolski ps. Trzask, referent bezp. W. Wąsowicz ps. Góral, komendantka Wojskowej Służby Kobiet: ps. Frania, ps. Kot, instruktor WSOP 1942 – 44 Rychel, ps. Ludwik, 1944 Jerzy Tyszkiewicz ps. Koral, (kapelan ks. Władysław Smoleń, ps. Tylka).

Urywek z pamiętnika tow. Kazimierza Stanisława Osetka

“Z walki i pracy w jednolitym Froncie Ludowym
o Polskę Ludową na terenie województwa rzeszowskiego”

W styczniu i lutym 1943 roku Sztab Obwodowy GL zalecał przygotowanie oddziału GL do podjęcia walki z wrogiem. Było to niezwykle trudne ze względu na to, że na naszym terenie nie było większych lasów, w których można by było się ukryć na kilka dni. Gestapo wysłało do wsi położonych obok lasów swoich szpicli i wywiadowców. Podawali się oni za partyzantów, prosili ludność o żywność, o nocleg. Ludzie, nie spodziewając się podstępów i nie przewidując podłej zdrady, udzielali pomocy rzekomym partyzantom. Gestapo aresztowało potem i mordowało sympatyków ruchu partyzanckiego. W rezultacie tego, po ukazaniu się we wsi nieznanych osób, ludność w obawie przed prowokacjąm meldowała o tym żandarmom.

W okręgu Rzeszowa planowano wysłać w pole 2 oddziały Gwardii Ludowej. Jeden planowano wysłać w okolice powiatu Kolbuszowa – Nisko i Łańcut (obecnie powiat Leżajsk), drugi oddział miał wyruszyć na Podkarpacie i nawiązać łączność z działaczami GL.

Na dowódcę pierwszego oddziału wyznaczony został tow. Zdzisław Bosak, na dowódcę drugiego oddziału “Iskry” tow. Kazimierz Nycek. Sprawa wysłania stałych oddziałów w teren wywołała szereg dyskusji, nie było jednomyślności w tej sprawie. Towarzysze kierując się doświadczeniem zdobytym w walce stali na stanowisku nasilenia walki poprzez grupy wypadowe. Nie było sprzeciwu co do wysłania I-go oddziału GL.

Ja osobiście nie byłem przekonany o słuszności wysłania na Podkarpacie II oddziału, składającego się z gwardzistów z okolic Rzeszowa. Popierał mnie tow. Józef Kogut i tow. Antoni Puzio. W połowie lutego 1943 roku odbyła się odprawa gwardzistów z grup wypadowych powiatu Rzeszów, Kolbuszowa i Łańcut. Miejsce odprawy ustalono w lasku od strony wschodniej wsi Stobierna. W odprawie brali udział również członkowie KO PPR i członkowie sztabu GL. Obecni na naradzie byli również Kazimierz i Władysław Osetkowie oraz Franciszek Kowalski z Górna. Obu oddziałom GL nadano nazw “Iskra”. Po odebraniu przyrzeczenia przez Stanisława Szybistego oddział wyruszył w pole.

Po dokonaniu ataku na posterunek policji granatowej w Grodzisku Dolnym i po zdobyciu broni, oddział planował atak na Fabrykę Sukna w Rakszewie. Po wymianie strzałów oddział wycofał się do lasów Turskich. Rozbrojono kilku policjantów z Ranizowa na szosie Sokołów – Ranizów. Później przygotowano likwidację konfidenta niemieckiego, leśnika Bełzy.

Przystąpienie do walki oddziału “Iskra”, przeprowadzenie akcji zbrojnej na szerszą skalę zaniepokoiło Komendanturę w Górnem i Gestapo w Rzeszowie.

W dniu 8 marca 1943 roku otrzymaliśmy wiadomość, że w Górnem nastąpią aresztowania. W dniu 13 marca pod naszym domem zatrzymało się auto osobowe. W czasie ostatnich 4 dni byłem w domu ojca, w dzień przebywaliśmy w polu i obserwowaliśmy wszystkie obce osoby i pojazdy. Z auta, które się zatrzymało pod naszym domem, wysiadło 3 gestapowców, towarzyszył im sołtys ob. Jan Piekut (on to wskazał im nasz dom). Gestapowcy zauważyli na podwórku mnie i brata Władysława. Szybko zaczęli się zbliżać do nas. Jeden z nich wszedł do mieszkania. Wtedy

rzuciłem się do ucieczki. Tak się złożyło, że uciekłem obok stajni, drogę zamykał mi płot okalający obejście. Rzuciłem okiem za siebie i zauważyłem, że goniący mnie gestapowiec wyciągnął z kabury pistolet. Błysnęło mi w umyśle, że Niemiec zastrzeli mnie, gdy będę przeskakiwał przez płot. W tym momencie zbliżającego się do stajni gestapowca zaatakował pies. Gestapowiec stając we własnej obronie, zajął się psem. To pozwoliło mi bezpiecznie przeskoczyć przez płot, który w pewnym sensie tworzył zaporę i utrudniał gestapowcowi otwarcie ognia w moim kierunku.

W trudnej sytuacji znalazł się mój brat Władysław. Jeden z gestapowców przystąpił do niego i zapytał go łamaną polszczyzną o nazwisko. Władysław, chcąc zyskać na czasie, podał mu fałszywe nazwisko.

Mając w rękach worek ze zbożem, rzucił go na ziemię i rzucił się do ucieczki w kierunku bramy wyjściowej, odległej o 35 metrów. Brama była zamknięta. Gdy brat zaczął otwierać bramę, gestapowiec zaczął strzelać do niego z pistoletu, zadał mu 7 ran w rękę i nogi. Mimo ran, Władek po wydostaniu się za płot, nie zwalniając tempa, biegł w moim kierunku. Wtedy zachwiał się i upadł na ziemię. Podbiegłem do niego. Wspólnie, chociaż z ogromnym trudem, zdołaliśmy wydostać się spoza zasięgu ognia pistoletów. Gestapowcy, nie zdoławszy nas ująć, odjechali. W dniu 16 marca 1943 roku do domu mego ojca przybył oddział gestapo złożony z 14 osób. Przeprowadzono rewizję w domu i budynkach gospodarczych. Niemcy nie znaleźli żadnych kompromitujących materiałów. Mimo to aresztowali ojca, a matkę "wysiedlili" z domu, mieszkanie zdemolowali. Matce i siostrze Helenie przez kilka tygodni nie dano spokoju. Gestapowcy wyprowadzili niewiasty z mieszkania, stawiali pod płotem i grozili rozstrzelaniem. W ten sposób gestapo chciało od matki i siostry wydobyć wiadomości o mnie i braciach.

Matka i siostra zeznały, że synowie byli w domu, pracowali na gospodarstwie i dopiero gestapo ich wypędziło, stwierdziły, że nie wiedzą, gdzie się obecnie znajduje Kazimierz, Władysław i Franciszek. Przeżycia te odbiły się ujemnie na zdrowiu matki i siostry.

Urywki wspomnień ppor. Franciszka Bielenia ps. Wóz,
komendanta placówki B.CH. "Pochodnia"

Współpraca między oddziałami BCH a AK była na codzień bez cienia jakiegś niezdrowej rywalizacji. Raczej wychodziliśmy z założenia, by współpracę bardziej zacieśniać i spalać, to było celem i myślą przewodnią naszej walki z okupantem. Tutaj nie było mowy o jakichś rozgrywkach politycznych, bowiem to nie było na czasie w okresie, gdy wróg czyhał na nas w każdej chwili. Nam partyzantom przyświecał jedyny cel: wolność Narodu i Ojczyzny. Nam bechowcom przyświecała zasada współpracy z każdą organizacją, która walczyła z Niemcami. Nie było tutaj mowy o jakichś osobistych czy grupowych porachunkach, czy zatargach. Zasadniczo na naszym terenie działało tylko dwie organizacje, to jest AK "Kefir" i BCH, scalone obie organizacje. Był również na terenie Krzątki pluton BCh nie podporządkowany ani pod AK, ani pod Bch.

Jeśli chodzi o współpracę z Armią Czerwoną, to była ona na porządku dziennym, na codzień. Podczas gdy pluton BCh uwalniał Dębę Tarnobrzeską, wojska Armii Czerwonej były za Sanem przed m. Leżajskiem. Sztab zrzucił skoczka na teren wsi Werynia (według relacji owego radzieckiego żołnierza), który przeszedł od lasu Zambrza do wsi Werynia i tu szef łączności LSB, kol. Ryszkiewicz Jan ps. "Konik" zorientował owego spadochroniarza, że Armia Radziecka może śmiało jechać przez Sokołów, Ranizów, Wolę Ranizowską, Lipnicę, na Majdan Królewski, Dębę, Tarnobrzeg i sięgnąć po drugi brzeg Wisły. Następnie owego skoczka skierował do Obwodowej Komendy AK, która swoje m.p. miała na terenie Weryni, w pałacu hr. Tyszkiewicza. Kol. "Konik", chcąc szybciej nawiązać łączność ze sztabem radzieckim, skontaktował go z Komendą AK dlatego, gdyż Komenda AK dysponowała samochodami zdobytymi na Niemcach, a przeto szybciej mogli go podwieźć do linii frontowej i nawiązać łączność z głównym sztabem, co też wkrótce się urealniło. Toteż Armia Radziecka, nie tracąc ani chwili czasu, mając dalsze rozeznanie, oczyszczony teren z Niemców, zabezpieczone przez partyzantkę drogi, całą swoją potęgą ruszyła śmiało i bezpiecznie aż do Wisły pod Tarnobrzegiem. Tereny nasze były zalesione, a przez to dla nas były bezpieczne, a dla Niemców szczególnie niebezpieczne.

Ja osobiście byłem zajęty reorganizacją oddziałów partyzanckich i samoobrony do ewentualnej ewakuacji ludności na wschód w wypadku uderzenia Niemców. Drogi powiatu kolbuszowskiego na pograniczu z powiatem tarnobrzeskim, mieleckim, dębickim, ropczyckim i rzeszowskim były obsadzone przez partyzantów AK i BCh, aby nie puścić Niemców bez strat w głąb powiatu.

Prawie tydzień upłynął od wypędzenia Niemców z powiatu, zanim wjechał pierwszy oddział Armii Czerwonej. W owym czasie, gdy oddział plutonu "Kornet" w sile 220 ludzi rozprawił się w Dębie z SS-manami, oddziały AK i BCh walczyły na szosach z czołgami niemieckimi, które za wszelką cenę chciały dotrzeć do centrum powiatu. Walki te toczyły się na terenach zalesionych, dlatego Niemcy musieli przechodzić całymi oddziałami przez gąszcze leśne, co narażało ich na zasadzki i straty. Podczas gdy partyzanci B.Ch. toczyli skuteczną walkę o Dębę tarnobrzeską, w dwa dni później wydano rozkaz z obwodu do koncentracji oddziałów partyzanckich – tak AK jak i BCh – w miejscowości Poręby Kupieńskie.

Jakkolwiek placówka BCh "Pochodnia" była podporządkowana pod komendę Obwodu "Kefir", to jednak działalność nasza była wybitnie samodzielna. Zależność "Wydzielonej Placówki

“Pochodnia” od komendy obwodu była jedynie w sprawach szkolenia i częściowo uzbrojenia, natomiast wszystkie inne meldunki i rozkazy płynęły bezpośrednio od “Delegatury Trójki Politycznej” - “Nadleśnictwa”, czyli powiatu. Wpływało to, bowiem ze specyficznego położenia działalności Delegatury, do której dyspozycji były nasze bojówki i oddziały partyzanckie placówki “Pochodnia”. Powiat nasz był podzielony na cztery części administracyjne różnych formacji niemieckich, równocześnie (jak wspomniałem uprzednio) z dołączeniem innych części powiatu, jak niżańskiego, gdzie patronowało Luftwaffe, tarnobrzeskiego, gdzie było SS i Wehrmacht, mieleckiego – Luftwaffe i gestapo oraz dębickiego, gdzie był SS Ubwngsplatz z obozem koncentracyjnym w Bliźnie i Pustkowie. Tutaj Niemcy uruchomili wyrzutnię raket oraz produkcję bomby V-1 i V-2.

Plutonów takich jak “Kornet” było pięć. Pierwszy, jak wspomniałem, był “Kornet” (Wilcza Wola z całym zasięgiem sąsiednich wiosek). Drugim z rzędu był pluton ps. “Dzik”, obejmujący wioski Dzikowiec (Nowy i Stary), Mechowiec, Zagrody Mechowieckie, Osia Góra i część Lipnicy, Wola Raniżowska i część Raniżowa. Trzeci pluton ps. “Wyrwa” czyniły wsie Werynia z Kłapówką. Czwarty pluton ps. “Ząb” obejmował wsie Zarębki, część Dąbrówki, Cmolasu i Kolbuszowej Dolnej. Piątym plutonem był ps. “Niwy” obejmujący swym zasięgiem wsie Niwiska, Trześć, Hucisko, Hucinę, część Siedlanki, Trzęsówki oraz tereny lasów wokół Bliźny i Pustkowa, gdzie znajdował się obóz koncentracyjny i wyrzutnia V-1 i V-2. Ten pluton “Niwa” - Niwiska, pod dowództwem plut. kawalerii Jemioło Zygmunta ps. “Dynak”, pracował w najtrudniejszych warunkach terenowych, bo cały ten las był pod ścisłą kontrolą SS-manów i gestapo. Każdy człowiek, który znalazł się na tym terenie, musiał mieć specjalną przepustkę, kogokolwiek obcego schwytano, czekał go obóz koncentracyjny i niechybna zagłada.

Pluton ten odegrał pewną rolę w ujawnieniu i przekazaniu tajemnicy V-1 i V-2. Pierwsze pociski były niedokładne, a eksplozje ich w różnych częściach powiatu doprowadzały ludzi do szału z przestachu. Wkrótce jakiś 6-ty czy 7-my pocisk eksplodował na terenie obozu. Część jeńców oraz więźniów uciekła z obozu, a wśród zamieszania udało im się przedostać w lasy i zdążyli zbiec. Ci uciekinierzy udzielili informacji naszym bechowcom i leśniczemu Augustynowiczowi z A.K. Nadmienili, że to jest nowa broń, jak się wyrazili Niemcy, którzy ich pilnowali w czasie pracy. Wśród tych uciekinierów było około 20 jeńców radzieckich. Byli dobrze pokierowani przez bechowców, a potem przez ludność, bo 2-u z nich trafiło do mnie w polu przy pracy, co tym dla mnie było dziwniejsze, że znali moje nazwisko. Oczywiście powiedział im “Dymek”, albo ktoś inny, bo tego nie sprawdzałem a mieli powiedziane, że u mnie zasięgną informacji i dostaną żywność na dalszą drogę, co się też stało.

Urywek ze wspomnień ppor. Jana Mytycha z Hadykówki ps. Zagłoba, Dąb, Grodzki, zastępcy komendanta obwodu B.Ch. w Kolbuszowej.

Okręgów B.Ch. na terenie naszego kraju było X. Nasz okręg był VI i obejmował krakowskie, śląskie i rzeszowskie. Komendantem okręgu VI był “Zawojna”. Okręg dzielił się na podokręgi. Myśmy należeli do podokręgu rzeszowskiego. Komendantem podokręgu był Władysław Jagusztyn ps. “Oracz”. Zastępcą komendanta był Jan Jankowski ps. “Biały”. Oficer do spraw specjalnych Bronisław Kątnik ps. “Czarny”. Oficer szkoleniowy ps. “Sławomir”. Podokręg dzielił się na IX obwodów (czyli powiatów), nasz powiat był obwodem III pod ps. “Korba”. Pierwszym komendantem naszego obwodu L.S.B. Był Szymon Kocioł z Trzebóska ps. “Pochodnia”. Po aresztowaniu “Pochodni” Kom. L.S.B. zostaje Jadach Andrzej z Zarębek, on

również został przez gestapo zamordowany i na jego miejsce zostaje powołany Józef Gorzelany z Kolbuszowej Górnej. Komendantem obwodowym B.Ch-a był Nazimek Bolesław. Pierwszym organizatorem trójek politycznych na terenie naszego powiatu był Falandys Michał. (nadmieniam, że Falandys i Kocioł byli pierwszymi organizatorami ludowej pracy konspiracyjnej na terenie naszego powiatu). Po aresztowaniu Falandysa przewodniczącym trójki Powiatowej zostaje Matura Bolesław, ten też zostaje aresztowany, a stanowisko jego obejmuje Stefan Olszowy z Kosów, on również wpada w ręce gestapo i więcej nie wraca. Dalszy ciąg pracy konspiracyjnej aż do wyzwolenia prowadzą Piotr Korzepsa i Stanisław Kosiorowski ze wsi Dubas – Zarebki.

Poniżej przytaczam wykaz trójek gminnych:

Sokołów

Chorzepa Paweł, Kołodziej Franciszek i Surowiec Szczepan.

Raniżów

Kazior Józef, Adamczyk Józef i Mierzewa Franciszek.

Kolbuszowa Górna

Filipowicz Józef, Selwa Jan i Frankiewicz Franciszek

Niwiska

Kasza Michał, Wiewióra Piotr i Saletański Józef.

Cmolas

Posłuszny Jan, Jachyra Maciek i Magda Michał.

Majdan

Czesław Borowiec, Bał Jan i Pyra Stanisław.

Dzikowiec

Serafin Stanisław.

Kazimierz Skowroński

Owe pamiętne dni
(urywek z pamiętnika)

Dnia 23 lipca 1944, niedziela

Z godziny na godzinę czekamy – obwód “Kefir” AK. (Kolbuszowa) inspektoratu “Rzemiosło” (Rzeszów) z całym podokręgiem “Muzeum” (“Ogniwo” - Rzeszów) i scalonych z nim obwód B.Ch. “Komar” (Kolbuszowa) na rozkaz do akcji “B” - “Burza) w centrum Puszczy Sandomierskiej. Jest gorąco na niebie, na ziemi, i w nas, jak w ów pamiętny, polski wrzesień. W powietrzu upalnym czuć coś niezwykłego. Nadchodzą – nareszcie – wielkie dni. Czerwona Armia już na ziemiach rdzennie polskich. Bitwa o Bóg i Lwów w toku. Mówią, że jej czołowe oddziały pancerne (z wojskiem polskim) przeszły już Bóg koło Chełma. Że powstał nowy rząd polski, który wydał do narodu w Kraju jakąś odezwę, czy manifest...

A zatem zupełny przewrót nadziei. Nasza “Lauda” wraca do nas, ale nie z Zachodu, jak pięć lat temu się zdawało. Przeciwnie – ze Wschodu, jak spodziewali się tylko gwardziści z “Iskry” i członkowie P.P.R. Łakniemy wiadomości, jak chyba nigdy. Już – co najcierpliwi (optymiści? pesymiści?) słyszą dalekie stęknienia dział od wschodu. Co nam przyniosą? Chyba wolność! Wśród Szkopów i szkopskich sługusów niepokój. Wśród nas – w “Kefirze” (“40”) i w “Komarze” także. Jakże różny! Im chodzi tylko o łupy i życie, nam o wszystko! O siebie, o swoich, o wolność, polską broń i polskie szkoły, Polskie państwo i jego przyszłość! To nasz program maksymalny i chyba wszystkich Polaków w Guberni i całości ziem polskich. Nasz minimalny program własny w “Kefirze”, w “Rzemiosle”, w “Ogniwie – Muzeum” to, czy Niemcy wycofają się bez zniszczenia i walki, czy będą się tu zaciekle bronić i zostawią dla Polski z tutejszych stron C.O.P. “Schutt und Asche”, czarną ziemię? Dla samych nas – to: czy wykonują odwet za czwartkowy (20.7.) rozgrom spędu chłopskiego bydła w Widelce przez nasz oddział dywersji “Huragan” i rozwałkę zdrajców narodu: targownika Kaniastego (ojca) i mleczarza Dębowskiego przez wykonawcę wyroku na szefa kolbuszowskiego Kripo, Halickiego, “Sawę”? Czy uda się przed ich spodziewaną pacyfikacją Kolbuszowej, jak w ubiegłym roku wsi Przewrotne i Staniszewskie za pomoc dla “Iskry” Paducha, rozwózka z terenu broni ze zrzutu w noc z 6 na 7 lipca br. z Brindisi we Włoszech na zrzutowiska - “kosze” w Kłapówce i w przyszłej bazie AK w Porębach Kupieńskich w niedawnej udanej akcji “Kefiru”, “Zegar idzie”. Czy się spieszymy dobrze, kiedy się wreszcie “to” zacznie, my – 8 pułk zmotoryzowany “Ziemi Kolbuszowskiej” w 24 dywizji piechoty “Ziemi Rzeszowskiej” AK w akcji “B” “Burza”, a może nawet “A” - w powstaniu?

Wśród takich nastrojów i przeczuć odbyła się “po dziewiątce” przed południem u “Kossaka” na piętrze odprawa K.W.C. (Kierownictwa Walki Cywilnej) z “Koralem”, pow. delegatem Rządu (P.D.R.), inspektorem W.S.O.P. 2 (mjr. Jerzy Tyszkiewicz z Weryni) obwodu “Kefir”. Maskowały ją bliskość kościoła, ruch świąteczny, poważne pienia, potęgujące nastrój i powagę chwili. Szef pobieżnie przypomniał “Przepisy o organizacji i zadaniach A.Z. - administracji zastępczej) z 31 marca i dekret Prezydenta R.P. z 26 kwietnia br. roku o obowiązku współdziałania tymczasowych władz w terenie z wojskowymi władzami w przededniu akcji “Burza”. Szerzej przypomniał rozkaz Komendanta Sił Zbrojnych w Kraju z 23.III i 14.IV. br. do jego przygotowania. Celem odprawy była ostatnia instrukcja Naczelnego Wodza. Z dwóch spraw, które wysunęła na czoło Ruchu Oporu: ułożenia modus vivendi z czerwoną Armią jako

kombatantem przeciw Niemcom” i wykonania “Burzy” przeciw Szkopom w odwrocie, całkiem nas pochłoneła ta druga – odwet na mękę 5 lat potwornej okupacji, chyba najgorszej w naszym “karnym” powiecie Kolbuszowa.

“Burza” nie będzie, jak marzyliśmy, ogólnym powstaniem, ale “Wzmoczoną akcją dywersyjną” na tyłach Niemców, cofających się przed Czerwoną Armią w Puszcę Sandomierską. Ma polegać na ciągłym nękaniu ich straży tylnych wszystkimi środkami walki, na dywersji na sieci komunikacji (jak “Bariera”), na wyzwoleniu własnymi siłami, przed nadejściem radzieckiego sojusznika, miejscowości obwodu i wywieszenie Flagi Państwowej. Jej celem, jak w całym kraju, to – oprócz samoobrony ludności przed Vernichtungskomando z własowców i SS-manów – okazanie woli walki z Niemcami, danie ujścia żądzy odwetu za hitlerowskie zbrodnie i danie wszelkiej pomocy, jak gospodarze wojskom radzieckiego sojusznika i wyzwoliciela.

Pełni nadziei, lecz nie wolni od trosk i sprzecznych myśli, opuściliśmy kolejno konspiracyjny lokal. Przez cmentarz i Pasternik, drogą odskoku “Sawy” po Halickim, wróciłem do matki i ciotki na Szajtrówkę. Jeszcze popołudniu nadeszły nowe wieści o dojeździe radzieckiej ofensywy do Sanu, o popłochu Niemców i “foksów”, o – co najważniejsze – nocnym skoku na obóz “Baudienst” w Świerczowie. Są i niedobre z serwisu przygodnych przechodniów: w miasto zjechało kilka wojskowych ciężarówek od Rzeszowa i Sędziszowa niby przejazdem, ale Szkopy szukają kwater. W mieście niepokój. Ludzie wieją na wieś, nawet kryją się na cmentarzu. W spotkaniu z “Koralem” - wymarsz chyłkiem partyzanckich żołnierzy z miasta, Dolnej i Górnej na zborne place do Kupieńskich Poręb i na Rudę Dymarską, pogotowie do “Burzy”, do której rozkaz z “Muzeum” - już może być w drodze. Oczywiście ope-er i porcja drwiny: “Boisz się, stary?”. Wśród kiepskich przeczuć wracam do siebie na mielecką Dolna. Idzie noc nadziei i lęku. Noc pierwszej akcji “Burza” w “Kefirze” (pierwszej i w “Muzeum”). Na Zakościelu melduje jeden z “Ortschutzwachy”: “Auta wyszły z miasta, ale przyszła do Pustkowa kompania wojska”. “Boryna” z adiutantem Argusem i “Bartnikiem” w melinie u Rychłów zajęci nocnym angryfem na “Baudienst”, dla wzięcia żywcem komendanta Neissena, broni i koców i puszczenie chłopców – junaków do domu – i do partyzantki. W ulicy koło Sajtrówki mijam marsowa parę “Dolinę” z “Balonem”. “Złamcie kark w Świerczowie!”. Teraz macam po ciemku w stawie: są cztery kontenery z bronią zrzutową z Kłapówki, czy już wzięte przez ludzi “Szereg”, czy “Woza”? Jeszcze krótki wypad na strażnice “Wachy” z Dolnej w “Składzie”. Tu bez zmian, strzały zza Sanu, w mieście coś śmierdzi. Uwaga! Więc do domu. Pamiętnik do skrzynki. W butach, w ubraniu na nieposłaną sofę, by zniknąć bez śladu w razie nocnej “wizyty”.

Dnia 24 lipca, poniedziałek

Sprawdziło się wszystko, złe i dobre do joty. Słowo stało się ciałem. “Burza” w “Kefirze” przed nadejściem rozkazów “Muzeum”, dziś w nocy udaną akcją na “Baudienst” rozpoczęta! Ale – po kolei. Zbudziłem się nagle, jakby odległy wybuch sen przeciął jak brzytwą. Dopadam okna. Ciemno jak w piekle. Chyba przed drugą. W mroku przed oknem otwartym czarne kontury drzewa. Na wsi, jak na obcych, szcękają rozbudzone psy. Słyszę szept Matki spoza drzwi: “Strzały, jak Świerczów. Ruch w mieście”. Więc się stało!

Cicho skoczyłem z okna w mrok, w gąszcze starego bzu. Coś się czało wśród krzaków, akacji i świerków, trzeba do “starej rzeki” wzdłuż ściany, na szczęście, niezżętego żyta. Coś jak ruch w “ulicy”, więc rzut najdalej w głąb zboża. Nagle krzyk “Halt, halt” i huk bliskiego strzału (coś – szloch matki od domu). Długi cień “Balona” - chyba z akcji na “Baudients” - od rzeki tupot

ucieczki i pogoni, (więc nie do mnie!). I strzał, tym razem od tarnobrzesckiej Dolnej, gdzieś od miasta. Łapanka! Jak w Przewrotnem, Woli Raniżowskiej, Staniszewskim! Od wsi przymiejskiej, Rolów i Golów walenie w drzwi i żołnierskie ryki: “Manner raus”, “Hande hoch”, “Los, los, Schweinehunde”, płacz kobiet, krzyk obudzonych dzieci. Na rozstrzał, do Pustkowa, czy na okop[ę u Sanu? Teraz? - przed “Burzą” i światem wolności? Ciężkiej, oj, ciężkie są myśli człowieka K.W.C. I W.S.O.P., służby ochrony Powstania. Cienie dwóch roślących Szkopów z bronią odchodzą od drogi u Szajtrówki do gościńca ku miastu. Koniec “Streify”, jak w drugiej Dolnej u “Prebendy”. Ramiona matni łapanki odchodzą ku centrum Kolbuszowej – ze wszystkich jej stron. Tam “sądny” dzień! Pierwszy spodziewanej wolności – po 5 latach niewoli. I druga wyspa W.S.O.P., Jak przy “Odwece” “Jędrusiów” w 1941 roku. Wstał dobry dzień! W mieście na rynku krzyki pod niebo. Huczą zapuszczane motory “bud”, pewnie wywozić zaczną ofiary pacyfikacji Kolbuszowej z przedmieściami na Rzeszów, czy Pustków obóz śmierci”. 3/ Sprawcami ukraińscy w Dywizjon SS Galizien. Byłem wolny, żyłem. A inni? Żołnierze terenówek “Kefiru” i “Komara”, z placówek “Góra” (Kolbuszowa Górna), “Dolina” (Kolbuszowa Dolna, może sztab “40” z “Komarem – Boryna”, “Rdzawym”, “Mniczem”, spece dywersji z ppor. “Piotrem” i “Sawą”, wywiadu i W.S.O.P. Nie ma złudzeń! Ktoś zdradził, a może Szkopy przeczuły, co się tutaj święci. Zamiast do akcji “Burza” poszli do “SS Heidelager” lub “Auschwitz” w niewolę i śmierć. Prawdziwy pogrom! W tej chwili, gdy się zaczynało. “Zaczęło się świetnie – mruknął obok sąsiad “Balon” - w Świerczowie. Napad na Baudienst – na sto dwa! Komendant Neissen w piekle, rozwalił go w noc “Sawa”. Relacja była prosta i krzepiąca, nawet wobec klęski łapanki. “Obóz rozbity, junaki się rozeszli, część do partyzantki do Porąb, Szkop zabity, robi się tam zasadzka na Gestapo z Rzeszowa.

Zdobyliśmy – żołnierze z plutonu “Doliny” i “Znicza” 4/ - z 10 kb z amunicją, magazyn mundurowy z żywnością, ale są ranni z “Dolnej”. Idziemy do szosy. Są wieści z miasta. “Niemcy wybrali do dnia, obsadzili nocą Kolbuszową, część Dolnej i Górnej, prawie 200 mężczyzn w poborowym wieku (Dul zginął w próbie ucieczki), władowali do 18 bud i z Rynku, punkt zboru wziętych, wśród płaczu kobiet i dzieci wywieźli w kierunku na Rzeszów”. Czyżby chcieli uprzędzić “Burzę” - właśnie w Kolbuszowej?

Biegnę polami do Weryni meldować “Koralowi” i kwatermistrzowi “Las” Fiszerowi. W drodze cios nowy – Boryna, komendant “Kefiru”, z Orlikiem, szefem “Puli”, wzięci w mieszkaniu na Piekarskiej i w Rychłowiec na dolnej. “Burza” w “Kefirze” o kryptonimie “40” pod znakiem zapytania! Ale Werynia w lepszej myśli – przecież zostały plutony placówek “Rabus” - Raniżów, “dzik” - Dzikowiec, “Sosna I i II” (Sokołów miasto i Sokołów wieś), czy “Miasto” (Królewski Majdan) scalonej placówki B.Ch. “Pochodnia I”, “Woza” i “Pochodnia II”, oddział dywersji “Wojtko – Mściciela” z obwodu “Mleko”, jest nas, akowców z bechami, prawie dwa tysiące ludzi pod bronią. Akcja “Burza” odbędzie się- i musi się odbyć w Kolbuszowskim, ważnym węźle dróg w Sandomierskiej Puszczy.

W Kolbuszowej dobra wiadomość. Nastrój poranny płaczu i klęski powoli mija. “Granatowi”, tajni żołnierze “Kefiru”, mówią o ewakuacji posterunku żandarmerii w Sokołowie, Raniżowie i Kolbuszowej wraz z “Kripo” - i folksdojczami, znajomi – o odbiciu większej części transportu mężczyzn z łapanki w lesie głogowskim przez partyzantów z rzeszowskiego obwodu “Rozbratel”. Wpadam do “ojca miasta” Feliksa Dudzińskiego, byłego więźnia transportu, który przygasza radość, 5/ uwolniła część więźniów awaria “budy” u Głogowa i ucieczka ich nie napad partyzantki na niemiecki konwój. Ludzie jednak, pragnąc krzepy i akcji, w “napad” wierze, jak w Ewangelię. Tym lepiej dla “Burzy”, mniej dla “Kefirowskiej “Góry”, która po akcji “eks” na

Świerczów, gotując nowe: na młyn Kalkschmidta po mąkę i zboże, na komunikacyjną bazę firmy "Walter" (wozy/ i apteka/ lekarstwa) w noc na wtorek, bez wodza siedzi "z bronią u nogi", trochę, jak mysz pod niemiecką miotłą. Ludzie myślą o żniwach i sprzęcie zbóż, "przed wojną", niepokój z pogłosem dalekich armat wzrasta. Pod noc wracają partiami do domów "uciekiniarzy" z koszar na Pobitej w Rzeszowie, przekupiwszy wartę spod znaku Własowa, lub porostu dawszy dęba. Między nami – komendant "Kefiru" Konar, mjr. Józef Rządcki, Kordyszewski, który wróciwszy ok. godziny 11 od swego obwodu, objął znów dowództwo, zarządzając wykonanie nocnych "eksów" 2 plutonów i W.S.O.P. z placówki Kolbuszowa. Co nam przyniesie jutro? Na wszelki wypadek śpiemy w ubraniach, raczej poza domem. Mimo to udany rzut – przeważnie bez broni.

Dnia 25 lipca, wtorek

Od rana do nocy w polach ruch. Gorączkowe żniwa. Choć targ, do miasta mało, kto kwapi. Ludzie wokół myślą też o kryjówkach dla bydła i koni (nie tak, jak w r. 1939), schowkach na chusty i bunkrach dla swoich. Front się zbliżał jak w polskim wrześniu. Od Sanu dolatuje czasem pomruk dział. W mieście dzień sądny dla Niemców. Cicha jeszcze radość z powodu udanych nocą "eksów" (10 q męki, 2 tony transmisji) i ewakuacja Szkopów z Kolbuszowej. W rynku żandarmeria od Orgła znosi broń, mundury i zrabowane dobro do wywózki do Reich, przed Kalkschmidten w ul. 3 Maja, przed firmą transportową "Walter" w ul. Sędziszowskiej puchną ciężarówki, auta osobowe i – już cały dzień – wozy z Volksdeutschami z Wildenthalu i Weitzenringu z betami, babami i dziećmi – nach Vaterland. Adieu! Czy tylko dojadą? Patrzymy zza węglów, z okien, spoza drzwi i opłotków. Myny zwycięzców bardzo rzadkie, żandarmów jeszcze groźne.

Rozpiera nas radość, ale okazać ją jawnie, pod grozą utraty życia, jeszcze nie można. Dość, że odwet za rok 1939 pełny, że wolność już tuż, tuż. Szkoda tylko, że udało się Niemcom spalić zapasy broni i magazyny z Sądu w dworskiej uliczce u "Kanału" przed samym napadem na nie.

Trzeba po ciosie wczorajszej łapanki kończyć piorunem, w myśl instrukcji do pogotowia, przejście do akcji "B" - "Burzy", w którą "Kefir", przed rozkazem z "Muzeum", wszedł już akcjami od niedzieli. Czynią to i nasi najbliżsi spod "czterolistnej koniczyny" i "trójkąta" w Radzie Jedności Narodowej, władze R.O.CH. Od nadleśnictwa (powiatowej trójki politycznej) przez leśnictwa do gajówek i pow. komendy B.Ch. z por. Bolesławem Naziemskim ("Wit"), po scaleniu zastępcą komendanta "Boryny" z pseudo "Drzazga", a także – choć nie do "Burzy" - specjalne oddziały Ludowej Straży Bezpieczeństwa i specjalnej grupy Gwardii Ludowej, jak "Iskra", dzielnicowego podokręgu Kolbuszowa i Tarnobrzeg, podobwołu Rzeszów – Tarnów Polskiej Partii Robotniczej. 5/ Wspólnym naszym zadaniem – prócz bicia i pędzenia Szkopów z Polski – jest dzisiaj: nie dopuścić do wywózki ludzi z mienia, obronić ludność przed gwałtami uchodzącej teraz niemieckiej policji, bauerów i foksów, potem Wehrmachtu, odbierać, gdzie, co i jak się da, wszelkie mienie polskie, by oddać je Tej, Która nie zginęła i Która nadchodzi. W kilku wypadkach udaje się to w ów pamiętny ucieczką Niemców wtorek. Zabezpieczono maszyny u Waltera, w młynie z tartakiem Orgła (wcześniej w Zielonce przez "Sosnę") i w "Społem" w Kolbuszowej, w "Molkerei" u Głowackiego na Górnej, u Stieckla w Cmolesie, w Ranizowie, w firmie "Schmidt u. Jung" w Lipnicy. Przygotowano na "czarną godzinę" żywność dla partyzanckich baz w Kupieńskich Porębach i Weryni, dla cywilnej ludności w magazynach delegatury R.G.O. W mieście, zabrano leki z Apteki dla trzech polowych szpitali w Kolbuszowej (ppor. "Trzaska", Władysław Własnowolski) i Weryni z lazaretem Zielonego Krzyża ("Małgosia" - Bagińska) Ludowego Związku Kobiet "Komar" - "Korby". Należało się z tym spieszyć, unikając starć zbrojnych z cywilbandą szkopską w ucieczce i z ochroną ich z

“Ostlegionu” z Rzeszowa, Ukraińców, Kałmuków, Asserbejdżan.

Dziś, jutro - “wolnica” wobec firm, baueratów, liegenszaftów i forsterai, pojutrze zaczną się cofać tędy przez Sandomierską Puszcę – regularne jednostki Wehrmachtu i Waffen SS czy Luftwaffe z Górna. Będzie to ich szlak główny odwrotu znad Sanu, czy boczny tylko, isć będą zwarte, czy rozproszone, żadne walki i zemsty, czy na łeb na szyje cofające się byle najdalej od wschodu, byle z życiem? Od tego zależy przecież przebieg i postać “Burzy” i los całej Kolbuszowszczyzny. Damy sięwe znaki, jak trzeba, Szkopom, pokonamy ich tylne straże i ocalejemy dla Polski, czy zostanie ty z nas, przed przyjściem Radzieckiej Armii, “czarna pustynia”, “Schutt u. Asche” i groby. Wyboru – nie ma!

Albo my, albo oni, dłużej czekać z bronią u nogi nie wolno! Trzeba z honorem sami wolność wywalczyć i wziąć odwet lub zginąć. Jak każe historia nasza i literatura. I życie! Pójdziemy, starych ojców naszych szlakiem”. Inaczej wstydziłyby się nas nasze matki. Na razie działał za nas i myślał wspólny sztab “Kefiru”, śląc przez drogi Niemców pełne gońców i łączniczki Wojskowej Służby Kobiet i Ludowego Związku Kobiet z rozkazami i prasą. (“Na posterunku”, nasz “Wiarus”, “Wieści”), jak w całym “Muzeum”, jak we wszystkich jego inspektoratach, obwodach i podobwodach, szykując sanitarne kursy i szpitale (“Trzaska” i “Tylka” ks. kapelan Wł. Smoleń), które przydadzą się może już jutro. Tymczasem trzema traktami na zachód ciągną grupkami szkopskie tabory, a nasi ludzie kończą żniwa i kopią schrony. Nie chcą narażać młodzieży i odciągać ją od pracy i w partyzantce, zawieszam tajne nauczanie – komplety i egzaminy. 6/

Zwiadowcy, przebrani za chłopów i kobiety, bacznie obserwują drogi i ruchy na nich. Nadchodzą – wśród pomruków dział, radiowe nasłuchy w dwu odbiorników w mieście i w Weryni, czytania niemieckich komunikatów w “Gońcu” (“podogońcu”) i “Krakauer Zeitung” (Niemcy ponoć “we Lwowie i Tarnopolu”) i napięcia do ostateczności wieści o szybkiej likwidacji lotniska w Górnio, Lipnicy, Niwiskach, ewakuacja maszyn “Ju” i “Me” z personelem i “Ukraińcami” do baz w Rzeszowie (Jasionka), Pustkowie i Mielcu, o świeżym zrzucie radzieckich skoczaków w Brzycholinie u Lipnicy, którym pomogli ludzie “Agawy” i “Żbika” (jak przedtem w Paterakach ludzie Wojtka Lisa) i w Wilczej Woli, w terenie placówki B.Ch. “Kornet”, o wysadzeniu urządzeń wyrzutni V-1 i V-2 w Bliźnie, zwolnieniu wozaków w Pustkowie i planowaniu wywozu kolejowym transportem więźniów z “SS Heidelberg”, o wianiu bauerów Starke z Nowej Wsi, z Kosów, Siedlanki i Kokota z Cmolasu.

W sztabie i Weryni wrą narady, jaką wybrać – dla dobra ludności i Sprawy – taktykę w walce przeciw Niemcom w odwrocie przez Puszcę może już jutro, pojutrze: koncentrację wszystkich sił “Kefiru” i “Konara” w bazach leśnych w Porębach Kupieńskich, u zrzutowisk w Porębach i Kłapówce i w Rudzie – Dymarce z pozostawieniem ludności i Kolbuszowej jako “otwartego miasta” na łasce Bożej i niełasce wroga, na którego uderzyć trzeba “kupą”, czy dyslokację plutonów i drużyn na placówkach w swych osiedlach i miastach Kolbuszowej i Sokołowie dla lepszej samoobrony z toczeniem obron – potyczek, gdzie musi się i jak się da. Zwycięża pierwsza koncepcja, jako bardziej bojowa, wobec nieprzyjaciela, gdy cofać się będzie w zwarcium, i więcej humanitarna wobec miejscowej ludności, bardziej zgodna z wytycznymi do akcji “B”, nawet przy jego odwrocie w panice. Zobaczymy, jak to “wyjdzie w praniu”. Komendant Boryna daje rozkaz: “wszystkie zgrupowania w stanie bojowej gotowości, batalion por. “Agawy” (Czesław Cieślik) w rejonie Sokołowa, batalion kpt. “Rożana” (Ludomir Frankiewicz “Mnich”) pod Kolbuszową w obozie leśnym Poręby Kupieńskie, samodzielna grupa dywersji “Huragan” por.

“Piotra” u Weryni, “Pochodnia” B.Ch. ppor. “Woza” (Franciszek Bieleń w Weryni) w rejonie Kępieńskich Porąb”.7/

Rozkazy poszły. Idzie noc. Z nią nagła wieść “Ruski już z tej strony Sanu. Przeszli od Sieniawy, bokiem od Leżajska. Są już w Sokołowie”. Huk dział i łuna na wschodzie, jak Sokołów dodają tej wieści radosnej - “drogi z Sokołowa na Kolbuszową zamknęli cofającym się Niemcy koło Turzy i Zmysłowa żołnierze placówki “Rabus” - Raniżów z dowódcą “Żbikiem”, zmuszając do odwrotu na Rzeszów” - wagi należnej i waloru prawdy.

Późno, na rowerze jak zwykle, na Szajtrówkę wpadł szef “Puli” Orlik (Michał Mokrzycki z Cmolasu, oficer czasu wojny) z poleceniem dania do “Wiarusa” (nasz dodatek do pisma “Na Posterunku”), jako lewicowiec, ciepłego artykułu o Armii Czerwonej. Staram się pisać najcieplej, choć idzie, jak z kamienia. Ale ciepła trzeba! Okazaliśmy je i stąd już wiele: przez przekaz planów dyslokacji Niemców w “Truppenubungsplatz Sud” w Puszczy, pomoc radzieckim jeńcom w ich obozie w Królewskim Majdanie i w pracach w powiecie z narażeniem życia, ukrywania zbiegów, próbę – nieudaną – zbrojnego rozbicia obozu z “Pochodnią” II “Burzy” (Michał Burkiewicz z Majdanu), opiekę nad radzieckimi zrzutkami. I teraz damy pomoc przez akcję “Burza”, która z Niemców oczyści – razem z czerwoną Armią – Sandomierską Puszcę wraz z centrum jej Kolbuszową. Teraz pisanie idzie, jak z płotka. Witamy i pomagamy, jak gospodarz sam w biedzie swego oczekiwania przyjaciela – sprzymierzeńca! Potem walę się wprost z nóg ze zmęczenia w niezżęte żyto. Z mężczyzn w tę noc nikt chyba w domu nie śpi!

Dnia 26 lipca, środa

Budzi nas rankiem seryjny łomot, jak detonacja bomb w stronie Sokołowa. Niemcy obrabiają pewnie radziecką czołówkę z lotnisk w Jasionce i w Mielcu, chcą zdusić ją w zarodku. Biedni oni, biedny Sokołów i jego kościół z wieżą widną zewsząd, którą Niemcy zniszczyli wczoraj pod noc z dział na górze w Nienadówce. Nie można nic pomóc. Więc jednak święta prawda z Sokołowem i Ruskami już w tym mieście? Chcę uspokoić kobiety w domu, idąc z pola i na śniadanie. Od węgła domu rzucam się w tył i biegiem na strych z drabiną ze sobą. Niemcy! Przez szparę w szczycie widzę o 60 mtr niemiecką “Spahtroppe” w sile około 25 żołnierzy SS. Szli rowem wzdłuż ogrodu i traktu od Mielca ku miastu. Mam ich jak na muszce Brenna, suną gęsiego w odstępach, czujni jak w Niemanslandzie, wpół zgięci, z MP na rzemieniach, z palcami na spustach. Defile przed członkiem KWC i WSOP-u – bez broni – trwa dłuższą chwilę. Szosa pusta, cywilbanda już przeszła, cofać się zaczyna tedy Wehrmacht i Waffe SS. Niemcy – za linią umocnień i bunkrów na wzgórzach Przyłęka i Biesiadki nad szeroką okolicą przed Milcem, gdzie stawiają opór “Igelstellung” u lotniska z fabryką samolotów i bazy Wehrmachtu, chcą spenetrować przedpole “Lager Mielec” i “SS-Heidelager” przed Pustkowem u Ocieki, Woli Ocielskiej, Blizny i Przyłęka i wiedzieć, czy węzeł dróg Kolbuszowa w ręku polskiej partyzantki czy “Iwana”. Jak by się przydał teraz Brenn zrzutowy, czy Tompson, ale nic nie ma, prócz strachu o swoich i o siebie, gdyby zwiad obsadził ogród. Idą dalej aż po Gwizdów Zakościela i granicę miasta. Dalej brak im odwagi. Sądzą, że Kolbuszowa zajęta przez AK, czy “Ruskich”. Wracają rowem, chyłkiem jak duchy, ku linii obron Mielca pod Przyłękiem. Zatem miasto rodzinne od nich wolne po 5 latach niewoli!

Biegnę do nich wzdłuż Nilu, jak na skrzydłach. Jeszcze na oczach matki, za Szajtrówką nagłe spotkanie z obserw. Hanschlem. Leci wolno od miasta, nisko wzdłuż rzeki, ze zwiadu do Mielca. Uciec ni paść na ziemię nie wolno. Widzą mnie z maszyny i ja ich widzę. Wlokę się, jak chłop przechodzeń, (co tam czuje matka?). Przelecieli tuz nad głową – nie mam broni, ni biało

czerwonej opaski AK, śmierzę pod niebo cywilem! Co czuli, ich rzecz, grunt że żywy chodzę po ziemi. Jestem już w mieście. U Kossaka i Mielcusznych w Rynku, p. sztabu, dokąd autem zdobyczym do bazy w Porębach wrócił koło 10 komendant "Boryna", by wydać dalsze rozkazy mobilizacji "Kefiru" przez "Argusa", wrzało jak w ulu. Nadszedł z "Muzeum" rozkaz przejścia do akcji "Burza" w całym podokręgu. Radość i uściski, jak wśród dzieci. Nareszcie! Choć właściwie myśmy w "Kefirze" pierwsi wyszli, jeszcze w niedzielę, "eksem" na Baudienst z podziemia. Jak w "operacji" V1 i V2 w "Ogniwie", może najpierw w "Zamku" - "Godle", okręgu AK Kraków. Nie czas jednak na spór o palmę pierwszeństwa, kto najszybciej, najlepiej, byle z największą szkodą Szkopów za pożar Kolbuszowej w "Polskiej jesieni", za "karny powiat" z rządami Halickich, Twardoniów i dr Echausów z Zamku w Rzeszowie. Nim rozkazy poszły w teren do placówek, nim rozwieźli je przez boczne drogi rowerami łączniczki i gońcy, zaszedł w mieście fakt historyczny, który jeszcze bardziej zmobilizował naszą mobilizację w "Kefirze" - rozbrojenie szkopa! Oto "Spitfajer", szofer auta komendanta (Mielcuszny z Poznańskiego), wpadł z meldunkiem - "Samotny Niemiec, feldfebel Luftwaffe (z Górna?) na Rynku". Wypadli z "Boryną", który niby jako foks z Niemca wyciągnął, że czeka na kolumnę, boi się "Iwana" w Sokołowie i bandytów polskich koło Kolbuszowej, wioząc ważne papiery. "Boryna rzekł: "Ja jestem polskim partyzantem", sierpowym znieczulił Niemca w ataku, rozbroił go, ze Spitfaierem wrócił do auta i zawiózł do bazy w Porębach. Zaczęło się w Kolbuszowej rozbijanie zabłąkanych Szkopów, przez żołnierzy "Huraganu", gdy po południu "Boryna" nawiązał łączność przez radzieckich partyzantów (z ugrupowania im. Aleks. Newskiego) z dowództwem czołówki Czerwonej Armii u Sokołowa, które otrzymawszy meldunki i plany o sytuacji w Puszczy koło Kolbuszowej, wyraziło życzenie, by "Kefir" AK utrzymał oczyszczony teren jeszcze z tydzień, aż do przyścia do Jarosławia posiłków i objęcia kolbuszowskiego rejonu przez Czerwoną Armię.

Powstawała wolna Kolbuszowska Republika Partyzancka w centrum Sandomierskiej Puszczy. Chyba pierwsza w wyzwalającej się Polsce i najdalej wysunięta ku Krakowu między bazami ewentualnej niemieckiej obrony. Wychodzimy w pełni z konspiracji, z partyzantów stajemy się żołnierzami – przez Armię Krajową, scaloną z B.Ch., - Wojska Polskiego. Jako północne skrzydło G.O. "0014" - 24 dywizja piechoty AK, rzeszowskiego podokręgu "Muzeum", inspektoratu "Rzemiosło – 011", tworzymy od rozkazu "Muzeum" do "Burzy" z dnia dzisiejszego (26 lipca) wojskową jednostkę – 8 pułk motorowy obwodu "Kefir" pod kryptonimem "40". 8/ I mamy ważne cele bojowego działania przeciw Niemcom w odwróceniu na liniach:

- a) Kolbuszowa – Sokołów w kontakcie z grupą "Bacy" u Łańcuta z II ugrupowania "20" rzeszowskiego obwodu "Rozbratel",
- b) Kolbuszowa – Głogów wspólnie z grupami "Rekina" i "Uklei" z III ugrupowania "20" dla osłony Rzeszowa od północy,
- c) Kolbuszowa – Sędziszów wraz z oddziałami zgrupowania "60" (obwód "Deser" - Dębica, podobowodu Sędziszów) we wspólnych akcjach: uderzenia na kolejową linię nieprzyjaciela Rzeszów – Dębica (akcja "Wierzba"), uwolnienie więźniów obozu w Pustkowie i zajęcie – zabezpieczenia wyrzutni V-1 i V-2 w Bliźnie i krematoriów w Pustkowie. Dwie ostatnie akcje, już na linii Kolbuszowa – Mielec, jak i wystąpienia zbrojne na osi Kolbuszowa – Majdan z Dębą – Tarnobrzeg, wykonywać miał "Kefir" - "40" łącznie z oddziałami "F-a"-I/12 (obwodu Mleko – Mielec) i "T-b" - II/12 (obwód "Twaróg" - Tarnobrzeg, gdzie działał b. nasz profesor kolbuszowski, mjr. Zygmunt Szewera "Cyklop" 9/, inspektor W.S.O.P. i zastępca komendanta), inspektoratu rejonowego "012" - Tarnobrzeg, który – obejmując do lata 1942 cały obwód kolbuszowski – u wstępu do b "Burzy" (od lata 1942) mieścił a granicach swych zachodnio –

północną połączyć Kolbuszowszczyzny, pod rzeką Trześń – Łęg, dziś Przerwę. Prócz nas w tym terenie leśnym działały oddziały leśne Wojtki Lisa, grawitując ku “Mleku”, bechowska “Pochodnia II” “Burzy” (Burkiewiczów z Majdanu) z “Młotkiem” i koło Krzątki – geologicznej spec. grupy, zdaje się “Bartosz Głowacki”, wzdłuż kolejki Dęba – Mielec.

Przez nie “Kefir” - “40” wiązał bojową łączność z placówkami A.K. z Baranowa i Chmielowa, z “Agrotem” z Grębowa (w planie wspólne uderzenie na bazę Wehrmachtu “Dęba”) z partyzanckim oddziałem “Bławata” i oddziałem specjalnym B.Ch. “Czernika” z Wisły. Tak się przedstawiał nasz Ordre de bataille, plan bojowy według opóźnionego o 2 doby rozkazu przejścia do “Burzy” z naszego “Muzeum”, czy go wypełnimy ku radości społeczeństwa, które cieszy się jednością jak nigdy, okażą najbliższe godziny. Co dwie godziny od Sokołowa odgłosy bombardowań przez Luftwaffe czołówki Czerwonej Armii zza Sanu. Miasto, chyba pierwsze z tej jego strony w radzieckim ręku, płaci drogo za wyzwolenie. Nierówną o nie walkę “bojów” z niemiecką artylerią od Nienadówki wspomaga wydatnie, niemal ratuje od zagłady ów klin radziecki ku Wiśle – wybuch i rozrost akcji “Burza” A.K. z B.Ch. u Niska, Łańcuta, Rzeszowa, Kolbuszowej, Tarnobrzega i Mielca w oparciu o lasy Puszczy Sandomierskiej. Przede wszystkim powstanie w jej centrum Partyzanckiej Republiki Kolbuszowskiej i wyzwolenie strategicznego węzła Kolbuszowej, stwierdzone dziś, choć miasto nie przybrano jeszcze w Państwowe Flagi, przez niem. zwiad naziemny i lotniczy z bazy w Mielcu. Siły republiki rosną. “Gorący” mówią o powstaniu w Puszczy z powszechną mobilizacją, “ziemia” - najśluszniej – o ścisłym wykonaniu tylko akcji “Burza”. I oni biorą górę. Do “Burzy” w “Kefirze” pójść tylko uzbrojone plutony placówek i oddziały partyzanckie, poważna część żołnierzy terenówek A.K. i B.Ch. zostanie na miejscu, w miastach i wsiach powiatu, jako samoobrona przed Niemcami (dziś w lasu Weryni Kałmuki zabili kol. Sochackiego). Miejscami koncentracja partyzanckich oddziałów “40”, według rozkazu komendanta Boryny z dnia 25.VII.44 r. “Akcja B” dla “80”, 10/ miały być: dla grupy 1-szej por. Agawy z zastępcą Bartoszem (por. Wł. Nazimek). Złożonej z dwu plutonów “Wokulskiego” i “Przyłaska” i połowy plutonu boj. dywersji “Dzoker” (łącznie ponad 150 żołnierzy) z Sokołowszczyzny, gajówka Mościny za Trzebosią w lesie łańcuckiej ordynacji, z propozycją uderzeń na szosy z Sokołowa na Rzeszów i na Kolbuszowę (w lesie Turzy), dla II-giej grupy kapitana Mnicha (Rożana) z zastępcą podporucznikiem Piotrem w składzie też dwu plutonów Gryfa i Suliwy z połową plutonu dywersji pod Sawą (też powyżej 150 żołnierzy) z Kolbuszowskiego, lasy Tereba – Sudoły u Raniżowa, z celem uderzeń na szosy z Sokołowa do Kolbuszowej w rejonie Osia Góra i Kolbuszowa – Rzeszów u jej kolana i krzyżówki z drogami na Dymarkę Kup. Poręby i Werynię. Wzmocnienie tej grupy stanowił wyszkolony pluton placówki B.Ch. “Pochodnia” pod wodzą podporucznika “Woza” - i zastępcy “Zagłoby” (podporucznik cz. wojny Jan Mytych z Hadykówki), złożony z 75 wybrańców z pięciu plutonów taktycznych “Komar”: “Kornet” z Wilczej Woli i Kopci, “Wyka” z Weryni, “Zrąb” z Zarebek, “Dziadek” z Dzikowca i “Niwa” z Niwisk”, które na zasadzie scalenia weszły w skład sił A.K. jako “Wydzielona Placówka Pochodnia” (Obejmująca w dniu scalenia 3 plutony bojowe z 180 żołnierzami i szarżami oraz 5 ćwiczebnych z ok. 400 bojówkami) 11/

Obie grupy Rożana i Agawy czekało połączenie w rejonie Poręby Kupieńskie w wyniku sytuacji w Puszczy w sile 600 żołnierzy, wybranych z ok. 2000 akowców i 500 bechowców, 12/ którzy tworzyli rezerwę “Burzy”, podległą przez komendy rejonowe komendzie obwodu “Kefir – 40”. Więc się zaczęło. Serca biją jak młoty. Wyjście z podziemia wstrząsa na całe życie. Zło okupacyjne znika na zawsze wraz z niewolą. Białe – czerwona opaska z monogramem “A.K.” “Kefir” czy “B.Ch” otwiera każdemu drogę w “wiek męski”, w serca wszystkich i wolność. Dzień to pamiętny, jak nowe urodziny. Jeszcze w jego ciągu, już z bazy w Kupieńskich

Porębach, pluton Dąbrowy i Piotra z Sawy przechodzą chrzest bojowy w wypadach na Bratkowice z pomocą głogowskiej grupie Uklei i na posterunek Żandarmerii w Domatkowie i esmańskiego bauera oraz na oddziałek SS, śpieszący na ich ratunek (3 zabitych żandarmów, zdobycie broni i amunicji). Pod wieczór we dworze w Weryni nawiązano łączność z grupą skoczków radzieckich BAU Lejtnanta Jaszy, który tu i nazajutrz w Kupieńskich Porębach otrzymał szkice przepraw przez Wisłę i kontakt z "Jędrusiami" 2 dywizja sandomierskiej AK już za Wisłą. Skoczkowie awizują rychłe nadejście większych radzieckich sił pancernych w rejonie Sokołowa w celu opanowania Puszczy i dojścia do Wisły. Dzień pierwszy wolności "Kolbuszowskiej Republiki Partyzanckiej" kończy się radośnie dla "Kefiru", radzieckich forpoczt w Sokołowie – i dla skromnego korespondenta wojennego – niejako, w której to randze dla rejonu Kolbuszowej (przy "Borynie" zostaje nim kolega i poeta Jan Bol. Ożóg z Nienadówki) zasypiam u matki na Dolnej, śniąc – jak wtedy wszyscy – o powstającej już "z trudu naszego i znoju" - Polsce.

Dnia 27 lipca, czwartek

Zerwałem się wcześniej. Trzeba skosić żyto. Wokół wrą prace gospodarskie. Już dla siebie – w Polsce. Bez musu i strachu, który minęły – zda się – bezpowrotnie. Od strony Sokołowa od rana, drugi dzień, niesie się łomot nalotów bombowych Luftwaffe na zamkniętą w nim grupę członków radzieckiej. Trwa mocno, wsparta o pomoc oddziałów "Agawy" z AK i resztek Akowskiej "Iskry", w oczekiwaniu na podciągnięcie przez brody Sanu, strzeżone przez AK i B.Ch., posiłków pancernych i czoła Czerwonej Armii. W tej chwili – dzięki akcji "B – Burza" "Kefiru" z "Komarem" - wolny od Niemców jest już chyba cały nasz powiat z miastem moim Kolbuszową. Od dwóch dni tu trwa, w sercu Puszczy Sandomierskiej "Partyzancka Rzeczpospolita Kolbuszowska", może coś inna od tarnobrzeskiej "z listopada 1918 r.,- ale już część wyzwalającej się samodzielnie w "Burzy" Polski.

Radosny krzyk Matki wraca mi przytomność. "Patrzcie, patrzcie na miasto". W czystym błękitcie porannego nieba błyska z wieżyczki kościoła bielą i amarantem Flaga Państwa. "Na starostwie druga" - woła ciotka. Od strony Ratusza trzecia. Mała Irka biegnie wieść chorągiewkę u nas. Płacemy z radości i wzruszenia. Dajemy pokój żytu. "Idziesz?" pyta – każe matka. "Tak, Mamo". Żegna mnie z ciotką krzyżem na drogę, jak tyle matek – Polek w naszej przeszłości i dzisiaj. Sadzę przez wieś i Zakościół gościńcem, nie polem już, od miasta. Jest inne... odświętnie. Ludzie – raczej sami starsi – snują się dostojnie, jak w Boże Ciało. Na tych i tamtych domach biało czerwone chorągiewki. Szczególnie w Rynku. Na komendzie miasta w domu Mielcusznych czwarta flaga. (co na to niemiecki obserwacyjne "Storchy"?). Przed komendą, Ratuszem, męską szkołą u kościoła polskie warty w cywilach, ale w furażerkach, z opaską "AK" "Kefir" i Stenami w rękę. Policja już czynna z komendantem z 39 r. Sypkim. Chcę się meldować dowódcy obwodu. Nie znam hasła.

Warta nie wpuszcza – tak trzeba. Odchodzę. W drodze do "Kossaka" słyszę warkot motorów. To nie – jak dotąd – Niemcy. Mija mnie przyjaźnie, poprzedzany motocyklem "Zdzicha" z "Bartnikiem", zielonobłękitna, zdobycza Tatra "Konara – Boryny" z biało-czerwonym proporczykiem u maski. Jadą z bazy w Porębach przez miasto – z fasonem – do Raniżowa i wsi Zielonka na naradę – umowę z dowództwem grupy skoczków radzieckich, potem do Sokołowa, jeśli się da, na spotkanie z sztabem członków Czerwonej Armii. U "Kossaka" narada szefostwa K.W.C. Z "Koralem", delegatem powiatowym Rządu. Nowe przeżycie. Z razu nie mówił nikt. Po co? Potem - "pełno radości i krzyku". Wiadomości świetne. Nie jesteśmy już "Rzplta Kolbuszowską". Cała Puszcza wolna, może całe Rzeszowskie. "Burza" wyzwoliła, prócz

naszego powiatu, ponoć Posanie z Niskiem, Rudnikiem, Leżajskiem, szmat Powiśla z Grębowem. Walki w Rzeszowie – także całe Pogórze w ogniu. I to zrobiliśmy – sami. Brawo “Kefir”, “Mleko”, “Twaróg”, “Deser”, “Rozbratel”, w ogóle “Rzemiosło” i całe “Muzeum” - Rzeszowskie. To już nie akcja “B”, to powstanie. Brawo Armia Czerwona! Właśnie paraliżuje “Burza” odwrót i opór Niemców po Tarnów, a może po Kraków. I umożliwia, oczyszczając teren z nieprzyjaciela i drogę na zachód po Śląsk, zwycięski marsz Czerwonej Armii. Wczoraj zajęła ona Jarosław i Przemyśl, dziś zajmuje Leżajsk, Przeworsk, Łańcut i zdąża na Rzeszów. W tej chwili jej czołówka w Sokołowie otrzymują zza Sanu pancerne posiłki, wobec dowództwa, których nasz reprezentant, K.O. “Konar – Boryna” w naszym imieniu oświadcza – jak inni komendanci w innych obwodach A.K., według instrukcji: “Na rozkaz Rządu Rzeczypospolitej Polskiej zgłaszam się jako dowódca grupy “Kefir” Armii Krajowej z propozycją uzgodnienia z wkraczającymi w nasz powiat, teren Rzeczypospolitej Polskiej, siłami zbrojnymi Sowietów współdziałania w operacjach wojennych przeciwko wspólnemu wrogowi – Niemcom.” te same słowa, z podaniem pseudonimów i funkcji swej i dowódcy, wymienić mają w spotkaniu z oddziałami Armii Czerwonej wysłani naprzeciw łącznicy kontaktowi – przewodnicy prowadzenia jej przez Puszcę, (wśród nich i ja, z misją pilotażu członków od Rudy – Dymarki do miasta). Pod koniec odprawy omówiono żywo – wobec wieści o cofaniu się do Rzeszowa pancernych dywizji Niemców na Kolbuszowę – organizację, zgodnie z rozkazem “Muzeum” i “Boryny” z 25 lipca, rezerw i ewakuację ludności cywilnej, z jej ochroną, głównym celem “Burzy” (obok dezorganizacji odwrotów wroga przez plutony bojowe), i właściwym zadaniem WSOPu. Rezerwami w rejonach swych zajęli się już ich dowódcy rejonowi: “Wrzos”, “Jurand”, “Ryś”. Ewakuacja ludności w razie potrzeby – przeprowadzą, zapewniając jej wszelką ochronę, dowódcy oddziałów rezerwy z Kolbuszowej i okolicy “Nurt” z zastępcą “Szarym” w lasy Porąb Dymarskich, z Sokołowa i pobliza “Okolic” z “Drewniakiem” w bory Turzy, z Raniżowa i sąsiedztwa “Wilkołak” z “Mściciela” w leśny rejon nadleśnictwa Morgi, z Weryni i Dzikowca “Silman” w borki Zagród u Przerwy. Pozostali skryją się w razie zagrożenia w sąsiednie lasy Puszczy. Pora się rozejść, czas nagli. Władze cywilne winny od dziś objąć urzędowanie. Chcemy już wychodzić, nie pojedynczo, jak w konspiracji, lecz “Mości panowie, kupą”.

Wtem “Koral” patrzy w okno i staje na baczność. Zrywamy się, patrzymy jak urzeczeni. Przez kościelny cmentarz i wielkie drzwi kościoła wchodzi w ordynku, wprowadzony przez kapelana “Tylka”, księdza Smolenia, pluton bojowy “Piotra” i “Sawy” w rynsztunku partyzanckim. Lśnią białe-czerwone opaski, podzwania w rękach broń zdobyczna i ze zrzutów. Ta, o którą modliliśmy się przecież w noc okupacji słowami hymnu A.K.” “O, Panie, który jesteś w niebie, wyciągnij sprawiedliwą broń, wołamy o to dziś do Ciebie, o polską myśl, o polską broń”.

Z frontu fary łopocę dumnie Państwowa Flaga. Nie poszły na darmo, więc ofiary i czyny, nasze przysięgi: “W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny, Królowej Korony Polskiej kładę swe ręce na ten Krzyż – znak męki i zbawienia, i przysięgam być wierny Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięte na straży Jej honoru i o wyzwolenie jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił – aż do ofiary mego życia”..., ze słowami dowódcy: “Przyjmuję cię w szeregi żołnierzy wolności. Twym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w rękę o odrodzenie Ojczyzny. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą”... Już ją mamy!

Rozchodzimy się. Do kościoła, do domów, do akcji. Jeszcze wieść o spotkaniu “Boryny” w Raniżowie, w Staniszewskim, Sokołowie, o nadejściu posiłków radzieckich w Sokołowie, o szaleństwie Luftwaffe, a nade wszystko o marszu przez Werynię, Kłapówkę “Pochodni” 13/BCH z “Wozem” i “Zagłobą” do bazy w Porębach, o szczęśliwej zasadzce na niemiecką wyprawę z Rzeszowa dla pacyfikacji dworu Malinowskich w Burach Głogowskich, odparciu jej

wśród strat nieprzyjaciela przez oddział kapitana "Mnicha" i zdobyciu pancernego auta i działka przeciwpancernego, akcja na magazyn amunicji w przewrotnym, o nowej potyczce w Przedborzu i w Bratkowicach, o akcji wreszcie – nie udanej - "Pochodni II" "Burzy" Burkiewiczów na bazę SS-Dębę.

Nim doszliśmy, radośni, gdziekolwiek, rozpętało się w powietrzu nad nami piekło. Nad miastem i Werynią krąży zawrotnym młynem, strzelający z broni pokładowej na wsze strony, w pikowaniu i lotach koszących raz po raz, z 10 maszyn niemieckich myśliwców "Me 109" z lotnisk w Mielcu i Jasionce. Spod wiązu u cmentarza bił do nich seriami bezskutecznie nasz jedyny w mieście ciężki karabin maszynowy "Sawy". Przywarliśmy, gdzie kto mógł, na długie jak wiek dwie godziny potwornego nalotu na Kolbuszowę. Tuż po południu ustało wszystko, jak nożem uciął. Maszyny odleciały na Mielec, zostawiając słup ognia, który bił w niebo ze szczytu Górki Weryńskiej. Rychło meldunki wyjaśniły wszystko. Koło godziny dziesiątej spadł w tym miejscu pod lasem "Me 109", uszkodzony w walce nad Werynią przez pierwsze w tych stronach radzieckie myśliwce. Nim podbiegli wziąć go żywcem z załogą żołnierzy "Pochodni", "Woza" w marszu do Poręb lub plutonu "Piotra", przyszli mu w sukurs koledzy myśliwce. Niebo nad Kolbuszową zaroilo się od maszyn. Gdy wszystkie krążyły w zawrotnym sabacie nad lasem i miastem, udaremniając ruch wszelki, jedna z niemieckich maszyn osiadła na ziemi przy strąconym aparacie, wybiegła załoga, wzięła rannych rozbitków na pokład, zapaliła zbiorniki strzałami i w osłonie szaleńczych lotów maszyn nad miastem odleciała na lotnisko w Mielcu. Zdobycz wymknęła się nam z rąk – zły omen. 14/

Zmęczony wrażeniami wróciłem wzdłuż Nilu do domu. Wiązemy, jak cała wieś na gwałt, żyto w snopki i składamy w dziesiątki. Od Sokołowa wciąż kanonada nalotów, zda się mocniejsza. Ludzie kopią schrony na Dziale lub nad rzeką. Z miasta uchodzą rodziny z dziećmi. Młodszy Dolniacy – partyzanci na krótko wpadają do wsi. Siostry i narzeczone pyszną się nimi jak pawie. Patrzą zdziwione na mnie wciąż "w cywilu" (Służby jak moja, się nie ujawniają). Jest cisza, jak przed nową burzą (Wieść od Tośka Mytycha z Weryni o śmierci Gustka Batorego pod Majdanem w wyprawie z częściami radiowymi do "Agrota" w Grębowie). W bazie w Porębach koniec koncentracji, wysyłka patroli i spowiedź. Miasta strzeże tylko pluton "Piotra" i "Sawy". Kończymy z żytem. Zbliża się przedwieczerek. Wieść o ewakuacji obozu Pustków, w pierw mężczyzn, potem kobiet pieszo na stacji w Kochanówce, stąd pociągiem w nieznaną. Wśród więźniów rodzina leśn. Augustynowicza. Tu cicho... Nagle od Dolnej u szosy tarnobrzesckiej łoskot pędzących na pełnym gazie od Majdanu i Dęby motocykli. Za nimi jakieś trzy auta pełne żołnierzy. U wjazdu w miasto, na zakręcie u traktu ku Weryni stają. Pierwszy motocykl wpada pędem przez most w miasto. "Niemcy!" Pędzą od mostu na Dubasie w pościgu za motorowym zwiadem AK „Kurtnikiem” i "Zdzichem". Pod Zielińskim przystanawszy, Niemcy montują MG i w bojowym pogotowiu, w sile z górą 40 SS-manów wjeżdżają na wielki most ku Rynekowi. Z daleka słyszymy wmieście wściekłe serie CK-emów, MG i pistoletów maszynowych. "Piotr" i "Sawa" bronią Kolbuszowej. Od bocznic wita karną ekspedycją Śmiały "Szyszka" z CKM-u, inni walą z piwnic Ratusza. Niemcy gwałtownie hamują, kilka trupów spada z aut. W zamęt biją nowe serie. Auta skręcają gwałtownie, znacząc struga krwi kierunek, w Rynek i pod kościół. Tu chce ich obrzucić granatami żołnierz AK Wojan (Wojda z Górnej), lecz pada ścięty kulami z MP-i. Niemcy zatrzymują się, zdzierają z ramienia opaskę AK - "Kefir" z pepeszą i wsiały w auta, co sił w motorach jadą przez Zakościół w ulicę Mielecką, strzelając na wszystkie strony. Przed nimi – od pierwszego alarmu ich wjazdu w miasto – uciekają grupy "cywilów" przez cmentarz wzdłuż rzeki i zborami w kierunku "Działu", wśród nich kilku żołnierzy AK z drużyny Józka Augustynowicza. Niemcy przystają u wylotu miasta w Dolną, obrzucają granatami piwnice

domów, Sieką seriami po zbożach i dziesiątkach. Ginie od nich pomocnik radiotelegraficzny Arseniusz Bryk. - "Węgier". Teraz wpadają komunikami ciężarówek, strzelając w oba boki ulicy, w naszą Dolną (Mielecką), chcą przebić się na Mielec, czy Dębę 15/. Widząc z okna uchodzących przez ogród znajomych, wybiegam z domu i pędzę ku rzece. Ponad nami szyją powietrze strugi pocisków z esmanowskich aut, pędzących wzdłuż Nilu. Wśród krzyków w biegu chwytam hasło "Zbiórka u Rudy – Dymarki", pamiętam rozkaz kontaktu, wpadam w rzekę, drugą Dolną, skąd po zmierzchu ruszam z kilkoma innymi (około 10 km.) do Rudy – Dymarki, Porąb Dymarskich. W nocy już dobijamy z trójką na miejsce zbiórki. Nikogo. W chatkach pobliskich w Rudzie przyjmują nas śmiało, dają informacje, częstują, proponują noclegi. Czujemy, że jesteśmy wielką jednością. Dziękujemy. Idziemy dalej. Później lądujemy w szkole w Dymarskich Porębach, u krewniaka, leśniczego Deca. Relacje, kolacja i do brogu głęboko w sianie – spać. Gdzieś na drugim krańcu powiatu w Kupieńskich Porębach czuwa zbrojny obóz "Kefiru". A co wokół nas, od strony ewentualnego nadejścia Czerwonej Armii?

Dnia 28 lipca, piątek

Zrywamy się ze świtem. Mycie u studni i narada. Rusków jeszcze nie ma. Dziś jeszcze tu, do Porąb Dymarskich i dróg stąd na Kolbuszowę i Majdan, chyba nie przyjdą. Od Sokołowa znów – już trzeci dzień łomoty bombardowania. Jest dziś bardziej gwałtownie, znak, że trwa koncentracja czołówek radzieckich sił pancernych zza Sanu w tym rejonie, że dziś, najpóźniej jutro ruszy walec jej ofensywy, "nastuplenie" dalej w Puszcze ku Kolbuszowej. Tu jeszcze nie ma nic do roboty, a tam, na Szajtrówce w domu same kobity, co z nimi? Co w Kolbuszowej, w Weryni, w Porębach Kupieńskich? Decyduję się wracać ze szkoły w Porębach i leśnictwa w Dymarce. Idziemy z młodymi Przybyłami ostro. Na niebie tkwią rozpoznawcze Hanschle czy łącznikowe Fiesler Storchy, wypatrując ruchu na trasie Sokołów – Kolbuszowa. Wtem znad sosen lasu z dziwnym warkotem wpada zielony myśliwiec nieznanego typu. Na skrzydłach? - tak, czerwone pięcioramiennie gwiazdy, to pierwszy radziecki myśliwiec! Nareszcie. Coś się dzieć zacznie teraz na dotąd niemieckim niebie. Na polach żniwa. Ludzie jednak wciąż spoglądają na Sokołów i Kolbuszowę. Z górki i w Zarebkach patrzę i ja: dom cały, Dolna także, miasto jak wcześniej, tylko po nalocie i karnej ekspedycji SS wczoraj, mniej uflagowane. Spokojne. Wolności dzień trzeci.

W domu radość, że żyję. Szukano mnie po zbożach, oplakano jak "Węgra". Nie zagrzewam miejsca u swoich. Idę na obchód kominków. Mówią powszechnie o likwidacji wypadu SS w Świerczowie (nie sprawdzono). Kolbuszowa wróciła już, po odparciu wczoraj przez pluton por. Piotra i dywersje Sawy wyprawy karnej czy tylko zwiadu motorowego z Dęby, do wyglądu i nastroju. W nocy wizytował ją z Poręb kpt. Mnich, sam komendant. Konar utrzymuje z nią łączność i dowodzenie swą Tatrą. Ale sił do jej ewentualnej obrony stanowczo zbyt mało. Okazały to wczorajsze wypadki. Pomysł z bazą w lesie Kupieńskich Poręb, nie w Kolbuszowej – węzle dróg na różę wiatrów, nie jest najszcześniejszy. Baza całego „Kefiru”, ciągnąc ku Rzeszowowi, znalazła się na marginesie wydarzeń w Puszczy. Kolbuszowa, zbyt blisko leżąc umocnień Niemców wokół Pustkowiec z Blizną, Dębicy i Mielca, ich bazy obrony czy wypadu, zdana jest z ludnością bezbronną wyłącznie na siebie. I to w czasie, gdy wstrzymanie na trzy dni pochodu czołówek Czerwonej Armii w rejonie Sokołowa pozwolił Niemcom otrząsnąć się z paniki trzydniowej i powrócić do wojennego, zaczepnego animuszu. Zaczęło się w czasie pogrzebu Wojana, i Węgra, gdy radziecki razwid jął dopiero docierać pod Werynię, od naszego powrotu bauera Starke z Kałmukami do „Dworu” swego w Nowej Wsi. Była to akcja planowa. Rankiem wrócili bauerzy z eskortą Ukraińców do Niwiska, Przedborza i Nowej Wsi u Kolbuszowej. O godzinie 9 wpadł Starke konno z kilku Włosowcami od Niwiska do wsi, zastał ludzi przy likwidowaniu folwarku, ostrzelał ich, zabijając Kolasę, Kiwaka, Marka, zabrał dr wet.

Lazurowicza (brata „Klamry” komendanta „Deseru”?) z żoną, likwidując ich po zarzucie organizowania partyzantki koło Rzemienia, po nakazaniu ludziom z Nowej Wsi zwrotu narzędzi rolnych do Niwisk „własnymi rękami” (co uczynili w obawie spalenia wsi), wrócił do Pustkowa – cały. 16/ Tylko tabor jego, łupy z Nowej Wsi rozbił napad Wojtka Lisa pod Dobryninem, zwalniając tutejszych chłopów z „forszpanu” do domów, a w dalszej akcji odwetowej „Śmiałego” i AK zostali ranni w ucieczce oberkaci gminy Niwiska: mjr. SS Albrecht z załogi Pustkowa i szef SS Gutsverwaltung Bohrman, podobno krewny Hitler. kumpla Bohrmana, organizator za okupacji, polowań tutaj dla elity III Rzeszy.

Motocykl mjr. Albrechta z teczką z planami niemieckiej obrony i kontrofensywy odwiózł zdobywca plut. „Rusnal” (Olech”), zastępca „Śmiałego” do Kolbuszowej i Porąb, gdzie doręczono je radz. lejtn. Jaszy. Odwet ten na razie zniechęcił Szkopów w Pustkowie i Mielcu do wypraw na Kolbuszową, penetracja jednak niemieckiego zwiadu w cywilnych ubraniach do miasta i pod Poręby (kilku zwiadowców ujęli żołnierze Piotra i Woza, patrolując drogi i lasy po Leszcze – Niwiska) świadczyły o przygotowaniach do kontrakcji. Była to dla Kolbuszowskiej Republiki Partyzanckiej sytuacja ciężka. Zewsząd jeszcze od baz Niemców w Rzeszowie, Pustkowie, Mielcu, Tarnobrzegu, groziła likwidacja z okrążenia jej czołówki reduty „Burzy” i letniej ofensywy Radzieckiej Armii, która jednak zaległa w Sokołowszczyźnie, zdając obronę węzła dróg Kolbuszowej wyłącznie w tych ciężkich dniach na „Kefir”. Rosnący nacisk Niemców, zachęconych trzydniową już z górą „podgotówką” radziecką w rejonie Sokołowa, na koncentrację „Kefiru” w Porębach – od Rzeszowa przez Bratkowice i od Pustkowa przez Przedbórz, zmusił dowództwo do przegrupowania. Komendant Boryna ściągnął przez gońców grupę sokołowską por. Agawy w rejon Kłapówki, dokąd z bazy w Porębach Kupieńskich przez Widełkę wśród deszczu podjęły marsz ubezpieczony połączone oddziały kpt. Mnicha, por. Znicza i por. Żbika. W trakcie przegrupowania oddziały te po południu odparły w bitwie nacisk niemieckiej kolumny od Głogowa i Bratkowic ze stratami szkopów kilkadziesiąt zabitych, sporo rannych i kilku jeńców, których oddano w ręce desantowej grupy BAU kpt. Juszy. 17/ Niemcy zabrali w tym wypadzie pod Widełką z sobą ciężko rannego pilota Me-109, strąconego w tym dniu nad Dymarką Widełki w walce powietrznej przez samolot radziecki, który potem nad Majdanem Widełki zniszczył drugi z ewakuacyjnego lotniska z Lipnicy (pilot był zaopatrzony przez lekarza Własnowolskiego “Trzaskę”, z “Me” partyzant Selwa wymontował MG). Pod wieczór w rejonie lasów Kłapówki grupy Różana – Mnicha i Agawy złączyły się, tworząc poważniejszą siłę, podczas gdy wysuniętaś “na sztych” Kolbuszową osłania wciąż tylko pluton por. Piotra i “Huragan” Sawy.

Tu zwłaszcza i w Weryni wre troska o zaopatrzenie w żywność sił bojowych “Kefiru” i ludności cywilnej w mieście. Ruch furmanek z ziemniakami i mąką. Czuć pracę Kier. Walki Cywilnej natury gospodarczej (żniwa, sprzęt i omłoty) – obok wojskowej strony akcji “B – Burza” - i natury politycznej w celu związania jeszcze ściślej kontaktów z Trójkątem “Ruchu oporu, ze Stronnictwem Ludowym w powiecie, rdzeniem przeciw politycznego układu sił w Puszczy. Prócz stycznych – wspólnych, ogólnopolskich, ma “Trójkąt” swoje własne cele, utrzymując odrębność L.S.B. i “Młodego Lasu”, popieranych przez młodych z “Wici” (gdy starsi z Krakowa, moi koledzy z U.J. i Polskiej Akademickiej Młodzieży Ludowej dr Józef Marcinkowski i mgr Witaszek wykazują mniej radykalizmu, więcej ducha jedności). Zna je Nadleśnictwo “Rocha” z polityczną trójką ze “Starym” (Piotr Korzepsa z Dąbrówki) i siedmiu “Leśnictw” w zbiorowych gminach ze swymi trójkami: “Konar” - Kolbuszowa Górna z leśniczym “Honorowym” (Stanisławem Filipowicz z Trzebosi), “Zwierzyniec” - Dzikowiec z “Giermkim” (Stanisław Serafin z Końca), “Liść” - Cmolasa z “Brzozą” (Maciej Jachyra), “Kwiat” - Majdan z “Czesławem” (Miech. Magda), “Sucha” - Ranizów z “Suchym” (Stanisław Rębisz z Zielonki),

wreszcie “Owoc” z “Romanem” (Piotr Kluk z Niwisk). Inni kontrahenci “Jedności” w Kolbuszowej się nie liczą, wprost ich nie ma. Jak też nie za wiele jest tu działaczy Polskiej Partii Robotniczej, głównie w Sokołowskim, Raniżowskim, i Majdańszczyźnie. Ci bliżsi są Tymczasowemu Rządowi i jego “Manifestowi”, którego tekst – za pomocą Czerwonej Armii – znają już w Sokołowie z okolicą. Ale to sprawy przecież dalekie – muzyka przyszłości”. Może kiedyś rozbiją dotychczasową jedność, a może stworzą nową, silniejszą w oparciu o pomoc Radzieckiego Związku? Na razie najważniejsze to walczyć z Niemcami, aby wyzwolić cały kraj, zbudować Polskę. Jaka – pokaże przyszłość.

W tej chwili – tutaj w Puszczy – są z nami na niebie, że ofensywa radziecka ku Rzeszowowi, a z bazy w Sokołowie i ku nam w Kolbuszowej. Współdziałamy w całej pełni. “Razwidki” radzieckie docierają dziś pod wieczór wachlarzem leśnych ścieżek przez Raniżów, Dzikowiec ku Weryni i Kłapówce. Podobno czołówka Czerwonej Armii doszło pod Staromieście. Bój o Rzeszów – ważny węzeł strategiczny – lada chwila się zacznie. Sokołów jako baza gra w nim chyba ważną rolę. Kolbuszowa też nie pozostaje na boku, otwierając główne drogi ku Wiśle na Mielec i na Baranów przez Majdan i Dębę. Z chwilą wejścia radzieckich wojsk, jak w Sokołowie, akcja “Burza” się skończy. Ale osiągnie cel – osłoni ludność, da upust żądzy odwetu na Niemcach, pokaże wreszcie, że jesteśmy. Żeby jeszcze jak najwięcej udanych akcji na Szkopów. Niemcy gotują kontratak na Kolbuszowę z Pustkowie i Mielca. Czy utrzyma się, po kilku dniach wolności, przed przyjsciem Armii Czerwonej?

Czas mi już – jako kontaktowemu łącznikowi – udać się naprzeciw, najlepiej do Dymarki u rzeki Przyrwy, krzyżownicy leśnych dróg przez Puszczy. Sądzę po widocznej już taktyce radzieckiej unikania głównych traktów i miast i kierowania sił na bocznicę, nawet bezdroża, by ukryć ruchy przed Luftwaffe osłoną lasów Majdanu z Dęba czy Baranowa z Tarnobrzegiem u Wisły – pójdzie drogami z Raniżowa i Woli na Dymarkę, stąd na Majdan i na Kolbuszowę. Pod wieczór żegnam się ze swoimi i szybko zmierzam droga wczorajszą przez Zarębki, Rudę do Poręb Dymarskich. Boję się o same kobiety na Dolnej. Czy Niemcy nie pokuszą się o zajęcie z uprzedzeniem radzieckich wojsk Kolbuszowej? Chyba jeszcze nie. Bój o ważniejszy Rzeszów przecież prawie w toku. Przecież celem głównym ofensywy Czerwonej Armii jest chyba droga prosto na zachód.

Dnia 29 lipca, sobota

Noc spędzam a n. szkole u kierownika, leśniczego Deca. Nie śpimy długo. Gdzieś po północy budzi nas ze snu szczebanie psów i ruch na drodze leśnej na Komorów. Czekamy rana. Chyba nie Niemcy. Jesteśmy trochę na uboczu. Dopiero rankiem przychodzą znajomi, brat łącznościowca “Kefiru” w Kolbuszowej, tutejszy gospodarz Karkut, młody kolega z kolbuszowskiego gimnazjum, żołnierz AK. Golis. Przynoszą drobne nowiny. Jesteśmy wolni. We wsi bojeje radzieccy! “Nastuplenie” z Sokołowszczyzny ruszyło. To świetny znak. Po śniadaniu krewni idą do żniw, już nie dla Niemców. Obaj z Golisem zdążamy, założywszy opaski biało-czerwone z inicjałami “AK-Kefir” ku sztabowi jednostki. Z przeciwka kroczą dwaj żołnierze radzieccy. “Partyzanty?” - “Ruskije?”. Ściskamy sobie ręce, padamy w objęcia, całujemy się z dubeltówki. Prowadzą do sztabu jednostki. Wieś z przysiółkami, a zwłaszcza lasy pełne wojska. Znad drzew terkot samolotów dwupłatowych z gwiazdami: “Kukuruźnik”, po chwili drugi, chyba średni bombowiec - “Szturmowik”. Czestujemy się, palimy. Budzimy sporo ciekawości. Wreszcie tama u Przyrwy, domy miejscami w gałęziach choin dobrze zamaskowane – chyba czołgi: Odbiera nas od starszyny młody lejtenant. Prosimy o zameldowanie komendantowi jednostki. Wprowadza nas do wnętrza dostatniego domu. Kilku oficerów, podchodzi jeden, chyba pułkownik. “Wy polskie

partyzanty?”. Stoję na baczność, mówię formułę przywitania. Podaję rękę. Ściskam je ze wzruszeniem. Prosi siadać. Na stole mapa w rosyjskim języku. Pochylam się nad nią. Przecież to Kolbuszowa z okolicą, sztabówka. Ukradkiem czytam w myśli “Generał Sztabowy Krasnoj Armii. M. 34-68. Ropczyce w prawym rogu 1898-99 – 1935-36. W której i zdanie 1940” w lewo “Oblast gosudarstwiennych interesow Germanii”. Pułkownik palcem wskazuje wśród zielonych plam lasów. “Dymarka” - niebieskie nitki wód i czarne kreski dróg splatane w chaos. “Chcemy najbliższą drogą możliwą – do Kolbuszowej”. “Jestem stamtąd, to me miasto rodzinne”. “Ale najostrożniej, żeby German nie bombił”. Rozumiem. Z dala od Sokołowa czy Raniżowa serie odległych wybuchów. Luftwaffe okłada bombami gościniec Sokołów – Kolbuszowa. “Wy poprowadźcie na pierwszym tanku”. Uzgadniamy na mapie. Od Dymarki do Mechow. Rudy wśród chłopskich “chójek” później na sto dwa, od Rudy do Zarębek, laski są, polecą, najgorzej od górki w Zarębkach do zbiegu drogi bocznej z traktem na Tarnobrzeg u wylotu z Kolbuszowej (“Dla nas najważniejszy” - mówi dowódca jednostki, ja: “A Kolbuszowa? - “Też ważna – więc jedziemy!”). Wychodzimy. Motory już huczą. Do południa blisko. Niebo jak szklanka. Nad południowym skłonem horyzontu odległe warczenie samolotów. Storchy warują jak psy nad daleką szosą sokołowską. Podosadzają mnie na maskę czołowego czołgu. Ruszamy kolumienkami w odstępach jak wysepki zieleni, maskowani doskonale, ale ogon pyłu wlecze się za nami nad piaszczystą drogą. Na tle lasów z prawej wygląda to jakby stado bydła wracało chłopską drogą powoli z pastwiska do wsi pod południe. Kwadrans mijają – i droga także. Ruda, Zarębki. Z górki widać Kolbuszowę jak na dłoni. Spokojna. Jeszcze. Może za chwilę zacznie się z nią to, co z Sokołowem po zajęciu przez jednostki radzieckie “bombienie” póki Luftwaffe siedzi na lotnisku w Jasionce i Mielcu. Z duszą na ramieniu – ale i z dumą w sercu (oto wiozę pomoc i utrwalenie wolności rodzinnemu miastu!...) lustruje cały nieboskłon. Nie wymacali nas. Południe. Sobota dnia 29 lipca 1944 roku. Zjeżdżamy na niezłą żwirówkę, ogon pyłu za czołgami kolumny opada. Jeszcze kilometr. Wreszcie z prawej olchowy las i już domy Dolnej w rozwidleniu szos.

Główna grupa czołgów skręca na szosę tarnobrzecką, trzy pierwsze wjeżdżają w Dolną ku miastu. Z domów wybiegają radośni ludzie. Żegnam się z dowódcą: “Wy kuda!” “Damoj – izwinitie – mamasza”. “Paniemaju. Balszoje spasiba, do swidania”. Ze zgrzytem gąsienic czołgi jak wyspy zieleni ruszyły traktem na Majdan. Trzy poszły ku Kolbuszowej. Tam się szykuje powitanie, widzę kwiaty, ktoś niesie na tacy chleb i sól. Tak trzeba. Wpadam, zdejmuję opaskę z rękawa (służby cywilnej się nie pokazuje), na Rychlówkę. “Boryny” nie ma w mieście. Z wyzwoleniem Głogowa i walkami o Rzeszów poprawiła się sytuacja. Oddziały Mnicha, Agawy i Znicza ponownie przegrupowały się z lasu w Kłapówce do Porąb Kupieńskich, do bazy. W mieście – jako załoga – przybywa pluton por. Piotra z “Huraganem” Sawy. Teraz pomoże im – nareszcie – czołwka pancerna od Dymarki i chyba wieczór, gdy storchy widzieć nie będą, główne siły Czerwonej Armii, która (wciąż tak myślą, jak inni) z Kolbuszowej uderza na zachód, na Sędziszów, Przecław, Mielec. Drogą przez Nil biegnę do swoich na Szajtrówkę. Zrobiłem już “de publicis”, teraz trzeba dla rodziny, dla swoich. Od drzwi wołam: “Zło się skończyło, jesteście już bezpieczni”. Jeszcze te słowa nie przebrzmiały, gdy od Górki Weryńskiej słyszymy trzy potężne wybuchy. Bomby. Wałam na szosę. Znosimy piorunem co cenniejsze do piwnicy, pod domem z kamienia, wprowadzam tam prawie siłą matkę, ciotkę i kuzynkę, daję coś jedzenia i wodę, zatraskuję drzwi i wychodzę przed dom zza węgła. Nad Kolbuszową potworne wycia silników stada Samolotów – to nie myśliwce jak w czwartek, to bombowce. Wypatrzyli przybycie pancerniej czołwki radzieckiej i zlikwidować ją chcą w kotlinie miasta. Z wysokim wyciem silnika Sztukasów w nurkujących lotach miesza się jazgot M.G., huki działek pokładowej broni. Lecą ku Dolnej, od Tarnobrzeckiej na nas w części Mieleckiej. Kryją się pod

okap piwnicy w dziedzińcu (ktoś z zewnątrz musi ratować tych pod domem w drewna), nagle widzę trzy potwory – chyba Ju-88 nurkujące na drzewa u stawu i ścianę alei ogromnych lip Szajtrówki. Chylą ku niej skrzydła i zieją ogniem M.G. i działek – to chyba koniec! Przelecieli – żyję, z ulicy słyszę krzyki zranionych ludzi. Wyciągam swoich z piwnicy, cali, Bogu dzięki, łapie apteczkę, biegnę, sam krwawiąc z rozerwanego kciuka lewej ręki, ku szosie. W alei setki ściętych gałęzi i tysiące liści, świeże rany drzew, wśród lip bruzdy czarnej ziemi, jak po świeżej orce, które biegną przez gościniec i szeroką miedzę. Podnoszę długą łuskę 22 mm pocisk przeciwpancerny – dowód wniosku powietrznych piratów, że kępy drzew u stawu kryją czołgi radzieckie. Jeszcze trwają przeloty, gdy z mamą pod lipami opatrujemy ojca z synkiem, przechodniów z Trzesówki, z dziesiątkami powierzchownych ran od kamyków na szosie, odprysniętych przez serię pocisków. Ojciec prawie cały, rannego ciężej synka kładę w słomą wymoszczone taczki – od miasta po wiatyk na plebanii, potem pod opiekę WSK w szpitalu AK. Groza minęła, jak przyszła. Jeszcze do Kolbuszki – co tam się stało? Kossak potwierdza wiadomości o przegrupowaniu z powrotem do bazy w Kupieńskich Porębach, Głogów w rękę radzieckim, nawiązana łączność z pancerną grupą płk. Czernikowa. Jutro, w niedzielę, w Porębach msza polowa. Wojskowy jubel. Bez nas. Obowiązki w mieście (chroni je pluton Piotra i oddział bojowców z kilku czołgami). Główny marsz Czerwonej Armii zmierza ku Majdanowi, Dębie, Wiśle u Baranowa nie przez Kolbuszowę na zachód. Miasto peryferia radzieckich działań – najbardziej ku Niemcom wysunięta reduta. Oglądam pochlastane seriami fronty domów, porozrywane telegraficzne druty. Szkód w zabitych nie ma, tylko na górcie Weryńskiej cieczo ranni nasi ludzie w Weryni od trzech bomb na transport żywności końmi do bazy w Kupieńskich Porębach. Uspokojony wracam pod noc na Szajtrówkę.

Dnia 30 lipca, niedziela

Budzę się wcześniej, w uszach mi dzwoni jeszcze na przemiany to wycie nurkujących na Kolbuszowę wczoraj Sztukasów, to chrzest piachu na bocznicy pod gąsienicami radzieckich czołgów, to polsko-ruskie piosenki, śpiewane wczoraj koło Szajtrówki, wspólnie przez “bojców” i dziewczęta z sąsiednich domów Dolnej “na drużbę narodów” do późna. W kościele byłem na prymarii, śpiewy głośnie, moc ludzi, znać radość i poczucie: “wojna za nami”. Teraz do gospodarki. Kossaka nie zastałem, może udał się na mszę polową do bazy, do Porąb. Coś mi się ten spokój nie podoba! Choć miasto we flagach państwowych. Wróciłem, patrzę na ślady nalotu, na pola z dziesiątkami i mendlami żyta. Koło 10 godziny od strony stadionu z nagłą wybucha strzelanie. Wzrasta gwałtownie, by po chwili dłuższej buchnąć trzykrotnym echem działowych strzałów. Wkrótce po nich, coś, jak dym, wzbija się w niebo, jak Stadion, czy góra na Bukowcu nad traktem do Sędziszowa. U licha! - Niemcy? Trzeba zasięgnąć języka. Prze pola prosto, przez Pańską na Sędziszowską. Ulicą do Stadionu wraca czołg radziecki. Strzelanina oddała się, cichnie. Z dala – hen z ulicy coś, jak kilku żołnierzy z opaskami – coś niosą (karabiny?), kogoś prowadzą, ktoś ranny utyka. Wreszcie relacja uczestnika. Część plutonu por. Piotra z Łysej Góry i Stadionu (jak 8/IX 1939) pilnuje szosy od Sędziszowa. Naraz jadą z górki opancerzone samochody pełne żołnierzy. Dwa, cztery, Niemcy! Podpuściwszy je, pluton kropi, jak z zasadzki. Stają, szkopy do rowów i bitwa. Padają ich ranni, czy zabici. Wreszcie wskakują na wozy, na Kolbuszkę, czy z powrotem? W tej chwili zaalarmowany radziecki czołg nadjeżdża do miasta, staje, kropi, pancerni hamują, palą się jedna po drugiej, część Szkopów wieje przed wypadem plutonu, zostaje parę trupów i rannych w niewoli. Żołnierze partyzantki zbierają zdobyczną broń. Wypad Niemców na Kolbuszowę odparty zwycięsko. Radość w mieście. Gorąca niedziela i tu, i w Porębach Kupieńskich.

Tam w tym samym prawie czasie z obwodu partyzantki wyszedł na ubezpieczenie do szosy

Sędziszów – Kolbuszowa na Majdan, części Kupna pluton por. Gryfa. Gdzieś koło zagród, skryty za garbem terenu, zobaczył niemiecka Spahtruppe, silny patrol z 25 żołnierzy. Zaległ wśród zburz w zasadzce. Szkopy szły gęsiego z bronią na pasku, nic jednak nie przeczuwając, od Sędziszowskiej szosy, od Bukowca. Gdy byli blisko, nasi wyskoczyli z bronią do strzału: “Hande hoch!” Podnieśli je, jak na komendę Szkopy, lecz MP nie odrzucili. Nasi hurmem do nich, nie widząc, że jeden osunął się na ziemię i z rozpylacza całą serię wygarnął po żołnierzach Gryfa. Ze zwycięzców “na pewniaka”, z myśliwych w zasadzce stali się zwierzyną. Kilku partyzantów runęło trupem, jeden (Kabała z Górnej) osunął się ranny – i on uratował resztę swoich od pogromu. Gdy Niemcy opuścili ręce na MPi, by siać po naszych, ten rąbnął po nich seriom ze Stema, zmuszając do najszybszej rejterady w zboża, z których prawie do wieczora wyławiali ich. Likwidując z pomsty za swoich, partyzanci za pomocą radzieckich rozwiędzczyków, którzy przybyli do bazy w Porębach. Niemcy stracili 16 ludzi, partyzanci Gryfa 4 zabitych: Fale (Jan Faryniarz), Niskiego (Władysław Gaboń), Albatrosa (Jan Skowroński z Dolnej), Żbika (Bolesław Żarski). W tej pamiętnej, zwycięskiej i krwawej niedzieli rozegrały się jeszcze dwa starcia zbrojne ugrupowania “Kefir” w trakcie dwu wypadów: z Poręb od leśnictwa i z miasta do Kossowy przeciw pojazdom Niemców, przygotowujących na drugi dzień wielką kontrofensywę na węzeł Kolbuszowej. Pierwszą stoczył zwycięsko pluton por. Agawy, odpierając w trakcie penetracji terenu Dymarki ku rzeszowskiej szosie, skąd został ostrzelany u skraju przez silny oddział z trzema autami pancernymi, który cofną się ku głogowskim lasom na Budy i Bratkowice. Wśród sokołowskich żołnierzy Agawy odnieśli rany Żoker, Żbik i Tank (Jan Bolesław Ożóg – poeta), odwiezieni zdobyczym Oplem do akowskiego szpitala w Kolbuszowej. Prawie równocześnie, około godziny 14 pod miasto podeszły od Nowej Wsi i Błoni od Świerczowa kolumnienki niemieckiej piechoty na rozpoznanie. Na alarm ruszył przeciw nim z koszar partyzanckich w gorzelnii i w Ratuszu pluton por. Piotra z dyw. bojówką “Huragan” “Sawy”, wsparty przez czołg radziecki szosa przez mielecką Dolną na Świerczów, gdzie strzałami zapalono dwie zagrody, po czym T-34 z kilku partyzantami (w opaskach biało czerwonych) puścił się w pogoń za 3 Niemieckimi pancerkami przez Siedlankę, Kossowy po górę nad Przyłękiem, skąd strzałem zapaliwszy “Tygrysa”, zawrócił ku Kolbuszowej, budząc radość i podziw wśród ludności miejscowych osad, które dotąd należały do “Ubungsplatz der Wehrmacht” z jednej strony szosy, z drugiej do “Ubungsplatz der Waffen SS”. Teraz wracały do Wolnej Polski.

Był to szczytowy dzień walki i osiągnięć “Kefiru” (z “Komarem”). Oceniał to nie tylko komendant Boryna na odprawie w bazie, ale i dowódca radzieckiej grupy zmotoryzowanej artylerii, która objęła Widelkę, na spotkaniu wspólnym, na którym płk. Czerniakow w imieniu Czerwonej Armii oświadczył, że Polacy walczyli bardzo dzielnie, wspólnie z radzieckimi żołnierzami, odnieśli poważny sukces, wobec czego przedstawi Dowództwu komendanta Borynę i 8 żołnierzy partyzantki do radzieckich odznaczeń za odwagę. Odwiedzający obóz z solidnymi szalaszami zobaczył, porządkiem i świetną zrzutową bronią, oficerowie i żołnierze radzieccy wymieniali pepesze za Smithy-Wessony, czy Steny. Powodem wzajemnej radości, oprócz upojenia zwycięstwem i niedzielą, była też wieść o przeprawie czołówki Czerwonej Armii przez Wisłę pod Baranowem z wielką pomocą partyzantów Bch. “Czernik” i kefirowskiej “Burzy”, która opanowawszy Sandomierską Puszcę, pozwoliła na koncentrację większych sił radzieckich w rejonie “Kolbuszowskiej Republiki Partyzanckiej” i dowóz czołgów, cystern, artylerii, amunicji przez doskonały trakt z Sokołowa przez Kolbuszowę na Majdan i Baranów. Teraz trwa – przez całą niedzielę, pod osłoną partyzantki w Porębach i mieście, przemarsz i przewóz ogromnych sił radzieckich dla umocnienia przyczółka w Baranowie i zlikwidowania poważnych baz oporu Niemców w Rzeszowie, w Mielcu, Tarnobrzegu, a zwłaszcza “SS Heidelager”

Pustków.

Nastrój wojska i partyzantki udzielił się ludziom. Wszystkie domy niemal w mieście i po wsiach były przybrane chorągiewkami o barwach narodowych lub w takież flagi. Nieustanny przepływ traktem na Majdan żelaznego potoku broni, obsadzanie wzgórz pozycjami radzieckimi dawało pewność. Już złe za nami! Z obejść dochodzą wspólnie polsko-radzieckie śpiewy i odgłosy zabawy. Ale są i pod wieczór – zgrzyty. Jakaś grupa nieznanych cywilów napadła na bazę zaopatrzenia w broń “Kefiru” pod opieką jednej z drużyn plutonu Piotra. Jakiś major, Żyd – widać syjonista, kazał “bojcom” doprowadzić na podwórze Kaczorówki w Dolnej na przesłuchanie nocne żołnierzy drugiej drużyny pod niesłusznym zarzutem zabójstwa dwóch ocalonych Żydów.

Groziło im rozstrzelanie, mimo próśb obywateli (i Wiktora Mazurkiewicza), dopiero pułkownik Rosjanin kazał ich puścić, nie bez interwencji komendanta Boryny w Dowództwie Radzieckim, które poleciło uwolnić i oddać partyzancka broń zatrzymanemu w Rychłowie na Dolnej kierownictwu “Pula” (inf. prop.) i tajnej powielarni (za okupacji), między innymi ich szefowi “Bartnikowi-Orlikowi” (Michał Mokrzycki). Wydarzenia te, rozbijanie, choć odwoływane, wprowadziło zamęt w umysły żołnierzy – partyzantów i ludzi. Jest przysłowiomą łyżką dziegciu w beczce miodu radości, współpracy, braterstwa broni, które już stały się ciałem – dla wzajemnego dobra bratnich słowiańskich narodów, z czego mógł się i winien narodzić nowy – nad Niemcami – Grunwald. Tak myśląc, zasnąłem w domu na Szajtrówce – jak kamień (w sąsiedztwie śpiewano późno w nocy – Rozkwitały, Wojenko z Andariuszą i Katuszą pospołu).

Dnia 31 lipca, poniedziałek

Zerwałem się, skoro świt. Mglisto. Koło nas na Dolnej, wzdłuż traktu do Mielca żadnego ruchu. Nie słyhać nic od gościńców na Przeclaw i ku Sędziszowu. Widać Czerwona Armia nie uderzyła na zachód. Po sukcesach wczorajszych w tym rejonie, aż dziw! Za to trakt sokołowski do Weryni przez całą długą Dolną przy magistrali tarnobrzesckiej na Cmolas i Majdan z Dęby dzwoni pod niebo ciągnącą bez przerwy od wczoraj i dzisiejszy dzień rzeką żelazną wszelkiego rodzaju ciężkich pojazdów, jak zwałiste czołgi T-34. To bez wątpienia – główny szlak radzieckiej ofensywy. Ale Kolbuszowa jest dla niej konieczna, choć do południa w sobotę utrzymywały ją tylko plutony AK “Kefir”, wczoraj już wsparte dość słabą pomocą radzieckiego wojska. Chyba dziś powinno nastąpić jej umocnienie i zlurowanie strudzonej w bojach od zeszłego poniedziałku (24.VII) naszej partyzantki. Przez Kolbuszowę też wiedzie magistrala na Rzeszów, który najrychlej i tędy powinien być okrążony i zajęty, jako główne zawiasy ofensywnego frontu.

Jakby na potwierdzenie tych myśli od tarnobrzesckiej Dolnej przez Pasternik i rzeczkę wjeżdżają na łąkę Szajtrówki i sąsiadów potężne kolosy radzieckich czołgów, zajmują stanowiska zwrócone na zachód, ku Nowej Wsi. Pancerni tną żwawo olszynki i z dziesiątek biorą snopy “maskirowanie”. Serwus! Pod dom podjeżdża ni łazik, ni sanitarka, z której z trudem wychodzi pułkownik i z pomocą młodej damy w mundurze (cudo) i lejtnanta kieruje się w nasze progi. Podbiegam – proszę do wnętrza. Tak, “na kwartiru”. Nie ranny, lecz rozbity, gdyż pod jego czołgiem załamał się stary most nad wąwozem rzeki (w Rudzie na Przyrwie!).

Promienieje z córką – sanitariuszka radością: “Nasze wojska wczoraj przeszły Wisłę koło 6 rano pod Baranowem i właśnie tworzy się tam przyczółek Czerwonej Armii z zaopatrzeniem jedyną drogą czerez Kolbuszowu”, którą ma osłaniać właśnie. Gratuluję i trochę po zakupy, więcej służbowo ciągnę do miasta. U Kossaka – Korala. Dziwna wojna – od zachodu i południa pustka, tylko partyzantka w obozie w Porębach, który dziś ma spokój, mszę połową, uroczystości przed

południe, i "Huragan" w mieście. Wszystkie siły radzieckie zajmują północno-zachodnią połącz Puszczę kilkukilometrowym klinem przez Kolbuszową i Majdan zza Sanu podchodzą na Powiśle gdzieś między Mielcem i Tarnobrzegiem. Na Kolbuszową i trakt na Majdan – Baranów czy Rzeszów mogą uderzyć w kontrofensywie Niemcy. Dziś widać, że ożywiona akcja wczorajsza od Kolbuszowej ku południu i zachodowi była odwróceniem ich uwagi, związaniem tu w walce, by osiągnąć poprzez Kolbuszową, węzeł dróg i główny zawias magistrali zaopatrzenia, przyczółka Baranów, jego obrony i rozszerzenia. Bitwa o nią będzie bardziej zażarta i ważniejsza może od tej z kampanii 1939 – z 8 i 9 września. Czuje to i ludność. Miejsce wczorajszego, niedzielnego upojenia zajęły niepokój i troska. W lasach z zachodu, od szosy na Mielec w Siedlance aż po szosę na Sędziszów w Przedborzu kryje się wróg i czai do skoku na Kolbuszową. W lasach od wschodu, od szosy na Rzeszów we Widelce, aż po tarnobrzeską w Hadykówce, a nawet po mielecką na Dolnej narasta z godziny na godzinę siła Armii Czerwonej. Co będzie z Kolbuszową, Dolną i Górną w kotlinie Nilu, w samym środku?

Ludzie szykują schrony, część opuszcza miasto ku armii Radzieckiej! Jest wczesne popołudnie, z nieba siąpi kapuśniak, w Rynek i na ulicach coraz bardziej pusto. W wylocie ulicy 3 Maja kręci się z rowerem jakiś podejrzany "cywil", wraca ku Nowej Wsi 18/. Co będzie – trzeba być przy swoich. Wracam na Szajtrówkę. Jeszcze nie przebrzmiały w Porębach słowa kapelana ks. "Tylka" Smolonia: "Polska żyje i żyć będzie" wobec dowództwa i kompanii, jeszcze tam trwały przygotowania do pogrzeby poległych na kolbuszowski cmentarz, gdy w Kolbuszowej około godziny 15 rozległ się wybuch artyleryjskiego pocisku od Domatkowa.

Wywiad "Huraganu" ustalił zmasowanie artylerii i czołgów wzdłuż drogi przez wieś Przedbórz do Zakościela aż po krzyżówkę z traktem z Sędziszowa. Wśród zagród stały czołgi, ukryte także w chłopskich lasach. Przed i za nimi czekały rzędy piechoty z cekaemami. Należeli napastnicy do pancernej dywizji śląsko - poznańskiej, przybyłej do Pustkowa, sięgającej od góry w Bukowcu, prawym skrzydłem po Brzezówkę na lewym, a nawet po wzgórze u szkoły w Nowej Wsi, gdzie okopały się działa "Ferdynandy". Zaczęło się później, niż w kolbuszowskim boju 9.9.1939, około godziny 16 nagle nawała ognia ciężkiej artylerii z Przedborza na wszystkie drogi do Kolbuszowej ze wschodu. Ulewa zaporowa żelaza zasypała front radziecki ze środkiem w Kolbuszowej i siłami zgrupowanymi na skrzydłach: w rejonie Weryni i Kłapówki (na wzgórzach leśnych) z oparciem o Dzikowiec (artyleria, czołgi), gdzie u kościoła lokowało się Dowództwo (marsz, Koniew?) i w rejonie obu Dolnych i Dubas po Cmolas (czołgi) w oparciu o wzgórze Zarębek i Hadykówki z ciężką artylerią i obserwacyjnym punktem na Królewskiej Górze.

Po jakiejś godzinie ogień niemieckiej artylerii przeniósł się nagle na linię stanowisk przed miastem, wreszcie pokrył nawałą granatów i szrapneli całą kotlinę Dolnej, miasto i Górna od Cmolasu po Kupno. Buchnęły pożary. Ku wieczorowi pod osłoną artyleryjskiego ognia ruszyły ławy czołgów TIV (tygrys) i T III (Pantery) z góry u Bukowca i Przedborza, by zalegnąć w zapadającym zmroku na wyjściowych stanowiskach przed miastem, od Błonia po Górną u Kupna. Bitwa nagle ustała. Zdawało się, że Niemcy cofnęli się od miasta. Nadzieja okazała się złudna. Gdzieś koło północy zerwała się znów dłuższa fala nękającego obrońców ognia. Wybuchły od niego pożary w Weryni, na Górnej, w Nowej Wsi i w samym mieście. Wśród nocy ewakuowała się część ludności miasta z przedmieściami ku lasom, za linię obrony radzieckiej. W mieście w Ryнку i u kościoła z cmentarzem (jak w r. 1939) umacniały pozycję grupy Piotra z Huraganem i specjalne radzieckie formacje z dziwną bronią, jak drabiny kryte brezentem - "katiuszami".

Nikt chyba oczu nie zamykał, w oczekiwaniu na największe wydarzenie w dniu następnym. Tylko noc całą szosą tarnobrzeską toczył się bez przerwy, mimo bitwy, gorączkowo jakby, na

Majdan i baranowski przyczółek, o którym jeszcze wieczorem radio Moskwa i Lublin podało entuzjastycznie wiadomość: “Armia Czerwona na szerokim froncie forsuje Wisłę w rejonie Puław i Tarnobrzegu i z pomocą czołgów ziemnowodnych”, wzywając ludność polską do porwania za broń przeciw Niemcom. Tylko ta wieść i ten apel umacniały ducha mieszkańców miasta z okolicą – przed decydującym bojem pod Kolbuszową o dalsze losy przyczółka za Wisłą i Rzeszowa. Bo przecież przed Baranowem – była Kolbuszowa!

Dnia 1 sierpnia 1944, wtorek

Dzień ów – kulminacyjny bitwy o Kolbuszową (i Baranów), jak okazała to przyszłość najbliższa – wstawał w tumanie mgieł, zapowiadał się pięknie dla przyrody, nie dla ludzi. Niemcy się nie cofali, wręcz przeciwnie. Skoro świt, wpadli sowieccy bojcy z żądaniem opuszczenia domu, ewakuacji przed bitwą. Wpadł pułkownik czołgów i przepędził ich, na prośby matki, pozwalając zostać “na waszą odpowiedzialność”. “Gdzie pójdziecie? My przepędzimy Germańca precz!” Zostaliśmy na Dolnej. Rankiem zaczął się już ostrzał od Niwisk i Bukowca. Pociski, chyba piętnastki, rąbnęły w bankiet mieleckiej szosy, potem zwały się na kotlinę Nilu. Duża ich część nie wybuchła. Tu nie było najgorzej. Trzymałem kobiety w piwnicy z granitu, na wypadek pożaru snułem się zewnątrz. Obserwowałem bitwę. Nabierała siły. Przed linią miasta i w Zakościele z Rynkiem gęsto padały artyleryjskie pociski. Odpowiadała gorączkowo radziecka artyleria zmotoryzowana i z czołgów. Szykował się frontalny atak Niemców na miasto i szosy na Baranów, Sokołów i Rzeszów. W pewnej chwili wpadł na rowerze żołnierz z Dolnej, z bazy w Porębach Kupieńskich. Co tam z wami? Najgorzej na Kolbuszowej Górnej! Tędy i na miasto pójdzie szkopski atak z pozycji od Bukowca, Niemcy na Widelce! Idzie, chyba w odwrocie z pod Rzeszowa, druga dywizja pancerna, okrążą bazę w porębach! Tam zostały rano trzy grupy bojowe Sulimy, Gryfa i Agawy z dowództwem. Pomaga dzielnie pluton BCh. “Pochodnia” z “Wozem”. W leśniczówce i w obozie ruch, zajmują oddziały obronne stanowiska od Bratkowic i od Domatkowa – Bukowca. Czy się utrzymają?

W tej chwili widać, że wszystko zależy od utrzymania Kolbuszowej. Dolatuje stamtąd wrzawa największej bitwy. Widać tu, szczęście sprzyja Niemcom. Huraganowy ogień artylerii, przenoszony falami od szosy rzeszowskiej aż po Kłapówkę, Werynię, przygotował szarżę czołgów. Są już w tartaku, Stadionu, wdzierają się w Sędziszowską. “Czarni” pancerniacy SS mordują cywilnych ludzi (Saramę i innych). Lada moment wpadną w Rynek. Miasto się broni, Ruscy i nasi od por. Piotra i z Huraganu. Od Górnej obrona trzeszczy. Bojcy przez łąkę Szczęcha cofają się na stanowiska u wielkiego mostu i Sądu. Do zagród górnej koło Remizy i Szkoły i wdzierają się Tygrysy. Na szosie rzeszowskiej wre bezpośrednia walka Stalińców z Tygrysam. U Remizy płonie dwa radzieckie T-34 i jeden T-4, pod szkołą jeden Tygrys i jeden Staliniec. Pałają się domy u zakrętu szosy w stronę Kupna. Szarża niemieckich czołgów śląsko – poznańskiej dywizji pancerniej przedarła się przez trakt rzeszowski i dwa rzędy zagród Górnej i – zostawiając broniące się bohatersko miasto na uboczu, wtacza się na drogi gromadzkie i miedzę u Wojkowa i Remizy w górnieńskie pola ku lizerze lasów Kłapówka i Werynia. Ich celem trakt z Sokołowa przez Werynię do Kolbuszowej i Baranowa. Gdy dojdą doń – los przyczółka Baranowskiego za Wisłą będzie przesądzony! Także los Weryni, którą zajmują setki cystern, wozów z amunicją i katusz. Artyleria i piechota radziecka ściągają z Kłapówki w lasy Weryńskie. Sytuacja groźna!

Beznadziejna okazało się – z meldunków pierwszych ocalonych – dla partyzantów w Porębach Kupieńskich. Około południa została okrążona od Bratkowic, od której bazy zabezpieczały pluton Gryfa i Pochodnie Woza, i od Przedborza z Bukowcem, gdzie walkę podjął pluton

Sulimy, gdzie drogi z lasu od rzeki Tuszynki i Stawów bronił od leśniczówki wprost pluton Agawy z Boryną. Zaskoczenie się nie udało, Niemcy w ogniu CKM cofnęli się w lasy, straciwszy z górą 40 zabitych, ale wobec ich przewagi i walki ich o Kolbuszowę dowództwo "Kefiru" zarządziło ewakuację oddziałów ku Widelce i Kupnu, z pozostawieniem zdobyczy i zaopatrzenia na łup Niemców, którzy po krótkiej przerwie podjęli znów próbę całkowitej likwidacji partyzanckiej bazy, przez nowy atak piechoty od lasu. Pod jego naporem od Bratkowic i Bukowca oddziały "Kefiru" wycofują się w bojowym szyku bez paniki, tyralierą z lasu (w osłonie drużyny Agawy i Pszczoły) Piotr Guzenda (na pola porąb ku wschodowi wśród terenowych wzniesień i miedz Widelki od szosy, między zagrody obok kościoła z plebanią, gdzie stanowisko zajmuje pułk radzieckiej artylerii zmotoryzowanej płk. Czerniewskiego (narada z nim Boryny i Mnicha) a potem przez "Północkową" Widelkę i Majdan w lasy Kłapówki.

W podobny sposób od lasu Porąb, gdzie ogień trzech RKM-ów i granatami bechowcy Woza wstrzymali niemiecki atak z majorem na czele, wymknęła się z matni "Pochodnia", osłaniana przez drużynę "Zrąb" Janusza, jarem strumienia i parowem w pola, w ostrzale niemieckich MG i granatników z lizjery zajętego lasu, tracąc 2 zabitych (Kończ z Zarębek i Witas z Majdanu), po domu Widelki i Kłapówkę z Werynią (Niemcy w próbie zaskoczenia bazy w Porębach stracili z górą 50 zabitych i wielu rannych). 19/

Tuz po likwidacji bazy "Kefiru" w Porębach, drogą od Bukowca wdarły się do Kupna czołgi i niemiecka artyleria zmotoryzowana, zajmując pozycje na górze, panującej nad lasem Weryni i Kłapówki i otwierając na nie ogień mimo radzieckiego ostrzału z Królewskiej Góry w Hadykówce. Teraz bitwa doszła do zenitu. Tygrysy i Pantery w liczbie około 30 runęły od Górnej na Werynię. Na szosie z Weryni przez Kolbuszowę na Baranów z nagłą ustał ruch dowozowy. Cysterny, wozy z amunicją z Weryni zjechały w dzikowieckie pola, ich setki stanęły w wiejskiej drodze. Czołgi jeżem zza chałup obstawiły wieś od zakrętu szosy z Kolbuszowej. Katiusze z pastwiska wyrzuciły kilka serii, natychmiast zmieniając stanowiska. Czołgi niemieckie znalazły się u leśnictwa Lenartów, niespełna kilometr od sokołowskiej szosy. Res verit ad triarios. Lada chwila przyczółek za Wisłą zostanie odcięty w Weryni i Kolbuszowej, która jeszcze stawia opór. Mija południe. W tej chwili od Dzikowca we wrzawie we wrzawę boju wdarł się straszliwy jazgot motorów i gąsienic szarżujących na Niemców pod Werynią czołgów T-34. Od szosy przez las na Lenarta atakowała grupa złożona z 18-tu, od Kłapówki z górą 10. Tygrysy wzięte w kleszcze, tracąc w ogniu 3 maszyny, zaczęły cofać się ku szosie przez Górną, ścigane przez radzieckie czołgi.

W tym samym czasie drugie zgrupowanie radzieckich czołgów na mieleckiej Dolnej, kierowane z Szajtrówki, poszły do boju tyralierą kilkudziesięciu T-34, poprzedzone seriami katiusz od Dubas i tarnobrzesckiej Dolnej na niemiecką pozycję na Błoniu i u szkoły w Nowej Wsi. Uderzenie z flanki, doskonale widziane z lipy na Szajtrówce, obchodząc z prawa Kolbuszowę prawie już zajmowaną przez Niemców, przez garb działu wpadł z boku na Krokiew Błonia, gdzie we wzajemnej szarży T-34 i Tygrysów zostało na placu boju trzy radzieckie i dwie niemieckie maszyny, nie licząc zabitych w walce wręcz Niemców i Rosjan przy szosie na Nową Wieś (i Pustków). Komunik radzieckich czołgów, dochodząc Młyńską Drogą na Stadion i Brzezówkę, zagroził Niemcom odcięciem od pozycji w Przedborzu i od Pustkowa. Zaczął się ich odwrót po południu spod Weryni, Kupna i Górnej, jak i od Nowej Wsi przez Brzezówkę na stanowiska wyjściowe przed stakiem na Kolbuszowę, trakt dowozu i wsparcia baranowskiego przyczółka. Brawurowe natarcie radzieckich czołgów na skrzydłach do Weryni i Dolnej udaremniły powodzenie kontrofensywy niemieckich dywizji pancernych. Kolbuszowa i trakt na Baranów zostały w ręku Czerwonej Armii – uratowane. Na razie bitwa przycichła, lecz czy się skończyła

utrudzeni do kresu wytrzymałości próbujemy usunąć – pod stukot maszyn do pisania radzieckich rachmistrzów (“Niczewo”), pracujących przez cały czas boju.

Dnia 2 sierpnia 1944 – środa

Wśród nocy zerwał nas na równe nogi gwałtowny ogień artylerii. Było tuż po północy. Tym razem waliły ze stanowisk od Hadykówki po Kupno działa radzieckie na linii wsi Przedbórz. Ze słów dowódcy brygady czołgów do zestraszonych kobiet wynikało, że ta nawała udaremnia powtórna próbę zajęcia Kolbuszowej od rana. Oto pod wieczór wczoraj radzieckie dwa kukuźniki w nurkowym locie ostrzelały załogę w przedborzu, robiąc zdjęcia. Gdy tuż przed północą Tygrysy powoli jęły podchodzić ku miastu, nawała ognia radzieckiej artylerii, niszcząc niemiecką, zatrzymują natarcie u Bukowca, Domatkowa, Brzezówki. Niemcy chyba dziś podejmą odwrót w umocnienia Pustkowa, biorąc zakładników z opuszczonych z wściekłości wsi. Wzmogą za to Germany natarcie od Mielca i Przyłęka na Kosowy, Trzęsówkę, by czołgami dotrzeć do Hadykówki i tu zagrozić traktowi na Baranów przecięciem. Bój trwał już wczoraj – równocześnie z atakiem na Kolbuszowę. Więc Armia Czerwona przejmuje w całości inicjatywę, Rzeszów od wczoraj też w jej ręku. Rano Niemcy nie podjęli natarcia na miasto, wałą tylko nękający ogień artylerii na trakt tarnobrzeski. Słabnie też akcja ich lotnictwa, ustępując miejsca radzieckiemu. Coraz częściej śmigają jego myśliwce, Jaki i Ławy, a nawet “szturmowniki” Iły ze świeżych trzech lotnisk w Lipnicy i na gwałt robionego w Weryni. Ciągną do miasta. Prawie wyludnione, zniszczone mocno, lejów dużo, niewypałów także. Co z partyzantką?

Jeszcze trwa, część wróciła do rodzin, oddziały z Porąb i Kłapówki przeniosły się z frontu prawie do Zembrzy u Raniżowa, sztab z Boryną w zagrodzie Sudołów zaopatruje dalej Werynia, polowe szpitaliki WSK czynne dla naszych i radzieckich żołnierzy. Kolbuszowska Republika Partyzancka ma się ku końcowi. Trzeba chyba zdać broń Sowietom i rozejść się lub wstąpić do Polskiego Wojska, co czynić radzą “Ruscy”. Niemcy rzeczywiście cofają się od Kolbuszowej, w kupnie i w Przedborzu zabrali dziesiątki zakładników. Będzie chyba tu, u nas spokojniejszy dzień. Ludzie wracają częściowo do domów. Zaczyna mnie korcić, przed wojną byłem dziennikarzem 20/, by zobaczyć, co się dzieje w rejonie Królewskiego Majdanu. Ryzykuję marsz do Porąb Dymarskich, do kuzyna leśniczego Deca, jak przed tygodniem. Widzę potęgę Czerwonej Armii w dalszym pochodzie na Baranów: lotnisko w Weryni, pozycje w Zarębkach, Mechowcu, moc wojska i sprzętu, życzliwy wzajemny stosunek z ludnością. Kuzynostwo przy zwózce pszenicy, zabytkowe leśnictwa w Dymarce 21/ spalone. Zdziwienie i radość, wymiana wiadomości o rodzinie i sytuacji. W rejonie Trzęsówki głośnie echa bitwy – przysiółek Jażwiny, Koczubaj, Ługnica terenem walk T-34 z Tygryсами – odchodzą ku Przyłękowi i Biesiadce. Od Kolbuszowej bardzo cicho. Gdzieś po obiedzie z nagłą wybucha gwałtowna strzelanina w rejonie Huty i Majdanu. Oddziały radzieckiej piechoty, płynące wszystkimi drogami na Majdan, Dębę, zalegają w lasach. Biegający oficer pyta o najlepszy punkt obserwacyjny, wskazują na wzgórku wieżę triangulacyjną “patrię”, idę z nim, wspinamy się obaj po drabinach, kładziemy się na deskach platformki. Widok ponad lasami na Majdan i Hutę w odległości ok. 8 km. On patrzy w mapę, ja wymieniam nazwy topograficzne. Niemieckie działa gdzieś od Czajkowej i mieleckiej Trześni wałą na węzły dróg w Dębie, Majdanie, pociski padają i kolo Brzostowej Góry, Komorowa.

To “podgotowka”, milkną nagle, drogami na Hutę suną, strzelając niemieckie czołgi znowu do tarnobrzeskiego traktu w Majdanie na Baranów. Zbliżają się ku Majdanowi. Gęsto bije ku nim radziecka artyleria, od Brzostowej Góry i Hadykówki. Huta zajęta oznaczała przecięcie dróg, którymi przez Wolę Baranowską i Dąbrowicę osiągnęła czołówka radziecka w niedzielę rano

Wisłę i przyczółek, tzw. baranowski. Gdzieś od Tarnobrzega niosły się echa dział drugiego niemieckiego natarcia na drogi jego zaopatrzenia i utrzymania. Tygrysy od Huty podjęły szarżę na Majdan. Walka wręcz rozgorzała u cmentarza i kościoła w Majdanie. Niemieckie czołgi docierają niemal do tarnobrzęskiego traktu, a nim mogą w Grabinie opanować wlot drugiej szosy radzieckiej ofensywy na Wisłę – trakt przez Bojanów z Rozwadowa, czy Niska od Sanu. Sytuacja groźniejsza niż wczoraj w Kolbuszowej!

Huk dział czołgowych zbliża się, słychać dudnienie serii ciężkich MG czy CKM-ów. U wylotu drogi z Huty w Majdanie buchnęły dwa słupy ognia. Domy czy czołgi? Czyje? Oficer prosi o podanie na wieżę łączności dla kierowania stąd ogniem baterii z Porąb. Zwracam lornetkę, zjeżdżam z drabin jak szalony. Za chwile ruch tu jak w mrowisku. Trzeba do swoich, do Kolbuszowej. Jeszcze słyszę meldunek motocyklisty: “Niemcy zatrzymani w Majdanie, czołgi gwardii odparły Tygrysy, dwa z nich rozbiła strzałami załoga jednego T-34. Płonące wraki zamknęły drogę, której prócz gwardzistów bronili polskie partyzanty”. Było gorąco. Bardzo!

Marszem harcerek wracam na Szajtrówkę. Kobiety z troski o mnie ledwie żyją. Czuję na Dolnej (i dobrze) początki radzieckiego kontruderzenia i ofensywy na umocnienie nieprzyjaciela przed Mielcem i przed Pustkowem. “Nastąpienie” rusza od Kolbuszowej – teraz obu traktami “na zapad”. Niemcy w odwrocie zabrali 40 zakładników z Przedborza, wyzwolony Domatków z Wolą, w Kupnie i Widełce znów radziecka artyleria. Czołgi posunęły się przez lasy Nowej wsi ku Niwiskom, a przez Siedlanę na Przyłęk z linią niemieckich bunkrów. Pod wieczór wśród pochodu rannych “bojów” z boju o Przyłęk Górny widzę furmankę z rannym młodym lejtnantem pod opieką kilku żołnierzy, wskazując drogę do lazaretu “Trzaski” dr Własnowolskiego. Ktoś ważny, choć młody gwardzista, szarżą niewysoki. 22/ Bóg z nim. I z nami. W trzecim dniu bitwy pod Kolbuszową, który na szczęście się kończy – szczęśliwie.

Dnia 3 sierpnia, czwartek

Noc zeszła prawie spokojnie, jeśli nie liczyć echa “żelaznego marszu” na Tarnobrzeg – Baranów i podejmowanych przesunięć wojsk pancernych z piechotą wsparcia na Biesiadkę i Mielec, oraz bardziej ostrożnych gościńcami na Niwiska i Sędziszów. Do nas, w Szajtrówkę, po pancerniackim dowództwie przybył na kwatery sztab wojsk technicznych. Będzie kierować budową “abarony” (linii obrony) przeciw ewentualnej kontrofensywie “Germana”, którą zniszczyć by miał z budowanych wokół Kolbuszowej na wzniesieniach umocnień dla artylerii, katusz i Andriusz, “katiel kolbuszowski”. Ładne perspektywy! Z tego, co widać i słychać, jednak do tego nie dojdzie. Z góry Kupna i Widełki grzmi od rana radziecka artyleria na Czarną i Przedbórz jeszcze w ręku Niemców, przed umocnieniem Ocieki z Wolą, broniącym drogę na Pustków i Dębicę, z Podzamcza Trzęsówki i Kurhanu w Ostrowach, artyleria trzyma w ostrzale Biesiadkę i szosę w Niwiskach, jeszcze też “Niemieckich”. Czołgi ruszyć na nie miały koło południa. Wieść o egzekucji zakładników z Przedborza i Czarnej o godzinie 12, dostarczona przez gońca BCh do radzieckiego sztabu w Kolbuszowej, przyspieszyła uderzenie z gór w Bukowcu i Nowej Wsi, które wyszło o godzinie 10. Niemcy w południe opuścili Czarną i Przedbórz ku Pustkowi, tracąc na odsłoniętym zboczu w ogniu KM, około 300 zabitych, nie, między nimi i w piekle salwowych miotaczy min, słynnych “katusz”, na lasy ku bliźnie i Pustkowi. Okrążone od Przedborskiej Huty i Leszczy na Hucisko z prawej i lewej flanki od Trześnia czołgami Niwiska, wyzwolone zostały popołudniu, gdy od Majdanu ruszyło natarcie ku Mielcowi. Na polach Niwisk, Przyłęka, Ługnicy zostały wraki trzech tygrysów i czterech T-34.

Tak dobiegła kresu pierwsza fala operacji Czerwonej Armii w Kolbuszowskiej połaci Puszczy

Sandomierskiej, mającej na celu dojście tędy do Wisły i utworzenie poza nią w osłonie Puszczy przyczółka pod Baranowem, a także obronę i utrzymanie dróg dowozu wojsk dla jego utrzymania i rozszerzenia za Wisłą. Po tej jej stronie, w widłach Wisły i Sanu, w Puszczy Sandomierskiej od teraz zacznie się wielka koncentracja I Frontu Ukraińskiego do dalszych działań i wyzwolenia Ziemi Polskich z kwaterą marsz. Iw. Koniewa w Dzikowcu. Dobiegła też w tym dniu do swego kresu Kolbuszowska Republika Partyzancka, która trwając od 24 lipca do 3 sierpnia w szerokim kręgu Sandomierki wokół Kolbuszowej – przyczyniła się w dużym stopniu do wyzwolenia tych stron i do szybkiego przebiegu “operacji San – Wisła” wyzwolicielskiej Czerwonej Armii.

Tegoż dnia jej frontowa gazeta (drukowana w Sokołowie) “Dla sławy Ojczyzny” podały komunikat Naczelnego Dowództwa: “Na zachód od miasta Jarosław nasze wojska, złamawszy opór przeciwnika, opanowały miasto i węzeł kolejowy Rzeszów, a także wśród walk zawładnęły przeszło 150 innymi miejscowościami, w czym kilku większymi, jak Rozalin, Majdan, Kolbuszowa, Głogów, Mrowla, Dolna (Kolbuszowa), Boguchwała, Czudec, Strzyżów”. Wiadomość radzieckiej “zvodki” powtórzył w komunikacie wieczorem Londyn. Wysłuchało go dowództwo “Kefiru” na ostatnim apelu w obozie w Zambrzy koło Raniżowa, podało komunikaty te jako urzędowe potwierdzenie oczyszczenia z niemieckiego wroga Ziemi Kolbuszowskiej i jej wyzwolenia. A potem padły słowa komendanta Boryny: “Żołnierze! Obowiązek swój, nałożony przez chwilę historyczną, spełniliście z honorem. Przynieśliście ziemi, która was wydała, wolność. Zasłużyliście się dobrze Ojczyźnie. Za trud, za Wasze poświęcenie dziękuję wam”. Wieczór w Kolbuszowej dobiegły wieści o powstaniu w Warszawie przeciw Niemcom, w chwili zbliżenia się do Stolicy sojuszniczej Armii Radzieckiej, a z nią Wojska Polskiego.

Posłowie. Dziennik – jako pisany w owe pamiętne dni “na gorąco” - nie mógł zawierać bliższych danych o nazwach wyzwolicielskich jednostek Czerwonej Armii, ani ich dowódcach – oswobodzicielach. Z opracowań późniejszych radzieckich i polskich historyków wynika, że pierwszymi na Ziemi Kolbuszowskiej byli żołnierze 13 Armii Ogólnowojskowej generała pułk. Mik. Puchowa, chyba jej 350 dywizja piechoty generała – majora Gen. Wiechina, której dziełem jest przejście przez Wisłę (z pomocą Bch. “Czernika”) i zapoczątkowanie słynnego “baranowskiego przyczółka” (z 162 dyw. piechoty). Wraz z jednostkami czołowymi 13 Armii walczyły w Kolbuszowskim wydziale oddziału 1 Armii Pancerniej Gwardii gen. Pułk. Mich. Katukowa, oraz jednostki III Armii Pancerniej Gwardii gen. Pawła Rybałki, uczestnicy bohaterskiej trzydniowej obrony Kolbuszowej i traktu na Baranów pod Kolbuszową i Majdanem Królewskim. Na Dolnej (i na Szajtrówce) walczyć mógł dowódca 6 korpusu pancerniej gwardii w III Armii gen. Rybałki – wówczas pułkownik – Iwan Jakubowski, obecny naczelny dowódca Zjednoczonych Sił Zbrojnych Państw Układu Warszawskiego. Niestety, szkoda, że o zmaganiach tych w sercu Puszczy Sandomierskiej nikt dotąd (prócz autora) nie pisał, że na Sesjach Histor. ZBOWiP w Kielcach 18 i 19 kwietnia 1964 r. nikogo stąd nie poproszono (wzięła tam górę sprawa walk za Wisłą w Sandomierskiem), że w pamiętnikach radzieckich dowódców nie ma o tym wspomnień. 23/

Przypisy:

1. Pisał o tym autor w art. "Zegar idzie" w "Dzienniku Rzeszowskim" w kilku numerach.
2. Wojskowa Służba Ochrony Powstania.
3. Według art. A. Zagórskiego w W.P.H. 4/1965 przez oddziały SS.
4. A. Zagórski oc. pisze "pluton z Domatkowa" i daje pseudo "Żbik" (też Boryna w rękopisie wspomnień).
5. Ich odrębność zbytnio podkreślają płk. Garas. Oddziały Gwardii i AL w Krakowskim. W P H 4/1960 i wer. Wilbik – Jugasztynowa. Bataliony Chłopskie w Rzeszowskim W.P.H. 1/1969 r.
6. Na polecenie Pow. Kom. Oświaty z przew. Bol. Nazimkiem "Wit" i Pow. Kom. Egz. z prof. Żytkowskim i dr Skowrońskim.
7. Maszynopisy rozkazu w zbiorach autora, jak fotki Boryny, Woza i Sawy.
8. Dużo wiadomości dodał późn. raport "Muzeum" w akcji "Burza" pióra kpt. mgr Edw. Brydaka "Andrzeja" byłego komendanta obwodu Rozbratel, zastępcy insp. "Rzemiosło", kolegi autora ze szkoły TSL w Rzeszowie, których naucz. zespół sprzed wojny był ośrodkiem konspiracji ZWZ AK w Rzeszowie (były dyrektor Wł. Kuszyński to kwatermistrz Rozbratela, a pani Bronisława Brydakowa to komendantka WSK inspektoratu "Rzemiosło". Stąd związki autora z górą TN i ZWZ AK w Rzeszowie.
9. Swoje pseudo "Cyklop" w akcji w Odwecie "Jedrusia" i ZWZ AK w Tarnobrzegu wzięł z przezwiska z czasów, gdy był nauczycielem w Gimnazjum w Kolbuszowej.
10. W zbiorach autora, oryginał, 2 strony maszynopisu.
11. Relacja ppr. Woza – Franciszka Bielenia z Weryni i ppr. Zagłoby – Jana Mytycha z Hadykówki. Wilbik – Jagusztynowa zbyt mało miejsca poświęca (o c) tej akcji, w przeciwieństwie do historyków- wojskowych.
12. Oceny są różne: A. Zagórski w Studiach Małopolskich 1/68 str. 99 podaje 1143 w tym 186 z Bch. Mgr Edw. Brydak o.c. str. 13 ocenia Agawę na 60, Rożan na 360 ludzi.
13. Nazwa placówki dna uczczenia I komendanta Ludowej Straży Bezp. Szymona Kocioła ps. "Pochodnia" z Trzebuski, zamordowanego przez Niemców, tak Fr. Bieleń z dn. 15.8.46 r. i Zagłoba w r. 1969.
14. Inaczej we "Wspomnieniach" komendanta Boryny. Sawy w tym czasie było koło cementarza.
15. Inaczej ta sprawa we wspomnieniach oc. "wpadł w zasadzkę, połowa pała w K., reszta w Świerczowie" (za Boryną A. Zagórski WPH 4/65 str. 424), obiektywnie tylko komendant inspektoratu Rzemiosło mgr Brydak oc.
16. Według relacji ob. Kosiorowskiego i Ozimka z Nowej Wsi.
17. Relacje uczestników są różne.
18. Był to podoficer niemiecki, który u krzyża Krokwi zabrał gosp. z Nowej Wsi rower i ubranie, potem zwrócił. Był z dwoma kolegami.
19. Ocena różna w relacjach. A. Zagórski oc. podaje 30 zabitych.
20. Jako współpracownik IKC, Piasta i Głosu Narodu, członek redakcji Anteny Literackiej w Krakowie, redaktor tygodników Echo Tureckie w Turku i Przegląd Rzeszowski w Rzeszowie.
21. Azyl dowództwa powstania partyzantki Józ. Zaliwskiego w r. 1833 i miejsce aresztowania ich przez Austriaków. Jeden z ośrodków powstania w r. 1846 w Tarnowskim (Ad. Włyński).
22. Mógł to być Iwan Turkiewicz z "Młodej Gwardii", prow. opatrzony przez "Trzaskę", przeniesiony potem do radzieckiego szpitala w Głogowie, gdzie zmarł 15.8.44. Wersja o ranieniu go w Głogowie przez niemiecki pocisk nie zgadza się z ówczesnym stanem rzeczy (Niemcy pod Dębicą).
23. Np. u marsz. Koniewa, czy marsz. Andr. Greczko. Operacja Lwowsko – sandomierska. W.P.H. 1/1961, który ujemnie ocenił radzieckie lotnictwo w tej akcji, bardzo niesłusznie (o

polskiej partyzantce w ogóle ani słowa).

“Wspomnienia partyzanta”

Poniżej drukujemy wspomnienia Józefa Salwy, pochodzącego z Widelki pow. Kolbuszowa. Józef Selwa liczy obecnie 46 lat, w chwili wybuchu wojny w r. 1939, miał zaledwie lat 16. Wrażliwy, inteligentny chłopiec, odczuł bardzo klęskę wojny. I już wtedy świtała mu w duszy chęć walki odwetowej. W czasie bitwy w Kolbuszowej, która miała miejsce 8 i 9 września 1939, cofające się wojska polskie szły lasem z Kolbuszowej przez Werynię, Kłapówkę w kierunku Raniżowa i Sokołowa. Żołnierze byli bardzo zmęczeni, między nimi było dużo rannych, rozdawali oni w czasie drogi napotykanym cywilom broń, której nie mogli udźwignąć, albo rzucali broń do rzeki, czy w gęstwinę lasu.

Józef Selwa, razem z ojcem i innymi wtajemniczonymi kolegami, zebrali masę broni i ukryli ją w skrzyniach, zakopanych pod stodołom Selwy w Widelce, część zaś ukryto w lasku chłopskim. Broń tę wydobywano z narażeniem życia w czasie okupacji, czyszczono i smarowano. Została ona oddana grupie partyzanckiej AK, walczącej w Porębach Kupieńskich. Chłopiec za okupacji został zabrany do Junackich Hufców Pracy.

Służba w Baudienstcie w Świerczowie była bardzo ciężka – urlopy wydawano na przepustki bardzo krótkie. Mimo to Selwa znalazł czas, by spotkać się z kolegami w Widelce, by zaznajomić się z prawami i obowiązkami organizacji, do której należał. Opisuje to wszystko w bardzo oszczędnych słowach i skrótach. Moment zabicia, w końcowym już czasie istnienia Baudienstu w Świerczowie, znenawidzonego komendanta obozu Naissena – jest naprawdę budzący podziw dla bohaterstwa uczestników akcji w lipcu 1944 r., gdy osiedleni na początku wojny przez okupanta w powiecie kolbuszowskim tak zwani “Bauerzy” ewakuowali się na zachód, przewożono dwoma samolotami “Bauera” z Lipnicy. Radziecki samolot zestrzelił obydwa samoloty, z których jeden spadł koło przysiółka Majdan, drugi pod dymarką – w Widelce.

Z obsługi samolotu zginęło od razu trzech ludzi, czwarty ranny wywieziony został przez zawiadomionych Niemców. Józef Selwa, wtedy już akowiec, podszedł jak wielu innych do zestrzelonego samolotu i bez strachu... wykręcił z niego karabin maszynowy, zabrał również raketnicę. Oba przedmioty oddał grupie partyzanckiej w Porębach Kupieńskich.

Józef Selwa wstąpił do tworzącego się na odzyskanej części Polski wojska polskiego i przeszedł w tym wojsku całą kampanię wojenną, z wojska wrócił do Widelki w r. 1946. Dane o nim podał obywatel Józef Niezgoda, obecnie pracownik P.D.K. w Kolbuszowej, który wówczas, jako bardzo młody chłopiec, we wspomnianych akcjach brał udział. Obecnie Józef Selwa mieszka w Widelce, pracuje jako rolnik, oraz w służbie łączności. Jest członkiem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

Józef Selwa
prac. telekomunikacyjny
Widelka

Moje wspomnienia

W czasie okupacji Niemcy zbudowali obóz w Świerczowie z budynków przywiezionych z terenów wysiedlonych w powiecie Kolbuszowskim.

Brama wjazdowa znajdowała się przy szosie po prawej stronie, gdy jedziemy w stronę Mielca, na bramie widnieje napis: "Baudienst 3/105". Obóz ten nazywano także lagrem, a przebywających w nim chłopców junakami.

Do obozu pobierano przymusowo mężczyzn z rocznika 1922-23-24-25. Początkowo trzeba było przepracować 6 miesięcy, później przedłużyli na 8, a w r. 1943 – na rok. Ilość ludzi w obozie – około 350. Cel obozu był taki, że inspektor zawierał umowy z firmą niemiecką Stuckel, która mieściła się w Cmolasie i prowadziła różne roboty, przeważnie budowy dróg, a my z kolei służyliśmy jako siła robocza przy kopaniu rowów, karczowaniu lasu, przy budowie kolei wąskotorowej, która miała połączyć Mielec z Rudnikiem. Roboty te prowadzone były na terenie wsi Hadykówka, Poręby Dymarskie, Kopcie, Wilcza Wola, Gwoździec, Jagodnik, Ostrowy, Przyłęk, Biesiadka. W Biesiadce znajdowała się druga taka firma pod nazwą Fischer. Szefem firmy Sztuckel w Cmolasie był Niemiec, nazywał się Blumer.

Inspektorem obozu w Świerczowie początkowo był Czech, nazywał się Świrkowski, później przenieśli go do Tarnowa, a do Świerczowa przyszedł Neissen (Niemiec). Był to niedobry człowiek, bo za najmniejsze przewinienie bił, psem szczuł, itd... Do roboty chodziliśmy pieszo do lasów Hadykowskich, a gdy robiliśmy w Kopciach, wozili nas samochodami ze Stuckla. Po wybraniu łopat, kilofów, pił, które trzeba było nosić kilkanaście kilometrów na ramieniu, ustawili na grupami po 30-tu, do każdej grupy przydzielony był forarbeiter. Jego zadaniem było pilnować nas w czasie marszu na robotę i w czasie roboty z tym, że on żadnego sprzętu nie nosił na ramieniu i nic nie robił w czasie roboty. A całość, to znaczy wszystkie grupy wraz z forarbeiternami, prowadził forbarkir, o jeden stopień wyższy od forarbeitera, był nim Stapor ze Świerczowa, nazwano go szefem Bauszteli. On też zadawał nam różne kary za małe przewinienia, jak spóźnienie się na zbiórkę, albo spóźnienie się po przerwie obiadowej, kara trwała pół godziny, dawał karę, jak niesienie grubych drągów z lasu do Świerczowa, przy których szedł cały czas, żeby koledzy nie pomogli.

Pamiętam Franciszek Drzał z Wysokiej Głogowskiej zasnął w czasie przerwy obiadowej w lesie koło Poręb Dymarskich i spóźnił się parę minut do roboty, to Stapor zaprowadził go do dołka z wodą i dawał komendę: "przysiad", "powstań". Drzał musiał wykonywać w tej wodzie przysiady przez kilka minut i zimny, jesienny dzień 1943 r., z czego później zachorował. Gdy przeprowadził Stapor kogoś do takiej kąpieli, zawsze mówił: "Psiakrew, dziadu, maczaj jaja" takie miał przysłowie. Nie do lepszych należeli Śliwiński, Warchoń, Łęgowski, z rozkazu Łęgowskiego otrzymał bicie trzonem od łopaty Serafin z Dzikowca i inni.

Żywność była bardzo marna, chleb na ośmiu nie w każdy dzień, łyżka marmolady, często zupa z karpeli. O tym wyżywieniu było niemożliwością żyć i pracować, żywność dotaczali rodzice lub my zabierali z sobą, gdy nas puszczano do domów w sobotę po robocie i na niektóre niedziele za przepustkami. Przepustka nazywała się: "Urlopschein", była ważna do poniedziałku do godziny 4:30, na tę godzinę trzeba się było stawić, o tej godzinie była pobudka. Wydawaniem i odbieraniem przepustek zajmowali się forarbeiterzy lub forberkierzy. W jedną z takich niedziel, na którą przyszedłem do domu w drugiej połowie 1943 r., zostałem wciągnięty do konspiracji

AK. Przez Haracza Wojciecha. Po złożeniu przysięgi kazał mi umyśleć lewe nazwisko, czyli pseudo. Podałem pseudo: "Chrząszcz", powiedział, żeby nikomu o tym nie mówić, jak zajdzie potrzeba iść na jakąś akcje, czy do lasu, to zawiadomi. I nadal byłem w Świerczowie.

Forarbeiterzy, forberkierzy i wegmajstrowie byli to Polacy, otrzymywali lepsze wyżywienie, pieniądze, lepsze ubranie, okrągłe, siwe czapki, na czapkach i na rękawach nosili dystynkcje według ich stopnia i rządzili nami szarakami, nieraz tak, jak wyżej wspomniałem.

Krasoń, Prokop, Draus, i Brejter na robotę z nami nie chodzili, zajmowali się administracją, jak ewidencja, przeniesienia do innych obozów, wydawanie przepustek i współpracowali najwięcej z Weissenem. Jeździli, wódkę pili, gościli się wspólnie razem, Brajter znał język niemiecki i był jego tłumaczem. Mieli także swoje biuro, które nazywało się: "Forajbeiterka" i mieściła się niedaleko siedziby (bunkra) herr inspektora Neissena. Nadchodzi lipiec 1944 r. Zostają wezwany na forajbeiterkę, gdy wszedłem tam, zastałem Krasonia i Brajtera. Bajter mówi do mnie: "Chrząszcz, siadajcie, chce z wami pomówić" słowem "Chrząszcz" zostałem tak przestraszony i zaskoczony, że nie wiedziałem, co mówić i co robić. Byłem pewny, że w Widelce zostali aresztowani organizatorzy i któryś mnie wydał. Dla mnie było nie do uwierzenia, że człowiek, który pracował z Weissenem, tłumacz może należeć do konspiracji. Brajter mówi dalej: "Selwa, nie bój się, to nie jest żaden podstęp. Należymy do jednakowej organizacji, zadanie nasze jest bić Niemców i z Weissenem wkrótce musimy się rozprawić za waszą krzywdę. Od tej chwili należysz pode mnie, zostaję dowódcą warty, a ty jesteś wartownikiem, z Beuszteli jesteś zwolniony. Obozu bez mojego rozkazu nie wolno ci opuścić. "Na koniec powiedział "buzia na kłódkę, możesz odejść". Jak się później okazało, słowa jego były prawdziwe, a pseudo moje zawędrowało z widelki do Świerczowa, prawdopodobnie za pośrednictwem Łykusa, nauczyciela szkoły w Widelce, z którym się kontaktował Bajter. Następnego dnia płynie normalnie, pobudka, apel, śniadanie, pobranie sprzętu i wymarsz na Bausztelę.

Ja według rozkazu zostałem na miejscu. Następnie zbiórka warty na forajbajterce. Na zbiórce zobaczyłem kilku nowych ludzi. Ludzie ci prawdopodobnie byli przysłani do pełnienia warty z Baudienstu z Rzeszowa, który się mieścił przy ul. Dąbrowskiego, jak się prawdziwie nazywali z skąd pochodzili, do dziś dnia nie wiem. Widziałem ich później w partyzantce z lesie Poręby Kupieńskie. Na zbiórkę przyszedł Neissen i mówi do nas po niemiecku, a Brajter tłumaczy! "Jak nam wiadomo, nasz Baudienst jest oddalony od miasta, oddalone Baudiensty mogą zaatakować bandyci. Postanowiłem stworzyć wartę do obrony Baudienstu, na dowódcę warty mianuję forberkiera Brajtera, za niewykonanie jego rozkazu czeka was kara śmierci". Jeszcze chwilę rozmawialiśmy, ale Brajter nam już nie tłumaczył i odszedł. Mądryemu i dumnemu Niemcowi, za jakich się mieli Niemcy, nie przyszło do głowy, że ma do czynienia nie z dowódcą warty, którego przed chwilą mianował, lecz z dowódcą partyzantki, przed którą się tak zabezpieczał. Dalej zbiórkę prowadzą Brajter z Krasoniem, mówią: "na razie wartę będziecie trzymać bez broni, wkrótce otrzymacie broń". Do trzymania warty każdemu wyznaczyli swoje miejsce, w końcu zbiórki Bajter wyciągnął dwoje nowych drelichowych spodni (zielonych) i spytał, kto mu może przyszyć dwie durze kieszenie na bokach spodni, ponieważ się znam na krawiectwie, podjąłem się to zrobić. Wyznaczył mi wielkość i miejsce kieszeni. Kieszenie mu uszyłem u Smolenia w Świerczowie, bo tam była maszyna do szycia. Już w następnym dniu w tych dużych kieszeniach znajdowały się niemieckie granaty z drewnianymi trzonkami. W tym samym dniu otrzymałem od niego ręczny karabin pięcioprzelowy produkcji włoskiej.

Gdy moi koledzy, jak Gaweł, Hudro, Szalony, Wawrzynie, Frącz, którzy przed dwoma dniami jeszcze pracowali razem na Bauszteli, zobaczyli mnie ze stojącym na warcie karabinem, zostali tym zdziwieni, któryś z nich powiedział: Podobno front się zbliża, a ty w ostatniej chwili poszedł Niemcom służyć? Odpowiedziałem, że może to wyjdzie na dobre. Pomimo że to byli koledzy,

jednak prawdy nie mogłem powiedzieć; bo taki był rozkaz. Warta składała się z kilkunastu ludzi i trwała krótko. Po 3-ch dniach pełnienia tej warty na wieczornym apelu Neissen głosi do wszystkich, którzy byli na zbiórce, Brajter tłumaczy, ażeby dobrze pracować, nie uciekać, bo jest pewne, że podbijemy bolszewików. Po upływie kilku dni, gdy wracali z Bauszteli, koło firmy Sztuckla, gdzie przechodziło się 2 razy dziennie, przynieśli dobrą wiadomość, że firma Szytkel w Cmolasie, jak i firma Walter w Kolbuszowej wywożą się w pośpiechu na zachód. W tej nocy nastąpiła masowa ucieczka z Baudienstu, w przyszłym dniu jeszcze wymarsz na Bausztelę, z Bauszteli już mało, kto wracał. Znikają forbajterzy, ginie sprzęt, jednym słowem, obóz rozpada się. Tylko grupa wartownicza pozostaje w komplecie i w tym dniu wieczorem Neissen robi zbiórkę z wartą. Oświadcza, że jutro zdajemy broń i że chwilowo Baudienst trzeba będzie opuścić dla wyrównania frontu, ale nie za długo się spotykamy, bo zwycięstwo jest po stronie niemieckiej. Po zbiórce, gdy robił się zmrok, Najzen, Prokop, Krasoń, Draus poszli na pożegnanie na leśniczówkę, która mieściła się przed lasem po lewej stronie, gdy jedziemy do mielca. Brajter został na miejscu, korzysta z nieobecności Neissena, uszkadza połączenia minowe, które miały służyć do obrony w razie napadu na bunkier. Miny były zakopane wokół bunkra i od każdej szło połączenie tak, że każda oddzielnie mogła eksplodować z wewnątrz bunkra. Biegiem sprawdził wszystkie posterunki, mówił, że gdyby Neissen podszedł któregoś z wartowników i krzychał "Hande hoch", żeby nie podnosili rąk do góry, bo on takich ludzi uważa za tchórzki i może pałać w łeb.

Neissen w tę noc, jakby coś czuł, na pożegnaniu u leśniczego nie chciał pić wódki, nie odkładał pistoletu z ręki. Stałem na warcie obok bramy wjazdowej przy szosie Mielec – Kolbuszowa i byłem pewny, że śmierć jego nastąpi u leśniczego lub w drodze. Jednak wracając z powrotem, nie byli tam długo, słyszę, że dochodzą od bramy wjazdowej, przy której stało 2-uch wartowników, obok stał dowódca warty Brajter. Neissen krzycha "Hande Hoch" i już uprzedzenia Brajtera się przydały. Brajter z nim pracował dłuższy czas i znał dobrze jego zagrania. Rąk nikt nie podnosił. Brajter, jako dowódca warty złożył mu meldunek w języku niemieckim.

Następnie udali się wszyscy w stronę bunkra, po pożegnaniu się z nimi Neissen poszedł spać do bunkra. W tę noc przyszło także kilku ludzi ze stenami i dołączyli do nas, skąd byli ci ludzie, też nie wiem. Akcję prowadzili Brajter, daje rozkazy przeciąć telefon łączący Neissena z Kolbuszową i zaraz po przecięciu koło godziny 24 podchodzą do bunkra, Krasoń, Draus, Prokop i Brajter na czele. Brajter krzycha "Herr Inspektor – Banditen" i jeszcze kilka niemieckich słów, co oznaczały, nie wiem. Neissen wstał, ale drzwi wejściowych nie otworzył, posypały się serie poprzez drewniane drzwi, nastąpiła chwila ciszy i znów strzały, od wewnątrz bunkra strzałów nie było. Strzelali też przez okna, za chwilę nastąpiła cisza, ale nie wiadomo było, czy Neissen został trafiony.

Nazajutrz, gdy się zaczęło rozwidniać podchodzą ci sami do drzwi wejściowych. Brajter ostrożnie odmyka drzwi, reszta ich stoi z automatami w pogotowiu do strzału, gdy się drzwi otworzyły, okazało się, że Neissen leży we krwi zastrzelony w spodenkach i podkoszulku. Brajter rozkazuje dalej zająć stanowiska w dwóch bunkrach, które były najbliżej bramy wjazdowej, w szparach między drzewami porobić otwory, ażeby można oprzeć lufy karabinów. Część z nas wyszła na strych, porobili otwory, ażeby można było z nich ostrzelać bramę wjazdową.

Łączą telefon, który w nocy został przecięty, i dzwonią na gestapo do Kolbuszowej, że w nocy napadli partyzanci i zabili Herr Inspektora Neissena i werkmistrzów silnie zbili, żeby szybko

przyjechać.

W tym dniu rano miał przyjechać niemiecki samochód z Rzeszowa z tak zwaną Hauptszteli po inspektora i po broń, którą my trzymaliśmy w pogotowiu i czekali na wjazd gestapo i samochodu z Hauptszteli z Rzeszowa. Jednak nikt nie wjeżdżał, gestapo prawdopodobnie oddzwoniło, że nie wiadomo, czy przyjadą, bo mają dużo roboty, łapali ludzi z Kolbuszowej i wysyłali na wschód do okopów. Łączą się z Rzeszowem, z żoną Neissena, która była też Niemką, ażeby zaopiekowała się mężem, bo w nocy zabili go partyzanci i rozmowa urwała się. Jednak w tym dniu nikt nie przyjechał. W godzinach popołudniowych odmykają magazyn z mundurami, które były przeznaczone dla szarzy. Znajdowały się tam nowe koszule, ubrania i obuwie. W magazynie ze sprzętem były piły, łopoty, siekiery itd. Część sprzętu i ubrania poszło do lasu do partyzantki. Resztę pozostałości zabrali obywatele Świerczowa. Wiedziałem dobrze, że w moim domu jest marny stan z odzieżą, znajdowały się tylko zgrzebne ubrania, jak i koszule, na które matka własnoręcznie przędła płótno w porze zimowej. Poprosiłem Brajtera, czy by mi pozwolił zabrać z magazynu kilka koszul, jak i ubrań i dostarczyć do domu. Powiedziałem przy tym, że są tu moi koledzy, którzy przebywali przez te kilka dni w wiosce Świerczów, czy by nie mogli z tego skorzystać.

Powiedział, należy się wam, bo wyście krwawo to odrobili. Dodał: “ty masz się jutro zgłosić do lasu Poręby Kupieńskie (leśnictwo). Tam ma się znajdować nasz oddział”. Zdałem broń, otrzymałem przepustkę, ale tym razem już nie “Urlopszin” i udałem się z kolegami do domu.

Wspomnienia te napisał człowiek, który walczył potem w oddziałach partyzanckich, a następnie wstąpił do Ludowego wojska Polskiego. Przy podaniu nazwisk i wyrazów niemieckich zachowano pisownię autora.

Ludwik Magda
żołnierz AK pseudo "Palma-Regiusz"

Ze wspomnień lat okupacji

Konspiracja i zwiad

Praca konspiracyjna w sieci dawała częściowo zadowolenie uczestnikom walki o wolność ojczyzny. Praca ta polegała na: podtrzymaniu ducha w narodzie, czytaniu prasy podziemnej, zdobywaniu broni, akcji sabotażowych, szkolenie kadry dowódców wyłaniających się z młodych ludzi podziemia. Na określonym etapie praca konspiracyjna była wystarczająca.

Zmiany na tym polu działania nastąpiły po upadku Francji, kiedy stało się jasne, że macki hydry hitlerowskiej coraz bardziej będą się wydłużać, chcąc zagarnąć wszystkie państwa Europy. Wróg zniweczył wszystko, co polskie, zrabował dobra materialne narodu polskiego. Krwawo rozprawiali się siepacze niemieccy z działaczami politycznymi sprzed wojny. W bestialski sposób zniszczono ludzi nauki polskiej, kulturę polską wyrwano z korzeniami, paląc na stosach cenne książki, rozbierając zabytkowe budowle, które przetrwały wieki.

Na terenie obwodu Kolbuszowa istniała już wówczas silna sieć organizacji Z.W.Z., a nici jej sięgały do każdej wsi. Mimo ofiar, które zostały pochłonięte przez aresztowania i mimo przygnębienia po upadku Francji, na przekór temu wszystkiemu, wzmożła się chęć do walki o wolność narodu.

Wieczorami poprzez pola, bo drogi były obstawione, odbywał się przerzut prasy podziemnej. Jako łącznik dowódcy plutonu "Trzcina" podległy swemu dowódcy "Piętałkowi", Antoniemu Magdzie przetrzymywałem prasę na teren następujących miejscowości: Ostrowy Baranowskie, Cmolas, Kossoway, Kolbuszowa Dolna, Werynia oraz na terenie powiatu Mielec (kryptonim "Mleko") i dalej na teren strzeżony przez SS "Signoza" pod Dębicę do miejscowości Ruda i Dobrynin oraz w okolicę Rzochowa do miejscowości Białe. We wspomnianych miejscowościach prasa i rozkazy były dostarczane do skrzynek pocztowych. W czasie moich marszrut z prasą podziemną ocierałem się o wroga. Niejednokrotnie plecak mój, załadowany prasą ponad 100 egzemplarzy, leżał w samochodzie załadowanym "Wehrmachtem" lub nieraz produktami żywnościowymi, jak jajka i masło. Ja siedziałem wówczas w szoferce. Było w tym pewne ryzyko. Nie zawsze to się udawało.

W maju 1940 r. mój dowódca "Piętałka" rozkazał mi przenieść 3 pistolety do rusznikarza do "Czeremchy" Cmolas. Miałem przy sobie prawdziwą "Kennkartę" i fałszywy "Ausweis". Przeszedłem prawie cały Cmolas aż do baraków w pobliżu kościoła. Dopiero w miejscu, gdzie kwaterowali żołnierze niemieccy, strzegący spokoju osadnika niemieckiego, Kokota, który po zrabowaniu chłopom najlepszych ziem i inwentarza założył gospodarstwo na wzór niemiecki, gdzie Polacy musieli za darmo pracować, zatrzymał mnie nagle wartownik i wylegitymował. Wtedy zjawił się kat polskich robotników nazwiskiem Borys, (który został potem zlikwidowany przez polskie podziemie). Twarz moja osiemnastoletniego chłopca nie podobała się zbirowi. Łamaną polszczyzną pomieszaną z językiem czeskim zapytał mnie, gdzie mieszkam i gdzie pracuję. Podałem „ausweis” pracownika Komendatury w Mielcu. Zabrał mnie ze sobą i zaprowadził do murowanego budynku, który Kokot zabrał księdzu. Wepchnął mnie do korytarza

i otworzył drzwi do małego pokoju, w którym stały obłocone, długie buty. Rozkazał mi wyczyścić je, ażeby się świeciły, podając szczotki, flanelę i pastę. Zbir wyszedł, pozostawiając mnie z pokoju samego. Obok stojącej szafy, leżała na podłodze sterta amunicji do „mauzera” i kilka paczek – kaliber 9 mm. Popatrzyłem w okno, zbir poszedł na drugą stronę szosy, załadowałem szybko mauzerowską amunicję do kieszeni, a 2 pudełka 9-cio milimetrówek w zanadrze.

Szczotki poszły w ruch i przyszła mi na myśl trzepnięcia zbira w jego pokoju, ale bałem się „Piętaka”, że robota bez rozkazu. Byłem silny i chwyt dywersyjne nie były mi obce. Zlikwiduje po cichu: lewą ręką w krtani, a drugą kulakiem w nerki i P-38 a także MP zostanie moją zdobyczą. Wtem na korytarzu pojawiła się dziewczyna Polka, która mnie zagadała i ona zepsuła mi cały plan. Pomyślałem sobie: dom, rodzina, represje, zostanę przez nią rozpoznany... Borys przyszedł i spojrzął na przykładowo wyczyszczone buty. Dał mi „junaka: i rzekł: - „Idź do domu”. – Poszedłem do szosy i natknąłem się na granatowego policjanta, który szedł z żandarmem, gdyż w Cmolasie mieściła się granatowa policja, która w części była dobrze ustosunkowana do nas, lecz w części butniej spełniała swoje obowiązki na służbie wroga. Na szczęście obok żandarma rozpoznałem posterunkowego Chojnackiego, któremu kiwnąłem głową. Żandarm zaniechał legitymowania mnie, poszedłem dalej. Po zachowaniu się spotykanych przechodniów wyczułem, że coś się dzieje we wsi niedobrego, lecz nie wiedziałem co. Uszedłem może kilometr, nagle doszedł do moich uszu ostry warkot motocykla, obejrzałem się do tyłu, w moim kierunku zbliżali się Niemcy. Powziąłem błyskawicznie myśl pozbycia się ładunku. Na miękkiej drodze była kałuża, a tylko wąski pasek niezalanej ziemi wił się obok płotu. Zaimprovizowałem zejście z drogi motocyklowi. Wszedłem w kałużę, wrzucając przez nogawki rozpiętych pumpów 3 pistolety i całą zawartość amunicji. Kałuża zakryła moja zdobycz. Motocykl zatrzymał się. Sądziłem, że Niemcy zobaczyli, że coś wyrzucałem. Z przyczepki motocykla wyskoczył cywil w skórzanym płaszczu z pistoletem we mnie skierowanym i ryknął: - „Hande hoch!” – Spokojnie podniosłem ręce do góry. Zrewidował mnie, wyciągając dokumenty z kieszeni marynarki. Gestapowiec spojrzął na mnie badawczo, i zapytał po polsku: - „Gdzie idziesz?” – „Dlaczego nie jesteś w pracy?” – Tłumaczyłem, że dostałem urlop jednodniowy za pracę w niedzielę i idę do kuzyna, który ochotniczo wyjeżdża do rzeszy, aby go pożegnać. Gestapowiec zatrzymał rowerzystę, w którym poznał wójta gminy, Cmolasa Jana Maciąga, który znał mnie i po wylegitymowaniu się, jako wójt potwierdził, że to co powiedziałem jest niezbitym prawdą. Wójt pojechał dalej, a gestapo zwrócili motocykl i odjechali. Psiakrew, zamoknięta amunicja, ale jak ją wydobyć teraz, kiedy kręcą się ludzie? - pomyślałem. Postanowiłem jednak pójść dalej.

Po chwili zameldowałem się porucznikowi “Zbychowi”. Józef Micek zginął w akcji na obozową firmę Fischer w maju 1944 r. Bardzo ofiarny i dobry był z niego Polak, którego nigdy nie mogę zapomnieć.

Porucznik Zbych powiedział mi o przyczynach dzisiejszej wizyty w Cmolasie.

- “Miałeś wiele szczęścia”. - “Nie ryzykuj!” - “Broń dostaniemy, jak się ściemni” - “Zamoczoną amunicję wysuszymy”. - “Uważaj na tego Borysa, jak cię pozna, to będzie źle”. - Kiedy pociemniało, przy pomocy grabi wydostaliśmy pistolety, oraz pudełka z dziewiątkami. Część tej amunicji zostawiłem porucznikowi “Zbychowi”. - “Pistolety odbierzesz za dwa dni o godzinie 20-ej”. - “Przełącz rozkazy “Piętakowi”. - “Zbych” podał mi małe bilecik. - “Od dnia dzisiejszego przechodzisz do zadań specjalnych w dywersji”. - pożegnaliśmy się serdecznie między opłotkami w ciemny wieczór. Ostatnie zadanie, które usłyszałem od “Zbycha” było: - “W

Dzikowcu Gestapo aresztowało 3 naszych ludzi, którzy do nas przyjeżdżali i dlatego Gestapo odbyło te rejdy u nas”. - “Powiedz “Piętakowi”, że odprawa odbędzie się zgodnie z ustalonym czasem”. -

Jesień 1940 roku. Część żołnierzy plutonu “Trzcina” znajduje się na terenie lagru Wehrmachtu Mielec – pracuje przy jego rozbudowie.

W Mielcu spotykam się z żołnierzami podziemia obwodu “Mleko”, czyli Mielec. Z rozkazu “Piętaka” prowadzony jest wywiad na terenie lagru, gdzie zimą 1940 – 41 roku armia Von Paulusa jest skoncentrowana na tym terenie w lasach, a obóz wojskowy jest siedzibą tej armii. Do pracy tej w zwiadzie zostaje skierowanych czterech żołnierzy z plutonu “Trzcina”:

- ∞ Jan Magda, pseudonim “Czarny”,
- ∞ Józef Komaniecki, pseudonim “Jawor”,
- ∞ Florian Matejek, pseudonim “Marian”,
- ∞ Ludwik Magda, pseudonim “Palma-Regiusz”.

Celem tej czwórki było:

- ∞ zbieranie informacji o wrogu,
- ∞ zapisywanie numerów J.W. i uzbrojenia,
- ∞ wykup broni od żołnierzy Wehrmachtu,
- ∞ zbieranie opinii o cywilach administracji niemieckiej,
- ∞ akcje sabotażowe na terenie lagru.

S a b o t a ż e

Do silników samolotowych łądowniśmy smary i ropę zabrane uprzednio ze składu odpadów. Innym razem przy pomocy ręcznej wiatrówki udaje nam się przebić pojemniki, z których setki hektolitrów benzyny spłynęły do rowu przygotowanego do instalacji kanalizacyjnej.

Żołnierze zwiadu “Piętaka” zaopatrzeni w legitymacje (przepustki) komendantury lagru Wehrmachtu Mielec, mogli penetrować obiekty, które Niemcy budowali w lasach, otoczone wysokim parkanem ze słupami betonowymi, uzbrojonymi kolczastym drutem.

Pewnego dnia kilku robotników firmy “Hocker und Frich” zostaje przewiezionych samochodem do wschodniej części lagru. W grupie tej znajduje się cała czwórka zwiadowców. Niemiec cywil jest zdenerwowany,. Każę wbijać pale w ziemię po uprzednim wycięciu młodego lasu. Samochody zwożą olbrzymie, drewniane skrzynie, które zespół Polaków ustawia na palach. Żołnierze Niemieccy zwożą do tych skrzyń amunicję i po zapelnieniu stawiają przy skrzyniach tych posterunki.

Przy tej pracy poznaję Henryka Sawickiego, który jest wysiedlony z województwa poznańskiego. Pracujemy razem kilka dni. W tym czasie poznaję również Leona, nazwiska jego jednak nie pamiętam.

Za jakiś czas na spotkaniu pod laskiem w Mielcu, zorganizowane przez dowództwo Z.W.Z. Mielec w celu połączenia naszych zwiadów na terenie lagru, zwiad zostanie podzielony na dwie grupy. Jedna grupa trudni się zbieraniem informacji o sile przechodzących jednostek przez lagier i sile uzbrojenia, a druga trudni się podbieraniem amunicji ze wspomnianych skrzyń. Zwiadowcy dostają się do lagru podkopem pod cokołem betonowym parkanu przez oderwanie desek tylnej ściany. Amunicja wroga dostaje się w nasze ręce. W akcji tej biorą udział:

- ☞ Henryk Sawicki, pseudonim "Duży",
- ☞ Florian Matejek, pseudonim "Marian"
- ☞ Ludwik Magda, pseudonim "Regiosz"
- ☞ oraz czwarty pod pseudonimem "Leon".

Amunicją zasilany jest pobliski oddział "Mściciel" i częściowo dostaje się ona również do obwodu Kolbuszowa. Akcja podbierania trwa koło sześciu miesięcy, która kończy się po odkryciu przez Niemców, dużych ubytków amunicji. Niespodziewanie wzmocniono wartowników.

Usiłowanie niesienia pomocy jeńcom radzieckim

Rok 1941, miesiąc lipiec. Na terenie wyřębu lasów przyłęckich przy firmie obozowej Fischer, w której pracowało przymusowo kilka tysięcy Polaków, zwożonych z terenów w warunkach niewolniczych, przywieziono kilka samochodów jeńców radzieckich z obozu, który powstał w Majdanie Kolbuszowskim. Niemcy byli pod silną eskortą Wehrmachtu. Rozładowanie siły roboczej z samochodu odbyło się o godzinie 7-ej rano. Jeńcy byli prowadzeni na odcinki pracy przez uzbrojonych Niemców cywilnych o czarnych charakterach.

Po zapoznaniu się z sytuacją, na naradzie w domu "Mariana" (Floriana Matejka) w Przyłęku (cała wieś Przyłęk została wysiedlona w 1940 roku, a jej domy służyły jako kwatery dla firmy Fischer, a potem były makietami do ćwiczeń Wehrmachtu) ustaliliśmy udzielić pomocy jeńcom radzieckim. Nasz przyjaciel Stefan Zamroczyński, z zawodu nauczyciel, który dobrze znał język rosyjski, na moją prośbę miał skontaktować się z jeńcami w czasie pracy. Za kilka dni nastąpiło drogie spotkanie obok szosy w Przyłęku. Zamroczyński doniósł nam, że najbardziej potrzebują jeńcy chleba i ubrania. Na zakończenie naszego spotkania zapytał, dlaczego usiłujemy dać jeńcom pomoc. - "To zwykła ludzka rzecz" - odrzekłem. Nazajutrz przeprowadziłem wywiad, co do osoby Zamroczyńskiego, u mego znajomego Stanisława Węglarza, zatrudnionego w biurze firmy Fischer, od którego dowiedziałem się, że Zamroczyński, to godny zaufania człowiek. Zamroczyński ustalił, do jakiego rewiru jeńcy będą prowadzeni. Odbyła się zbiórka chleba i odzieży, którą wieczorem kilku chłopców zanośli na wyřęb i ukrywało ją w stosach wykopanych pni. Zamroczyński, jako tłumacz, codziennie rano przekazywał starszemu z grupy jeńców zadania i prace, nakazane przez Niemców z firmy Fischer i niespostrzeżenie informował o zawartości, którą ukrywały przyzmy pni.

W efekcie tego kilku jeńców przebranych zdołało uciec jednego dnia. Następnego dnia po tym fakcie, Zamroczyński i cywil Niemiec nie zostali do jeńców dopuszczeni.

Postanowiliśmy użyć innej formy pomocy. Zajęliśmy się jeńcami wówczas, kiedy

nieszczęśliwych i bitych przez konwojentów ładowano do samochodów.

Brak było chleba. Skąd go zdobyć? O ubraniu nie ma mowy. Wszedłem w kontakt z pracownicą kuchni niemieckiej, Polką panią Decowską i przy pomocy Antoniego – nazwiska nie znam – dostałem z magazynu niemieckiego worek chleba. Wieczorem, polami, przenoszę chleb ten z “Marianem” do kwatery robotników firmy Fischer i tam kroimy na połowę każdy bochenek chleba. Robimy paczki, pakując chleb w papier. Udaje nam się nakłonić 12-tu niezorganizowanych, młodych, pewnych ludzi do tej akcji. W czasie załadunku jeńców dużo ludzi obojga płci gapiło się na nieszczęśliwych, między innymi byli w osobnej grupie także i Niemcy z firmy Fischer, którzy naigrywali się z omdlałych jeńców, a mając przy sobie style od łopat pomagali konwojentom bić jeńców.

Postanowiłem bez zgody “Piętaka”, z którym nie mogłem natychmiast skontaktować się, wykorzystać zakłócenie, powstałe przy załadunku jeńców na samochody.

Jest piątek, słońce praży. Obok szosy na trawniku siedzą robotnicy Polscy, pracujący w firmie Fischer. Opoдал zabudowania dawnego majątku w Przyłęku oraz szkoła i kilka domów, w których mieszczą się biura firmy.

Samochody ustawione rzędem na szosie czekają, aż konwojenci doprowadzą jeńców.

Idzie pierwsza kolumna, dochodzi do pierwszego domu przy szosie, gdzie mieszczą się biura personalne. Obok stoi studnia z korbą, za pomocą, której Polka wyciąga wiadro wody. Jeńcy pokazują jej, że chcą pić. Cywil Niemiec, który stoi przed domkiem, każe tej Polce dać wody. Słyszy to robotnik, przechodzący przypadkowo, bierze wiadro i podaje jeńcom, którzy łapczywie piją. W tym zjawia się dwóch Niemców, wrywają wiadro i wylewają wodę, a Polaka, który podał wodę, skopali. Cywil Niemiec, który pozwolił na podanie wody, uciekł do biura, nie chcąc widocznie być świadkiem tego zajęcia. Jak ustalono, był on Ślązakiem, nazwiskiem Ocik, który po tym wypadku wyjechał z Przyłęka.

Pierwsza kolumna jeńców dochodzi do samochodów popędzana i bita przez konwojentów oraz cywilnych Niemców. Powstaje zamieszanie. Polscy robotnicy powstają z murawy. Dałem sygnał do podejścia bliżej szosy. Udaje nam się podejść. Wrzucam chleb i tytoń do jednego i drugiego samochodu. Jeńcy chwytają chleb i wzajemnie wrywając sobie zjadają go. W tym kule lecą nad naszymi głowami. Ktoś strzela od tyłu i ryczy “Hande hoch!” - Niemcy czy Polacy, którzy tam byli, zrozumieli te słowa. Podnieśliśmy ręce do góry i nim wysoki “Rudzielec” podszedł do mnie, zdążyłem uprzedzić najbliższych, mówiąc: - Nie przyznajcie się do niczego - część robotników zdążyła uciec. Nas około trzydziestu odstawiono na bok pod strażę cywilnych Niemców. Samochody po zrewidowaniu odjechały.

Naszą grupę wprowadzono do przydrożnego biura i tam zaczęło się śledztwo, które prowadził “Rudzielec”, szef żandarmerii i gestapo w Mielcu Otto, który został w 1943 roku zlikwidowany przez oddział “Mściciela” w okolicach Toporowa. “Rudzielec” nieźle mówił po polsku. Zadawał razy i pytał: - Co dawałeś bolszewikom? - Ryczał tak, że z daleka było go słychać. Przedemną stał starszy mężczyzna, którego portki trzęsły się, jak galareta. Po cichu rzekłem do “Mariana”, który był tuż obok mnie. - Pokaż mi przepustkę Komendantury i powiedz, że przyjechaliśmy tu na dziewczynki i to tylko przypadek sprawił, że byliśmy obok szosy. - Co dałeś bolszewikom? - zapytał. Odpowiedziałem: - Niczego takiego nie widziałem, ażeby ktoś coś dawał. - Ty być z panienką, a nie patrzeć na bolszewików. Wy jeździcie wraz z Mielik do roboty. Ja was dać na obóz, verstehen!? - wyszliśmy z “Marianem” drugimi drzwiami na dawne gospodarskie podwórko, potem przeszliśmy szosę, ażeby obserwować, czy nie zatrzymują kogoś na dłużej. Wszyscy zostali wypuszczeni, a na drugi dzień w Przyłęku ponaklejano obwieszczenie, że Polakom nie wolno się do bolszewickich jeńców zbliżać na sto metrów. Jeńcy radzieccy nie

przyjechali już więcej do pracy na przyłęckim wyřębie.

Z tej grupy, która przyjeżdżała z obozu w Majdanie Kolbuszowskim, spotkałem byłego jeńca tego obozu Iwana, który został skierowany do oddziału partyzanckiego. Inni jeńcy z przyłęckich wyřębów w liczbie jedenastu – częściowo uzbrojeni przez polskie podziemie – zasilili oddział radziecki Kowpaka.

Bronisław Kuczyński

Czegośmy požądali...

Przyszli Niemcy do kraju...
według swego zwyczaju
z cielęcymi torbami,
Teraz chcą być panami.

Strofy te powtarzała moja czcigodna babcia dosyć często, ale nie bez potrzeby. Recytowała je wówczas tylko, gdy czuła jakiś żal, potrzebę podkreślenia czegoś co ją irytowało, co niezgodne było z jej polskim sumieniem. Wiadomo wówczas było, że chodziło tu o ludzi mieszkających w Dzikowcu Nowy tzw. wówczas “Wildentahal” leżący na północ od drogi Kolbuszowa, Sokołów Małopolski, pomiędzy Zadworzem lub Zakarczmem, należącym do Dzikowca Starego, a Lipnicą. Wspomniane Zadworze czy Zakarczme od Wildentahl działał dwór będący własnością “Jaśnie Wielmożnego Pana” Jana Paska Błotnickiego i to stanowiło właśnie jakąś niestrzeżoną granicę, dzielącą nie tylko terytorialnie te dwie wioski.

Jak się można domyśleć, chodzi tu o nasiedlonych w latach osiemdziesiątych XVIII wieku Niemców z Bawarii, którzy na każdym kroku próbowali podkreślać swoje jestestwo i wyższość nad mieszkańcami Starego Dzikowca. Podstawowym ich zajęciem było rolnictwo. Otrzymali oni ziemię najbardziej urodzajną, tzw. przez nich “celakry”, “kleśnie”, rozciągając się obok pól chłopskich Lipnicy i Dzikowca Starego były to wprawdzie raczej jak na tutejsze gospodarstwa średnie. Przyznać trzeba, że osiedleńców tych cechował wyższy poziom kultury rolnej i kultury życia, umiejętność organizacji pracy, wygospodarowanie wolnego czasu na wypoczynek, który zwykle wykorzystywano na gawędach.

To pokolenie nasiedleńców, o których wspomniałem żyło w okresie międzywojennym i podczas okupacji. Nie wielu z nich zresztą żyje jeszcze dziś bądź w naszych okolicach bądź też na terenie kraju i sąsiednich krajów.

Kolonia ta nie była jedyna w naszym powiecie, bowiem dość duża ilość rodzin mieszkała w Raniżowie obok obecnej ulicy Wolskiej wówczas zwanej “Niemiecką Wsią”.

Trzecia kolonia mieściła się w Ostrowach Tuszowskich.

Kontakty między poszczególnymi koloniami były początkowo bardzo znikome. Zbliżył ich dopiero okres okupacji. Według mojego mniemania brak ściślejszej współpracy pomiędzy kolonistami zamieszkałymi w Dzikowcu Nowym a odległymi od nich zaledwie o 8 km kolonistami Raniżowa spowodowany był różnicą wyznań, bowiem koloniści Dzikowca Nowego byli rzymsko - katolikami, zaś Raniżowa – wyznania protestanckiego. Ten właśnie element miał wpływ również na układ stosunków międzyludzkich w Dzikowcu między mieszkańcami

Polakami a kolonistami. Z opowiadań sędziwych staruszków, zasłyszanych kilkanaście lat temu wynikało, że i w tej dziedzinie usiłowali uzyskać swój prymat. Podczas zaborów dochodziło do ostrych spięć pomiędzy plebanią a kolonistami. Chodziło o to, aby kazania niedzielne wygaszane były w języku niemieckim, na co oczywiście nie godził się ówczesny proboszcz mając na uwadze przytłaczającą większość ludzi – Polaków. Doszło do tego, że rozfanatyzowany kolonista pewnego razu wszczął na tzw. “chórze” w kościele kłótnię z miejscowym proboszczem i po ostrej wymianie zdań usiłował zrzucić proboszcza z “chóru” w dół, lecz mocno przyczepiony rękami do bariery proboszcz uratował się od ewentualnych następstw, niemniej była to bezpośrednia (jak twierdzili) przyczyna jego śmierci, która nastąpiła w niedługim czasie po zaistniałym wypadku. Niemcy widząc małe szanse realizacji swych żądań zmuszeni byli ustąpić pod naporem opinii tamtejszego społeczeństwa.

Mijały lata. Garstka kolonistów (około 20 rodzin) wchłonięta została przez bieg życia. Z powodu braku własnej szkoły, dzieci ich zmuszone były uczęszczać do szkoły polskiej, chociaż główny budynek szkoły mieścił się na ich terytorium. - Ale i tam w rodzinie szkolnej wynikały jeszcze od czasu do czasu banalne dziecinne scysje, można by rzec dyskryminacje – pomiędzy dziećmi kolonistów a pozostałymi. Nie była to jednak dyskryminacja, lecz samoobrona większości przed próbą wyeksponowania się mniejszości. Padało często słowo, które nie wiem jakie ma znaczenie “ciucfasie” i to było właśnie “ostatnie słowo do bitki”. Wszystko to oczywiście działo się poza zasięgiem możliwości dostrzegawczych nauczycieli. Podobna sytuacja była wśród młodzieży dorastającej. Były – poważne trudności nawiązania obustronnych kontaktów. Uważano bowiem, że zadawanie się chłopaka z Dzikowca Starego z dziewczyną z Dzikowca Nowego nie jest wskazane. Na tym też tle powstawały awantury i bójki. Tylko odważny i silny mógł w takiej sytuacji dopiąć celu, niemniej z upływem czasu, powoli zacierały się te różnice zwłaszcza wśród młodego pokolenia.

Starsze natomiast pokolenie czyniło nadal próby odizolowania się, podtrzymywania własnych tradycji. Wielu z nich podczas pogawędek próbowało rozmawiać w języku niemieckim, nie zawsze to jednak poprawnie brzmiało. Przypomina mi się powiedzonko jednego starszego kolonisty, który zdenerwowawszy się na psa podkopującego się pod dom w czasie upału – krzyczał okładając go kijem “Ti psia hunt ti kipac dziuri pod haus”. Zresztą polszczyzna ich też była nie najlepsza. Można to było usłyszeć podczas przechodzenia przez ich osiedle najlepiej wieczorem w okresie letnim, kiedy to przed domami obok drogi wysiadali na ławeczce gwarząc i marząc, lub schodzili się kilku do jednego z nich, posiadacza prywatnej knajpki i tam przy kieliszku i przekąsce (kiełbasę z braku wagi mierzył sznurkiem) również gwarzyli. Miejscem ich schadzek był również sklep kółka rolniczego, mieszczącego się na skraju wioski. Tam można było coś kupić, pograć w kręgle na ziemnej kręgielni.

Posiadali oni również swego rodzaju instruktora rolniczego, którym był emerytowany pracownik byłego starostwa zrodzony w jednej z rodzin kolonistów. Przyznać trzeba, że jego praca instruktorska dawała rezultaty.

Zdawać by się mogło w latach 1935 – 1939 że ludzie ci zostali już niemal w całości wchłonięci w wir życia społecznego. Wielu z nich zdobywało wykształcenie, pewne pozycje społeczne, ba nawet wydawało się, że niektórzy z nich to patrioci polscy, działacze społeczni, organizatorzy życia kulturalnego w środowisku. Tak niestety nie było. Uwidoczniło się to z chwilą wkroczenia hitlerowskich żołdaków na nasze tereny. Okazało się bowiem, że istniała tam organizacja proniemiecka skupiająca starszych i organizacja młodzieżowa. Właśnie członkowie organizacji młodzieżowej witali w odległym o cztery i pół kilometra od Dzikowca w stronę Kolbuszowej lasu tzw. “Zwierzniku” koło Weryni chlebem i solą – naszym polskim zwyczajem pierwszych żołnierzy Wehrmachtu. Byli to młodzi ludzie zdawać by się mogło wrosli w społeczeństwo

polskie, tu urodzenie zresztą jak i ich ojcowie, a nawet dziadkowie, tu pobierali naukę w polskiej szkole, tu wreszcie ukształtowanie przez zwyczaje i obyczaje środowiska.

Tu nie zawaham się podać nazwisk tych młodych przywódców, a to: St. Legel i dwaj bliźniaczy bracia Grober.

Nazwiska te zresztą stały się głośnie nieco później podczas wielu włamań do zakrystii kościelnych, gdzie rabowano złote naczynia liturgiczne, które z kolei przetapiano a stop służył do wyrobu pierścionków, naszyjników, bransolet, za co można było dostatnio żyć. Co najgorzej, że matka jedynaka Legla w kosztownościach darowanych jej przez syna szła do kościoła i siadała tuż przy ołtarzu obok ławki tzw. “kolatorskiej” przeznaczonej dla wspomnianego już dziedzica Jana Paska Błotnickiego i gorąco się modliła chyba o to, by syn mógł jak najdłużej rabować. Niestety kres ten płożyli sami Niemcy, którzy udaremniili im przygotowany napad na bank. Zostali oni rozstrzelani, tym samym zanikła inna działalność tej organizacji na rzecz Niemiec.

Podczas zaniku działalności organizacji młodzieżowej, aktywizowali się starsi mieszkańcy Wildenthal na czele ze swym przywódcą tzw. “Zelelaiterem”. Rosły szeregi Volksdensdów, wyznających swoje żądania przypominających zmyślane krzywdy, których doznali od Polaków, szerzących propagandę ponemiecką o solidarności, gospodarności i wszystkich innych dodatnich cechach narodu niemieckiego. Robiło się im za ciasno i niewygodnie. Należało więc, poszerzyć swój lebensraum (przystań życiową). Dwór Błotnickiego przeszedł w ręce Niemców, więc nie stanowił przeszkody granicznej aby sięgnąć po gospodarstwa leżące na przedłużeniu w kierunku południa na wspomnianym już Zadworzu. Plany ich nabrały szybko realnych kształtów. Postanowiono umocnić istniejącą grupę Volksdensdów poprzez przeniesienie kilku rodzin z Raniżowa. Sprawa wkroczyła już w punkt szczytowy. Pewnego dnia dokonano oględzin tych gospodarstw i każdy budynek mieszkalny ponumerowano, malując na frontowej ścianie czerwoną farbą duże odpowiednio cyfry. Oznaczało to, że w najbliższych dniach należało się spodziewać wysiedlenia. Dokąd pójść. W każdym domu mieszkali już prócz właścicieli wysiedleńcy z północnych wsi powiatu jak: Wola Raniżowska, Wilcza Wola. Dotychczasową nędzę potęgował strach przed nieznanym. Wiadomo było, że gospodarstwo w całości musi pozostać dla nieproszonych gości. I tu nastąpiła nieoczekiwana chwila – Niemcy rezygnują z tych gospodarstw ze względu na mało urodzajne gleby. Przypominam sobie ten dzień ulgi, gdyż dom nasz miał też numer 37. Wybrano inną miejscowość – Puławską Wolę obok Mielca nazwaną przez nich Weizembring dokąd przymusowo, ale z wielką przyjemnością przewozili ich chłopci furmankami, oczywiście bezpłatnie. Pełni dumy, lecz nie bez żalu opuścili dotychczasowe gospodarstwa, udając się na pszeniczne gleby Puławskiej Woli. Z tym wydarzeniem wiąże mi się pewien obrazek. Jeden z uważających się za wielkiego obywatela niemieckiego, oczywiście będący na Volksliscie, nawiasem mówiąc niedorajda życiowa zawsze i przy każdej okazji podkreślał, że jest Niemcem, “ja jestem dość” (denstch).

Ten właśnie osobnik udając się Właśnie furmankom naładowaną rupieciami do Puławskiej Woli wraz z żoną przy pożegnaniu żona jego wypowiedziała te słowa, które stanowią tytuł tego skromnego artykułu “Czegośmy pożalowali tegośmy doczekali Alleluja”.

W ciągu ich pobytu na nowych gospodarstwach od czasu do czasu przyjeżdżali w odwiedziny do znajomych, czy krewnych, którzy nie sprzedali mimo wszystko za marmeladę i mąkę swojej Ojczyzny i “nie pożądali” cudzej własności.

Posłowie

O początkach niemieckich koloni w Kolbuszowskiem (wyjątek z pracy dr K. Skowrońskiego "Kolbuszowa i jej strony")

Rychło nadeszły po I rozbiórce cesarskie dobrodziejstwa. Nowy podział administracyjny zniósł nad Puszcą władzę sandomierskiego województwa i jego powiatów pilzeńskiego i sandomierskiego z czasów Rzeczypospolitej, a podporządkował ją cyrkułowi (dyrektoriatowi zrazu sandomierskiego – pilzeńskiemu i jego dystryktom leżajskiemu i tarnowskiemu, potem, od r. 1782, przeciął ją po linii dawnej granicy królewskich (rzeka Sanna) jeszcze z lat 1519, 24 i 28 na dwie części, włącznie do cyrkułów tarnowskiego – dawne włości Tarnowskich (Kolbuszowa) i Mieleckich: i rzeszowskiego – byłe włości królewskich z Sokołowem. Równocześnie z przeprowadzeniem granic pod wysoką protekcją samego "Majestatu" (ces. Józefa II) i dyrektora cyrkuł pilzeńskiego Józefa de Bauma poszło w ruch niemieckie osadnictwo w Sandomierskiej Puszczy, które da w rezultacie już w r. 1783 trzy płonki niemieckie na polskim odwiecznym pniu byłych podkolbuszowskich królewskich: w Dzikowcu Wildenthal, Ranischau obok Raniszowa i Sandlautern, Ostrowy Kolonię przy Tuszowskich Ostrowach, na najlepszych gruntach wójtowskich i plebańskich folwarków, na które, słusznie, "zęby ostrzyli" tutejsi chłopci.

Założył je Józef II w momencie największego napięcia germanizacyjnego kursu i polityki antykościelnej, znanej w dziejach pod nazwą józefińskiego systemu. O ich powstaniu zdecydowało rozporządzenie cesarskie z 17 września 1782 r. o rolniczym osadnictwie Niemców w Galicji. Asumpt do niego dały, prócz politycznych względów, sprawozdanie austriackich starostów o możliwościach kolonizacyjnych, bieda w Austrii i Niemczech, oraz inicjatywa dyrektora naczelnego sandomierskich dóbr kameralnych, Hladky'ego. Kolonizatorem stał się jego agent Johan Lehm, rozwijający system werbunkowy z bazy w Frankfurcie n/Menem, ojcem zarządu dóbr kameralnych "państw Raniszów i Bratkowice", 1/ przy spichrzu centralnym w Dzikowcu, z Wincentym Wolframem, gen. prefektem kamery ramiszowskiej, i Michałem Hekelem, jej kontrolerem, przy wybitnej pomocy niemieckich księży, osadzonych po usunięciu polskich w byłych parafiach monarszych Kolbuszowszczyzny, jak zwłaszcza ks. Józefa Hauptmanna w Dzikowcu. 2/ W dobrach kameralnych w Nisku był główny punkt zborny kolonistów. Już z wiosną 1783 r. przybyło ich 432 rodzin, 1663 osób płci obojga, z czego w trzech koloniach Kolbuszowszczyzny osiadła 1/4, rodzin 107 z 464 osobami, w tym 236 mężczyzn 228 kobiet. Rekrutowali się głównie z Platynatu, Wirtembergii, rzadziej z Prus i Austrii. Większość z nich stanowili katolicy (wbrew zamiarom cesarskim), tworząc tu osady: Wildenthal z 45 rodzinami (181 osób: 96 mężczyzn, 84 kobiet) i Sandlautern – Ostrowy z 14 rodzinami (48 osób: 24 mężczyzn, 24 kobiet) z Platynatu i Prus, gdy ewangelicy – reformowani z Wirtembergii stworzyli Ranischau z 48 rodzin, w tym 116 mężczyzn i 119 kobiet (og. 235 osób). Wszyscy niemal z zawodu byli rolnikami, z wyjątkiem jednej rodziny rzemieślniczej w Wildenthalu i 6 w Ranischau. Z Prus pochodziło 6 rodzin, w czym 3 osiadło w Ranischau, 1 w Wildenthalu ("Schaffroth aufuga ex prussia" /3), aż 101 rodzin z Rzeszy. Wszystkich z deutsche Altheimat wypędziła bieda, prawie wszyscy byli "nieuprzywilejowani", bez własnego majątku, (wartość minimum 200 zł. r.), z radością więc przybyli – w Kolbuszowskie, centrum Puszczy, które dla wielu z nich (Ingramy, Rudolfy, Strauby, Wildhirty) stało się ojczyzną. Organizacyjnie należały nowe osady do dóbr kameralnych sandomierskich "państwa Ramiszów i Bratkowice" z siedzibą

w Dzikowcu, pod względem kościelnym Sandlautern i Wildenthal włączono do parafii w Ostrowach i Dzikowcu po wprowadzeniu księży i kazań niemieckich, Maidhof-Ranischau tworzył gminę wyznaniową, kantorat, potem pastorat ewangelicki, przynależny już w r. 1789 do senioratu w Białej, co mieć będzie daleko sięgające skutki natury narodowej (polonizacja Sandlautern w Ostrowy i Wildenthalu w Nowy Dzikowiec i regermanizacja od 1933 r. Ranischau z działalnością osławionego wójta Raniżowa z czasów okupacji, Schmallenberga). Jako obce utrzymywały stałe kontakty z pobratymczymi koloniami w Mieleckim, jak z Hohembachem (Czermin), od którego był mniejszy, i z Schonangrem (Pławo), z którym się równały, co się przyczyniło do wielkiego, przymusowego exodusu wielu rodzin Volksdeutschów z kolonii podkolbuszowskich do Czermina i Pława, niechętnie znów przyjmowanych w Dzikowcu, Raniżowie i Ostrowach przy “powrocie” w r. 1944 w Odrodzonej Polsce. Pod względem wyglądu i gospodarczego charakteru miały być wzorowane osiedlami – Musterdorfer – dla rolniczej okolicy. Do tej roli rodziły się w cieplarnianej atmosferze. Nadział ziemi otrzymywały w gotowych gruntach byłych królewskich folwarków, zwykle równy dla wszystkich kolonistów, według miary wysiewu: 40 korczy (ok. 33 morgów – całe dziedzictwo), tylko dla bogatszych, 20 jako półdziedzictwo (ok. 16-18 morgów), i 10 korczy (ok. 8-9 morgów), co było zgodne z dawnym podziałem rolników na kmieci większych i mniejszych i zagrodników. W Kolbuszowskim i w Puszczy przeważał typ zagrodniczy, Maidhof-Ranischau osiadał na 605 morgach (348 ha, 917 korczy) 48 gospodarstwami, Wildenthal na 506 (291 ha, 768 korczy) 45 zagrodami, gdy jedynie, może przez wzgląd na gorsze grunty, Sandlautern – Ostrowy 14 gospodarstwami pełnymi na ok. 300 morgach (291, 170 ha, 351 korczy). Każdy “cesarsko - królewski” kolonista dostawał na koszt państwa dom ze stajnią i stodołą, (w Ranischau i Wildenthalu z drewna z kominami plecionymi i dachami ze słomy, w Sandlautern z drewna, lecz z kominami murowanymi i dachami z gontów), 2 konie lub woły, 2 krowy i świnie, nadto rolę obsianą nowymi zwłaszcza uprawami, ziemniakami, koniczyną czerwoną czy burakami. Puki domy nie były gotowe, lokowano osadników u okolicznych chłopów czy Żydów (kosztowało to 20 kolonistów zmarłych na choroby zakaźne w samym tylko Ranischau w r. 1784).

zagrody stawały bokiem – szczytem po obu stronach prostej drogi, w równych odstępach, z regularnymi bez względu na konfigurację gruntów prostokątami pól, tworząc zwarte rzędówki, co było bardzo na rękę niepewnie się czującym w obcym i niechętnym środowisku kolonistom. Świadczenia były minimalne: po 6 latach “woli” - niski czynsz gruntowy (80 kreuczerów z morgi i 1 zł reński z domu) ściągany przez własnych wójtów (Richter) i w zbożu, przy braku pańszczyzny, wymuszanej teraz od chłopów, byłych królewskich wybrańców, co pozwoliło rychło dorabiać się Niemcom majątku przy poparciu władz (tak znanym z okupacji dla Volksdeutschów), uprawianiu mniej znanych rzemiosł, jak garbarstwo, i nowych upraw ziemniaków, i górować nad autochtonami. Znajdowało top swój wyraz w rosnącym ok. 1815 r. poczuciu odrębności i “misji dziejowej” niemieckiej (dopiero od r. 1816 Wildenthal przestaje być Dzikowcem i przybiera nowe imię), w usuwaniu polskich księży, narzucaniu niemieckich kazań i przejmowaniu polskich szkółek parafialnych, które wraz z świątyniami na z góra pól wieku stały się narzędziem germanizacji mazurskiej i wybranieckiej Raniżowszczyzny i Puszczy. Z tym wszystkim kolonizacja niemiecka w tych stronach nie udała się nazbyt. Mimo wysokie protekcje, ziemię gotową i państwową pomoc, okolice nawet dla biednego chłopca niemieckiego nie była “Schlaraffendem”, jak go zapewniano, dlatego rychło ustał dopływ świeżych kolonistów i nawet lokacja Sandlautern – Ostrów nie doszła do pewnego skutku (tylko 14 rodzin). Zarząd dóbr sandomierskich musiał, prawie równocześnie z osadnictwem niemieckim, przystąpić na grunty gorsze, byłych karczowiskach Puszczy Sandomierskiej w Kolbuszowskim do kolonizacji “nacjonalistami”, polskim chłopem, żywiołem tubylczym, mimo niechęci cesarza Józefa II i administracji zaborczej. Dała ona o wiele lepsze rezultaty niż niemiecka w okolicy Kolbuszowej.

Wpływ na nią, jak i na poprzednią, administrator kameralnych dóbr, Hładky. Na jego to wniosek Józef II jeszcze w 1782 r. dopuścił dla “dobrych, pracowitych i gospodarnych ojców rodzin, którzy mają liczne dzieci” 4/, osadzenie na rozparcelowanych folwarkach i pustkach poleśnych, aby zapobiec zbiegostwu byłych królewskich chłopów za Wisłę “do Polski” i ściągnąć “republikan” do Galicji. Z pewnością grał tu wielką rolę (a może i cały pomysł kolonizacji Hładky'emu podsunął przykład podobnej akcji ks. Marii z Lubomirskich Radziwiłłowej, rozwódki po “Panie Kochanku”, z r. 1779 obok Widelki i Kupna, która “aby powstrzymać poddaństwo od przechodzenia w obce, zakordonowe kraje”, cały najlepszy folwark w Kupnie rozparcelowała między swoich chłopów 5/, nie bez wspomnień romansu z autorem “Pawła i Wirginii”, Bernardinem de Saint Pierrem, nim odda, wkrótce, armaty chłopskiemu Naczelnikowi Kościuszcze). Tak czy owak osadnictwo miejscowym elementem w dobrach kameralnych w Kolatorskiem już koło 1783/4 r. stało się faktem. Nie przysporzyło ono nowych osad, jak niemieckie, jego regułą było powiększenie istniejących ziemią okolicznych folwarków i pustek i przydzielanie polskich rodzin chłopskich ze wsi leżących w pobliżu, osadzanych na półdziedzictwach (19 korcy – ok. 16 morgów), wyjątkowo na dziedzictwach całych, w domach niczym nie różniących się od innych.

Jego rezultatem było powiększenie w r. 1784 gruntami folwarków wsi: Lipnica o 12 rodzin, Wola Ranizowska o 16 rodzin i Mazury aż o 40 rodzin, gdy na pustkach i gruntach leśnych osadzano niemal z nowa Laszki – poręby Dymarskie z 37 rodzinami (35 – 19 korcy, 238), Bukowiec 86 rodzin (wszystkie na rolach o 19 korczach wysiewu, razem 1634 korcy, przeszło tysiąc morgów), a zwłaszcza Wola Rusinowska, wspaniała rządówka ze 113 rodzinami na posiadłościach o 19 korczach wysiewu (łącznie 2247 korcy, ok 1600 morgów). Niebezpieczeństwa Laszki te nie przedstawiały żadnego dla polskośći tych stron, oznaczały owszem przyrost żywołu swojskiego i jego wagę w nowym procesie gospodarczym – parcelacji, oraz całkowita kapitulacja niemczyzny, której troską największą będzie obecnie utrzymanie swej narodowej odrębności w lackim morzu Sandomierskim. Stan ten przyspieszy rychło likwidacja dóbr kameralnych w dobie finansowego kryzysu Austrii w czasach napoleońskich wojen – na rzecz prywatnych nabywców, Polaków. Pewien wyłom zrobiły już darowizny cesarskie.

W byłych królewskich tutejszych pierwsza ćwierć XIX wieku przyniosła szereg przemian. Wpłynęła w nie nowa fala właścicieli, od “zasłużonych” dla Austrii, jak Watzelweg, który na darze resztówki folwarku w Widelkach od cesarza Józefa II przez rugi chłopów – nabywców stworzył znaczny majątek Germanówkę, poprzez raczej obojętnych, jak bar. Brunicki, jego spadkobierca w Widelkach, po dzielnych patriotów – hr. Rejów z Przeclawia i innych. Inna się też tworzyć jąła konfiguracja własności. Obok głównych ośrodków Ranizowa i Zielonki, gdzie gospodarzyć zaczęli Matczyńscy Jastrzębce, rosły do godności siedziby wielkiego i – głośnego centrum Widelki. Główną przyczyną przesunięć – stały się małżeństwa: bar. Brunickiego z Widelki z Joanną Jastrzębic Matczyńską, dziedziczką Ranizowa i Zielonki, przez które Brunicki został jednym z największych potentatów Galicji, i Władysława hr. Reja z Przeclawia z ich córką, Marią (dedykował jej jedno opus – Szopen), przez co Reje połączyli Widelki, Raniszów, Zielonkę, aby je potem oddać, znów przez małżeństwo, w ręce innych rodzin, np. Tyszkiewiczów. W tym także czasie Majdan przestał być Kameralnym i został Kluczyckich później ich zięcia, Hieronima de Altmonte bar. Battaglii, w końcu Dolnośląskich z Baranowa, 6/ Dzikowiec Pasek Błotnickich, większość Majdańszczyzny rodziny Kozłowieckich ze stylowego, przez nich stawianego dworu – pałacu w Hucie Komorowskiej. W podobny sposób przez dar cesarski czy sprzedaż w latach wielkiego bankructwa Austrii po wojnach z Napoleonem (1811 –

1818) były dobra monarsze, potem kameralne, przeszły całkowicie w ręce najpierw zauszników Austrii, z czasem, już raczej przez małżeństwa, od nich w posiadanie Polaków, choć jeszcze ciągle, niestety, nie w ręce, tych, którym najwięcej się należały – chłopów.

Zmiany te niosły tym stronom poważne konsekwencje. Wyjazd urzędników i księży niemieckich, zajadłych germanizatorów, z zarządów likwidowanych włości, zadomowienie się w ich miejsce właścicieli z polonizujących się lub polskich rdzennie rodzin, z miejsca zahamowały dobrze już zaawansowaną germanizację tutejszych królewszczyzn.

Polskiemu chłopstwu miejscowemu, który dotąd samotnie walczył opadnięty przez Niemców z dołu (kolonistów) i z góry (urzędników) o ziemię i polskość, przybyły w sukurs parafie i dwory, “centra polszczyzny”. Budowa ich w Dzikowcu, Hucie, Ostrowach, Komorowie, powrót wygnanych księży polskich, dzieło nowych kolatorów, na stare parafie monarsze, życzliwy i czynny ich stosunek do ludzi i spraw narodowych, ożywiły jak w Dzikowcu ludność miejscową, byłych królewskich wybrańców. Serafiny, Kuczyńscy, Leśniowscy, Korzeniowscy, Oźgi, Wawrzykowscy, pożenieni pochopnie z niemieckimi kolonistównami, ok. 1830 zaczynają powoli, przy dzieciach następnych, zarzucać imiona Gerhard, Konrad, Fridrich i wracać do Jędrzejów i Michałów, 7/ którzy już wkrótce, po zarządzeniu o szkołach narodowych z doby “Wiosny Ludów” uczyć się będą, wśród ciężkiej walki rodziców z kolonistami o szkołę polską w Dzikowcu, Ostrowach, Raniżowie, w języku ojczystym, odwiecznym tych stron. Atmosfera lat 1831, 1833 (powstanie Zaliwskiego z bazą w Kolbuszowej) “Wiosna Ludów”, 1863, który wraz z całą Polską ogarną i Kolbuszowskie, rychłe nastanie konstytucyjnej ery w Galicji wraz z instalacją polskich urzędników na własne starostwo i urzędy w Kolbuszowej po r. 1867 mocno posunęły naprzód sprawę odrodzenia polskość i narodowego uświadczenia w byłych dobrach Rzeczypospolitej w powiecie, usuwając w cień niemczyznę józefińską, która straci w tym czasie przeszło połowę ludności (56%) w porównaniu z liczbą przybyłych, by w r. 1921, w wolnej już Polsce, dojsć do 84% straty, w r. 1931 do blisko 100%, nim w dobie “nieagresji” Niemiec hitlerowskich nie zacznie znowu rósć, dzięki “Volksverbaudowi (starsi), “Jungdeutsche” (młodzi) i działacze typu osławionego Schmallenberga (gdy starostwo i policja sanacji pilnowała tylko działaczy chłopskich do absurdalnych cyfr niemieckich statystyk. Na czoło wysunęła się odwiecznie polska ludność mazurska, zwłaszcza Raniżowszczyzny, biorąc w swe ręce batutę budzącego się w żywiolowy sposób pod koniec XIX wieku ludowego i narodowego ruchu w Kolbuszowskiem, aby kiedyś, za okupacji niemieckiej, uczynić u siebie, w Staniszewskim i Mazurach podziemny ośrodek bojowej grupy “Iskra” Gwardii Ludowej, a w Kolbuszowej i Raniżowie, Sokołowie “Kefir”, bazę armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. W wolnej Polsce królewszczyzny były, rodzona ziemia chłopskiego syna, bohatera spod Marcinkaniec, Stanisława Serafina, poważna baza postępowego ruchu ludowego w Rzeszowskiem, otoczyła mocnym uściskiem Centralny Okręg Przemysłowy i cofającą się w tragicznym wrześnie polską armię “Kraków” gen. Boruty Spiechowicza, jak dawniej puszcza tutejsza, do trzech gór Królewskich: pod Komorowem, Rejowcem, Widelkami wieńcem szerokim, jak okiem sięgnąć przypadła – Rzeczypospolitą. W czasie okupacji byłej Królewszczyzny w zbrodniczy sposób wysiedlone, jak ostrowy z kolonią 8/, Wola Raniżowska czy Majdan i zamienione na “Trupennuebungplatz – SS Sued, tereny ćwiczeń i prób broni odwetowej V1 i V2 z wyrzutni w Bliźnie (tajemnicę jej wykradziono właśnie w Puszczy Sandomierskiej, “szaf i krów” moździerza Thor, kal. 615 mm, (nim poszedł pod Sewastopol), na obóz wojskowy “Dęba”, jedną z baz wypadowych przeciw ZSRR pod wodzą osławionego marsz. V. Paulusa, “zdobywcy” Stalingradu, na chłopski postrach “Liegenschafty” w Lipnicy, Majdanie, Raniżowie, Krzątce, strzeżone przez dwa karne obozy w Pustkowie i Hucie Komorowskiej, i na grób 10 tysięcy żołnierzy radzieckich – jeńców pod Majdanem, stały się ośrodkiem chłopskiego oporu, akcji “Burza” i ożywionej działalności

partyzanckiej.

Przypisy

1. Nazwa w Księdze wjejskiej Widelki.
2. Założył on osobne metryki dla Niemców w r. 1802.
3. Liber Baptisatorum – dla Niemców. Archiwum par. Dzikowiec.
4. Okólniki urzędowe do par. w Archiwum Kurii Bis. w Tarnowie i Przemyślu.
5. Oryginał z daru sołtysa Niezgody, oddał autor Wojewódzkiego Muzeum w Rzeszowie przez wiz. dr Świeżowicza.
6. Księgi metryk w Archiwum parafii Majdan Królewski. Akta z parafii Ostrowy zabrali Niemcy za okupacji.
7. Akta parafii Dzikowiec.
8. W Ostrowach Kolonii nikt nie przyjął Vokslisty. Wysiedleni stąd byli w 14 gromadach (Stanisław Ginter nazwał psa “Hitler”. (relacja ks. kan. Litwińskiego, proboszcza parafii OstrowyTuszkowskie).

W S T Ę P

“Ravensbruck”

Zarząd Towarzystwa Opieki nad zabytkami w Kolbuszowej, w poszukiwaniu materiałów, w postaci pisarzy wspomnień z czasów drugiej wojny światowej zwrócił się do pani Janiny Augustynowicz z Kolbuszowej, która udostępniła nam swój pamiętnik. Liczy on 149 stron maszynopisu, czyta się z wielkim zajęciem, wprowadza bowiem czytelnika w niezapomniany wielu ludziom świat grosy i niezawinionych cierpień, nawet dzieci w obozie, jest dokumentem autentycznym napisanym przez osobę, która to piekło przeżyła.

Zrozumiałym jest, że w ramach naszych możliwości, w skromnym biuletynie nie można drukować całości. Podajemy więc kilka fragmentów pamiętnika pani Janiny, uznając że w niniejszym wstępie powinna być podana jego geneza.

W dniu 25 lipca 1944 r., tuż przed swoją ucieczką z terenu Niwisk, hitlerowcy aresztowali w tychże Niwiskach pięć osobową rodzinę pp. Augustynowiczów. Byli to: Henryk Augustynowicz, leśniczy z Niwisk, jego żona Janina, nauczycielka oraz troje dzieci, Ewa, Andrzej w wieku 14 – 13 lat i Jacek liczący lat 4. W tych dniach uciekł z obozu w Pustkowie – szwagier pana Augustynowicza – nie żyjący już dziś dr Józef Frączek. Niemcy, mszcząc się za tę ucieczkę, aresztowali rodzinę Augustynowiczów, ponieważ pan Henryk ręczył za to, że szwagier z obozu nie oddali się.

Cała rodzina wywieziona została do Pustkowa, stamtąd do Ravensbruck. Tutaj zostawiono panią Augustynowicz z dziećmi, Henryka Augustynowicza wywieziono po pewnym czasie do Sachsenhause, gdzie przebywał aż do dnia klęski, w warunkach niezwykle trudnych. Tam też nabawił się

pan Henryk ciężkiego reumatyzmu, który leczył cały szereg lat powojennych i który był przyczyną jego przedwczesnej śmierci w roku 1961. śmierci, poprzedzonej ogromnymi, niedającymi się opisać cierpieniami. Jeden z wielu – nieznanego szerokiemu ogółowi – pracujący w czasie okupacji w konspirze, jeden z tropicieli tajemnicy budowy pocisków V1 i V2, za co wciąż groziła mu śmierć, bohater, którego w swoich spisach ominęła historia, a wspominają tylko najbliżsi. Pani Janina została z dziećmi w Ravensbruck. Męczyła się tam kilka miesięcy, troska o dzieci, chęć utrzymania ich w jakiej, takiej kondycji – zabierała jej siły życiowe. I stała się wtedy rzecz dziwna: matka, której największą troską i bólem było to najmłodsze 4 – letnie dziecko – właśnie za sprawą tego dziecka doznała w obozie wiele pomocy i opieki.

Po klęsce hitlerowskiej, pani Janina znalazła się z dziećmi w Szwecji i tutaj szczęśliwym zrzędzeniem losu znalazła swojego męża. Razem już, po pewnym czasie, potrzebnym do podleczenia pana Henryka powrócili do Ojczyzny. W tych latach pani Janina pisała pamiętnik, obszernie wynotowując wszystkie zdarzenia życia obozowego w Ravensbruck i życia na wolności w Szwecji.

Dzisiaj po latach prawie 25, kiedy dorosło już nowe pokolenie, które wojnę i wszystkie jej tragedie, zna tylko z opowiadań i lektur warto przypomnieć jeszcze jeden głos oskarżający owe straszliwe czasy. Dzieci pani Janiny są dorosłymi ludźmi – najmłodszy ten 4-letni więzień, oznaczony w obozie cyfrą 47501 jest od kilku lat lekarzem w Kolbuszowej. Tragedia lat obozowych zbladła i straciła na ostrości w ich pamięci. Nigdy jednak nie zapomną głosu, szykan moralnych tortur, doznanym w obozie i innym też mówić będą “pamiętaj”.

Janina Augustynowicz

Fragment Pamięnika

Jacuś w Ravensbruck

Apele i "Opieka nad dziećmi"

Co za straszliwa zhora. Na apelu musiał być każdy, kto tylko był zdolny do poruszania się. Jacuś też chodzić musiał i tylko trzy lub cztery razy w czasie silnych mrozów, kiedy obłąkana zostawała na bloku, zostawał z małą Iruśką. Dzieci z wolna do tego nawykły, zrywane ze snu, gdy na świecie panowała ciemna noc, dawały się ubierać bez sprzeciwu i dreptały obok matek. Wystawaliśmy na nim długo i marzyły do momentu, aż wszystko uzgodnili i sformowali do odmarszu komanda robocze. Apele dwugodzinne nazywano krótkie, a najdłuższy, na którym męczyliśmy się z dziećmi, trwał chyba z dziesięć godzin. Gdy między szpalerami przechodzili "bogowie" i "boginie" życia i śmierci, padała komenda "Achtung" i nie wolno było ani drgnąć.

Gdy od strony Forne pojawiła się Binz w otoczeniu SS-manów i SS-manek z psem, wzdłuż lagrowej przechodził z ust do ust szept: "Binz, idzie Binz" - groza wiała od tej postaci sadystki i tysiące kobiet zamieniało się w słup soli. Każda z nas wiedziała, jak obchodziła się z tymi, które wyłamywały się z karności obozu. Była najgorszą wśród złych, bez krzty ludzkich uczuć.

Pamiętam też inną Aufsejerkę, która na apelu uwzięła się na mnie i gdy zgięłam się lub oderwałam ręce wyciągnięte na baczność wzdłuż ciała, doskakiwała i biła mnie pejczem.

Jacek już musiał wiele rozumieć, bo gdy nadeszło przeklęte "Achtung", stał spokojnie i cicho, gdy minęło, a nam trzeba było stać i nie łamać szeregów, kręcił się tylko, kuczał, ale czynił to wszystko prawie w miejscu. Wiedział, że nic więcej nie wolno. Nieraz po apelu zbierano te, które padały z wycieńczenia lub marły, spędzone w przedśmiertelnej gorączce, aby rachunek grał. Po lagrze krążyły wiersze z bezimiennej poezji obozowej, z których ten o apelu przytaczam:

Nad Ravensbruckiem słońce wschodzi
Różową smugą jasną,
Stoimy w rzędzie starzy i młodzi,
A w górze gwiazdy gasną.

Stoimy tam w rannym apelu
Codziennie, w pogodę czy w słotę,
I tylko widać na twarzach wielu
Rozpacz, ból i tęsknotę.

A może teraz szarą godziną
w mym domu dziecko płacze,
Może mnie matka moja wspomina?
Czy ja ją jeszcze zobaczę?

Miło jest marzyć – że może teraz
Kochany o mnie myśli,
a jeśli... nie daj o dobry Boże,

“Oni” po niego przyszli?...

Innego rodzaju apel przed blokami, to “selekcja”. W czasie mojego pobytu w obozie przesłama ich kilka. Aranżowane były podstępnie i różnie. Początkowo puszczano pogłoskę, że osoby stare i chore, niezdolne do pracy, przeniesione zostaną w lepsze warunki. Miały iść na “Jugendlagier”. Był to obóz dla młodocianych Niemek skazanych za prostytutkę, za romanse z Polakami na wolności, komunizm, kradzieże itp. Selekcję przeprowadzała komisja z ss-manów, lekarzy, oberinki lub jej zastępczyni. Z moich najbliższych sąsiadek, gdy byłam jeszcze na 14-ce (blok nr 14), znalazły się na Jugendlagrze dwie siostry nauczycielki pp. Andrzejewskie z Wilna, lub Gronda, tego już dobrze nie pamiętam, oraz stara kobiecina spod Rzeszowa, nijaka Jamróz. Ich miejsce na łóżkach zajęła zaraz pani Bombowa z dwoma córkami. Wszystkie trzy pracowały w szwalni. Pani Bombowa została aresztowana z czterema córkami, z których dwie wywieziono na transport, a na 14-ke przyprowadziła ze sobą Martę i Danusię. Marta była w wieku Ewusi. Matka, bojąc się o Martę i ją zabierała do pracy.

Biedne nasze sąsiadki z łóżek, idąc na Jungenlagier, cieszyły się, że będzie im lepiej. Jak później dowiedziałyśmy się, wszystkie “przeniesione w lepsze warunki” zostały zagazowane i poszły do komina. Selekcje przed blokiem odbywały się w ten sposób, że stłoczone w rzędach w uliczce między blokowej przechodziłyśmy pomału po pięć, a czasem tylko po jednej przed komisję.

Idąc, trzeba było wyciągnąć ręce przed siebie dla stwierdzenia, czy się nie trzęsą, albo wysoko podkasać spódnicę, czy na nogach nie ma wrzodów. Wiele kobiet cierpiało na to, z braku witamin w organizmie, osoby stare, suche i z owrzodzeniem były oddzielane.

Jakoś szczęście mi dopisywało, bo chociaż byłam bardzo chuda, przechodziłam przez selekcję szczęśliwie. Wszystko odbywało się w ciszy i pozornym spokoju.

Tragiczne sceny miały wówczas miejsce, gdy oddzielano do matek córki – a takich było wiele, te wry3wały się od pozostałych i szły z matkami. Te oddzielone wywieziono również na “Jugendlagier”, który stał się przedsionkiem śmierci, gdyż stąd szły do komory gazowej, a potem do komina.

Przed selekcją kobiety starały się wyglądać jak najlepiej i stąd było wielkie zapotrzebowanie na czerwoną farbę. Z braku kredki, kobiety malowały się czerwonym papierem lub bibułą. Skrawki tego “kosmetyku” zdobyłam przed wyjściem na selekcję, malowałam się dyskretnie do szyby.

Często przeprowadzała selekcję wysoka Niemra – zastępca komendanta obozu. Była to wysoka blondynka, miała duże wypukłe oczy, zawsze z lekka przymrużone i przypominała mi tygrysa przed skokiem na ofiarę. Nosiła się wyniośle i na wszystkich patrzyła z góry. To kobieta bez serca, decydująca o życiu innych, utkwiała mi w pamięci.

W początkach stycznia rozstrzygnęła się sprawa przydziału pracy dla mnie i Ewy Karlińskiej. Wiedziałyśmy już o tych staraniach naszych dobrych duchów opiekuńczych i byłyśmy pouczone, jak się zachować na ogniowej próbie. Wpierw musiałyśmy się zgłosić na “Forne” zameldować się i odpowiadać śmiało po Niemiecku na stawiane pytania.

Najczęściej: “ja” lub “nein”, trzeba było tylko rozumieć, o co chodzi. Niemiecki znam na dostatecznie, poduczyłam się też niezgorzej w obozie, więc doskonale rozumiałam, czego ode mnie wymagają.

Oczywiście zostałam przyjęta, jako znająca język niemiecki i francuski. Tak więc obie z Ewą dostałyśmy się na blok 32, jako pomocnice sztabowej. Na ten blok zostałam przeniesiona sama,

Ewusia z Jackiem zostały na 14-ce. Był odtąd na jej wyłącznej opiece przez przeszło 2 miesiące i rolę mamy przejęła się bardzo. Będąc tam sama, dużo przeżywała i stała się bardzo nerwowa. Bała się o Jacka i o siebie, gdyż łapanki w obozie były coraz częstsze i w ogóle zaczęło dziać się coraz gorzej, racje chleba zmalały, a pomoc w postaci zapomóg dla Jacka z wolna ustawała.

Dawne znajome, jak pani Irusia Bogacz (z Częstochowy) ubywały, kobiety ciągle się zmieniały, wiele też było takich, które sądziły, że Jacek otrzymuje od tyłu osób pomoc, że zbyteczne jest coś jeszcze dawać. Urwało się i pupil był czasem godny, co Ewusię doprowadzało do strachu o dziecko. Ale Jacek jak Jacek – dziecko jest dziecko, otrzaskany z obozem zaczął się usamodzielniać i chodzić tam, gdzie wiedział, że coś dostanie. Był przy tym tak rozbrawający swą rezerwowością, że organizacja na własną rękę coś mu dawała, bo uciekał Ewusi i chodził po obozie. Trafiał nawet do kuchni i chwalił się tym, że dozorujący Niemiec dał mu plaster kiełbasy lub kromkę chleba. Czasem “organizator” przynosił kilka surowych ziemniaków. Robiło się z nich po starciu na zimprowizowanym tarku “pyszna” zupa. W gotowaniu narastało tego dużo, a było gęste i słone. Na tej właśnie słoności polegała pikanteria tej “wykwintnej” potrawy.

O sól było trudno, lecz te dostawałam od kucharek. Gotować można by na piecyku w “Tagesraumie”, gdzie stał żelazny piecyk. Opału nie dawali i więźniarki organizować musiały opały w czasie pracy i przynosić na plecach. Tego na bramie nie odbierali, przynosiły więc chrust, kawałki węgla, drewna i podpałkę. Gdy piec był czynny, można było chleb przypalać na węgiel, który leczył “durchfall”, a także gotować, gdy było co.

Spalony chleb rozcierało się flaszka, jak wałkiem na podłodze na proszek i zażywało, jak lekarstwo. Jacek też chodził na organizację opału i pewnego razu idąc z kuchni, wpadł w ręce oberinki. Niósł cztery brykiety, owinięte w papier z margaryny. Nie oglądając, co niesie, zabrała organizatora na “Forne” i tam wypytywała się go, kto mu dał margarynę. Powiedział, że nie ma margaryny, a po rozwinięciu ludzających kostek, wybuchła salwa śmiechu i winowajcę puścili wolno. Opowiedziała mi o tym znajoma, która była świadkiem tego zajścia.

Blok 32 odnowiono, wprawiono okna, kobiety w nim umieszczone, przeniesiono na inny blok. Do sypialni sprowadzono te, które czekały na rozwiązanie. Jadalnie zmieniono na sale dla chorych po połogu i pomieszczenie dla noworodków, oddzielając je od matek, szafami. Stało tam dziewięć łóżek i każde na poprzek było założone niemowlętami od stóp do głów. W tym bloku objęłam swoją funkcję.

Już w pierwszy dzień wiele było położnic i niemowląt, a sypialnia nabita ciężarnymi.

Każda czekająca na rozwiązanie starała się przygotować coś na przyjście dziecka. Były takie, że miały prawdziwe beciki, poszeweczki z koronkami i pieluszki, ale to były wyjątki. Na ogół dzieci owijane były w szmaty, lub kawałek szarego koca. Jak na ironię, matki karmione brukwią i gorzką kawą, oraz porcjami obozowego chleba, wydawały na świat śliczne, pulchne dzieci.

Były wśród nich rude, czarne, a wszystkie bardzo ładne.

Poród odbywał się na Rewirze. Położnice były dowożone z powrotem na blok, codziennie rano na dwukołowym wózku z desek, z oparciem na nogi, na noszach za nami równo ułożone śliczne, różnorakie łebki, jedne śpiące, inne wrzeszczące.

Po połogu chora leżała na dolnym łóżku, następnie w miarę jak przybywały nowe, przynosić musiała się na piętro. Lekarza, ani pielęgniarki tu nie było, było tylko kilka pielęgniarek różnej narodowości. Podawały matkom dzieci do karmienia i dwa lub trzy razy na dzień przewijały maleństwa. Bardzo chorym, gdy te zejść nie mogły, podawały basen. Obsłużyć wszystkie i na każde zawołanie było im trudno i chore w przeważającej większości obsługiwały się same. Niejedna w obozie miała przyjaciółkę, która gdy tylko mogła, wpadała, przynosiła, jeżeli sama miała coś do jedzenia, opatrunki w różnej postaci i oddawała drobne usługi. Jako chore i matki,

przechodziły tu kobiety prawdziwą gehennę. Czulość nad nimi objawiła się tym, że zamiast kawy na rano dostawały pół litra zupy mlecznej lub coś podobnego go żurku. W ciągu dnia dostawały brukiew, czyli to samo, co zdrowe. Dzieci żyły i jednakowo wyglądały dopóty, dopóki wystarczyła im mała ilość pokarmu z piersi matki. W miarę, jak dziecko pragnęło więcej, a nie stawało go w piersiach matek, dziecko poczynano się zmieniać. Buzieńka robiła się mniejsza, dziecko łkało, cichło i umierało. Przeciętne życia nieszczęśliwych istotek nie przekraczało 4-6 tygodni. Ze ślicznego dziecka robił się staruszek, z malutką, wydłużoną, pomarszczoną i obolałą twarzą.

Do umywalni wchodziłam ze strachem i ściśniętym sercem. Leżał tam w kącie stos stos małych trupków, staruszków i staruszek z pomarszczonymi czółkami i ustami w grymasie z głodu i bólu. Te, które marły wcześniej, jeszcze pulchne i nie zestarzałe, leżały z zaciśniętymi pod bródką piąstkami, jak gdyby spały.

Władze obozowe dokarmiały dzieci. A jakże. Jedną z moich funkcji było chodzenie dwa razy dziennie po mieszkankę dla niemowląt. Podawałam duży, aluminiowy dzban i czekałam za drzwiami, aż go tam gdzieś napelnia. Z odebraniem biegłam pędem z powrotem, aby nie ostygło. Mimo pospiechu donosiłam ledwo letnie, a zanim płyn został rozlany do butelek i doszedł do dzieci, był zimny. Na bloku był wprawdzie piecyk, ale nie zawsze był opał. Jego mieszkanki nie wychodziły do pracy i nie miał go kto organizować. Czasem, gdy coś się zdobyło na samym obozie, w piecyku paliło się i podgrzewało jedzenie, najczęściej jednak grzały je matki własnym ciałem. Jedzenie dla dzieci było smaczne i słodkie i przygotowane je w czystych warunkach, bo w kuchni rewirowej. Stwierdziłam to przypadkowo, ale stwierdziłam też i co innego. Raz, czekając długo na dzban, ośmieliłam się wejść do kuchni, gdzie czysto ubrana kucharka, czy pielęgniarka, znalazła do kotła diety, a następnie podeszła do kranu i dołała ponad 1 litr zimnej wody. Załatwiając mnie, nic sobie nie robiła z mojej obecności i swobodnie rozmawiała z kimś drugim przez uchylone drzwi do następnej sali. Nie rozumiałam jej, nie była to więc ani Polka, ani Niemka, jak gdyby nic, podała mi dzban i odeszła w drugą stronę do swej roboty. Teraz już nie dziwiłam się chorowaniu dzieci na żołądki, tego należało się spodziewać. Nie jestem też pewna, czy na blokach za szafami nie dublowano tego chrztu niemowlęcej mieszkanki. Matki tego dopilnować nie mogły, wstęp tam był każdej wzbroniony. Gdy mogły już chodzić, przestawały się liczyć jako chore i matki, odchodziły na inny blok, bo wtedy dzieci już nie miały.

Każda starała się leżeć na skrzydle baraku dla położnic jak najdłużej, inaczej bowiem musiały jak zdrowe wstawać na apel i stać co najmniej dwie godziny na mrozie.

Marły i matki. Raz na tydzień dzieci były kąpane. Przynoszono wówczas z kuchni dwa lub trzy kotły ciepłej wody. Wanienska stała obok piecyka, w którym się wówczas obowiązkowo paliło. Obok leżały maleństwa na stole, na którym je mydłono i wycierano.

Tuż przy piecyku było gorąco, lecz pielęgniarsce nachylonej nad wanienką wychodziła para z ust. Trudno się dziwić, że po takiej kąpieli dzieci chorowały na zapalenie płuc i umierały. Wprawdzie dzieci z objawami choroby zanoszono na rewir pod opiekę lekarską, ale to je nie ratowało. Przebywały tam krócej, lub dłużej, niektóre wracały jako zdrowe po to, aby umrzeć na oczach matki. Gdzieś pod koniec lutego przeniesiono tę fabrykę aniołków w sąsiedztwo rewiru do bloku trzeciego. Samo sąsiedztwo szpitala nic nie pomogło i przez ten krótki a zarazem długotrwały okres porodów setki dzieci urodziło się i zmarło.

Wśród wielu matek zapamiętałam młodą warszawiankę, dentystkę lub żonę dentysty. Opowiadała o sobie i o tym, jak bardzo ubolewali z mężem, że nie mają dziecka. Mijały lata, i dziecka nie było i oto przed powstaniem (warszawskim) spotkała ich radość, że jednak będzie. Warszawa płonęła, chciała ratować siebie i dziecko i przybrała w białą chusteczkę. Oszukana, jak tysiące innych, znalazła się w baraku w Ravensbruck i tu urodziła syna. Patrzyła na umierające

dzieci i za wszelką cenę pragnęła uratować swoje. Po porodzie zaczęła niedługo chodzić i pielęgnować dziecko, organizowała dla niego mleko w proszku, ale i ono spotkało ten sam los, jak setki innych.

Dziecko rozchorowało się i konało bardzo długo. Szalała z rozpacz, każdy ruch rączką, każdy grymas maleńkiej buzi brała za powrót do życia. Raz nad niem płakała i rwała włosy, to znów wołała: żyje! Żyje! - potrząsała przechodzące kobiety i mówiła: "prawda, że żyje?", "prawda, że żyje?" - dzieciątko leżało na końcu stołu w agonii, a nad nim szalejąca matka. Z drugiej strony półtorametrowego stołu ja karmiłam Jacka chlebem i czarną kawą.

Taka scena rozgrywa się na stole, a pod stołem na podłodze cztery trupki – staruszki. Dzieciątko na stole zmarło, poszło pod stół jako piąte, matka, jak wiele innych szalała z rozpacz.

Innym razem, gdy Ewusia do mnie przyszła, była świadkiem tragedii młodej matki Cyganki. Kochającej obłędnie swoje śniade maleństwo. Miało już około 2 miesięcy, gdy matce zaczęło brakować pokarmu. Organizm nie mógł podołać zadaniu i zawiódł, a głodne dziecko zaczęło płakać, chorować i niknąć w oczach. Dokarmiła go mieszanką i swym porannym żurkiem, ale pokarmu z piersi matki nic nie molo zastąpić, nie mogła też w tym okresie życia przysłowiowa odporność. Z trzeciaka pod sufitem, gdzie była ulokowana, dochodziło tylko ciche łkanie, czasem głośny bolesny płacz, gdy maleństwo cierpiało silne bóle. Oddała ze siebie wszystko, aby go ratować, oddałaby mu też swój chleb i brukiew, gdyby to było możliwe w jego niemowlęctwie. Niestety, - tym nakarmić dziecka nie mogła, a dla niej samej za mało tego było, aby własny organizm utrzymać w sprawności i zdolności do wytwarzania potrzebnej ilości pokarmu. Schodziła, biegała to tu, to tam, szukała żeru, jak każda godna samica i wracała do maleństwa głodna i z rozpaczą. Oszukiwała dziecka próżną piersią i popadała w coraz większą rozpacz. W dniu, w którym przybyła Ewusia, rozpacz jej dosięgała granicy obłędu. Zrozumiała, że i jej dziecko umrzeć musi, jak setki innych. Nie mogąc pogodzić się z tym, zadusiła je własnymi rękami i sama targnęła się na swe życie.

Pewnego dnia, jedna z kobiet starsza, chuda była i bardzo wynędzniała, dostała silnych bólów, zaczęła wrzeszczeć i płakać i prosić o pomoc. Towarzyszki niedoli, jedne ją uspokajały, inne, a takich było więcej – oburzały się -, że nie daje spać. Patrząc na nią, nikt nie posądzał ją o ciążę, ginął gdzieś poważny stan w jej chudości, okrytej ubiorem nie na miarę. Prędko, jak tylko mogłam, pobiegłam na rewir, skontaktowałam się z lekarzem i pielęgniarką i powiedziałam co dzieje się na bloku. Śpieszyłam kogo mogłam i jak mogłam i w końcu uzyskałam to, że wysłali ze mną na blok akuszerkę. Ponaglałam ją w drodze, więc biegliśmy pędem. Na miejscu dopadłyśmy zdyszane, ale okazało się, żeśmy się nieco spóźniły. Już po krzyku i bólach. Kobieta leżała, jak nieżywa w kałuży krwi. W jej łachmanach znaleziono ubabrane we krwi dwoje maleńkich dzieci – bliźniąt. Jeszcze raz pobiegłam na rewir i poprosiłam o wysłanie wózka-deski. Przysłali, zabrali ją i dzieci.

Dalszego losu tych trojga istot nie znam, na blok matek już nie wróciła i nigdzie już nikt jej nie widział.

Czasem przed spaniem, gdy wyrobiłam się ze swoim zajęć, biegłam za zgodą sztabu na 14-kę do dzieci. Trafiało się to nie często, bo pracy miałam dość, częste bieganie na posiłki, odprowadzania chorych kobiet na rewir, tych które chwytaly bóle porodowe, pobieranie kotłów z kuchni i noszenie z rewiru diety dziecięcej, a w nocy o godzinie 2-giej trzeba było być na nogach, bo o piątej ustawiano do apelu, a do tego czasu musiało być po porządkach i śniadaniu na bloku.

Gdy już mogłam pójść na 14-kę, prawie tam biegłam. Lubiałam te chwile u dzieci, mogłam

odetchnąć od jęku, zgiełku i płaczu matek, a także porozmawiać ze starymi znajomymi, których było coraz mniej.

W czasie jednej takiej wizyty sąsiadka Ewusi z najbliższego łóżka, policjantka Janina Pawlak z Lwowa, opowiadała swoją nocną przygodę. Miała wyznaczoną służbę na placu, gdzie nagromadzone stoły jarzyn: ziemniaki, kapusta, jarmuż, brukiew, marchew – zwożono autami na nadchodzące 24 godziny żywienia. Mimo surowych kar odważniejsze podkładały się i kradły, co się dało. Pilnowali tego Niemcy i policjantki. Mróz był silny. Policjanta siedziała w pobliżu swej hałdy zmarznięta, skulona i dmuchała w ręce. Noce były jasne i lampy pogaszone. Zobaczyła, że od strony rewiru idzie ktoś w jej stronę. Sylwetka zbliżała się coraz bliżej, miała wyciągnięte przed siebie ręce i w poświacie jasnej, zimowej nocy wyglądała niesamowicie, podobna do śmierci, jaką oglądamy na obrazku albo w wyobraźni. To nie człowiek, przebiegało jej przez myśl, ogarną ją strach i co sił w nogach skoczyła ze stołka, biegnąc do pobliskiej kotłowni. Postać sunęła za nią i przerażała. Policjanta pchnęła drzwi, które z trudem otworzyła i wpadła do środka. Przez niedomkniętą szczelinę drzwi, domniemana śmierć wsunęła długą, kościstą rękę i coś bełkotała.

Wewnątrz siedziała Aufsejerka z SS-manem, którzy tu przyszli się ogrzać, był też i płacz. Skoczyli i otworzyli drzwi. Okazało się, że to była kobieta, wyrzucona z rewiru, jako trup na kupę innych. Była zupełnie naga, prawdziwa deska, a raczej kości, powleczone skórą. Była Francuską. Widocznie wyrzucono ją niedawno, a zbudziło ją zimno. Zwłokła się z kupy trupów i powodowana instynktem samozachowawczym, ruszyła przed siebie, strasząc swym wyglądem policjantkę. Czymś ją okryli, posadzili na stołku, dali nawet coś przełknąć, ale to jej nie uratowało. Całe zajście skończyło się śmiercią jeszcze w kotłowni.

Ludzie tak się ze śmiercią drugich oswoili, że z czasem odczuwanie tragedii tych, których musieli na rozkaz usuwać z widoku, miało w sobie coś drewnianego i wulgarnego. Winę za ten stan ponosić będą tylko ci, którzy przemocą spychali więźniów nieszczęsnych na te niziny. Codziennie można było widzieć wóz gumowy, popychany przez łachmaniarki. Kilka z nich ciągnęło dyszel, inne popychały go z tyłu. Podjeżdżały pod bloki i z umywalni wносиły nagie trupy. Brały więc trupy za ręce i nogi, ciągnęły po ziemi, a przed swoim “karawanem” chwytaly za ciało, rozhuśtywały i wrzucały na wóz. Od bloku do bloku włókł się ten karawan i napełniał sterczącymi sztywno rękami, nogami i sino-plamistymi twarzami. Wygodę tych, które jeszcze niedawno były ludźmi – kobietami, u których serca białe, które kochały, radowały się kiedyś i smuciły, nikt nie dbał. Rzucona na spód wozu włókła nieraz swe piękne włosy po międzyblokowym, żużlowym bruku obozu.

Gdy ruszały, krzyczały: “Kalbfleisch, Kalbfleisch” i oglądały się za siebie, czy dowcip się podobał. Czy nie rozumiały, że te dziś, a one może jutro lub za miesiąc pójda do krematorium na takim samym karawanie? Makabryczne to, ale prawdziwe.

Cierpienia, konania i trupy były tu widokiem na co dzień. Sycone nim oczy więzionych kobiet znacznie obficie, aniżeli ich brzuchy brukwią. Staralam się uciekać od tych widoków jak najdalej, lecz jakże trudno było uwolnić się od nich. Odczuwałam cierpienie innych i widok pierwszych trupów robił na mnie ogromne wrażenie. W miarę jak mijał czas, tępiłam, odczuwałam je w większym lub mniejszym stopniu.

Kurczył się, malał jak gdyby nie istniał w tym olbrzymim kwadracie odrutowanej ziemi Majestat Śmierci w pojęciu cywilizowanego człowieka.

Zmarłe wyrzucane na stos innych, nagie lub w jakiejś koszulini z rozczochranymi włosami, rozczapierzonymi palcami, często z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami – jamą z której

wydarto złoto, budziły lęk i zmuszały do ucieczki.

Zachodziłam czasem do Ady Drygalskiej (z dąbrowy Górniczej) na 24 blok. Poszłam tam pewnego dnia i zobaczyłam cały "Tagesraum" wypełniony łózkami zbitymi naprędce z desek, a na nich chore na jakąś dziwną chorobę. Żółte, opuchłe twarze, nabrzmiałe usta i oczy zalane żółtą ropą. Stałam jak wryta. Ogarnęłam wzrokiem wszystkie łóżka, wszędzie ten sam widok. Beładnie rzucające się ręce i głowy, poruszające się to w tą to w drugą stronę i niema prośna w oczach o pomoc, skierowana na patrzącą. Ogarnęło mnie przerażenie. Przez głowę przebiegła mi myśl, że wyniosę stąd zarazę, że zachorują mi dzieci. Uciekłam. Prześladowało mnie to przez parę następnych dni, lecz nie zachorowałam ani ja, ani moje dzieci.

Grabarzami byli wyznaczeni do tego więźniowie, z tą różnicą, że łopaty zastępowały haki żelazne, wbijane w brzuch lub w pierś ofiary. Opowiadał mi o tym Olek Walczak, młody chłopiec z Lubelskiego, który wyznaczony był do krematoryjnego komanda w obozie męskim w Stutthofie. Przed piec zajeżdżały wozy, naładowane trupami, które z kolei zwalano na kupę. Hakami, doprowadzali ciało na wyslizganą płytę, po której w piec. Trup na moment siadał, jak żywy człowiek i zamieniał się w garść popiołu. Po przepracowaniu pewnego okresu czasu, ludzi – świadków z takich komand likwidowano i zastępowano innymi. Na bloku niemowląt śmierć zabierała swe obfite żniwo w dzień i w nocy.

Rozgrywająca się tu tragedia matek nie powstrzymywała pewnych osób, na szczęście wyjątków, od głupich, makabrycznych kawałów.

Pewnego razu wchodząc do umywalni sama, bardzo się przestraszyłam. Oko w oko stanęłam z nagim trupem kobiecym, ustawionym w koncie za drzwiami, tuż obok pierwszej umywalni. Nieraz tu wchodziłam, nabierałam wodę lub myłam się w towarzystwie trupków dziecięcych w kacie. Zazwyczaj była tam ze mną jakaś inna więźniarka. Trupy leżały, wiedziałyśmy o tym i wrażenie było słabsze.

Ten, stojący w kacie, przeraził mnie.

Z końcem lutego 1945 r. ciężarne, położnice i dzieci przeniesiono do innego bloku, bliżej rewiru i cały nasz blok przefasonowano na normalny, ściśle mówiąc przejściowy. Pozostawiono mnie na nim i na mojej funkcji pomocnicy. Tą nie cieszyłam się długo, bo przy ustawieniach na apelu nie mogłam sobie dać rady, nie umiałam kląć, ani wyzywać opieszale. Blokowa i sztabowa patrzyły na to przez palce, ale teraz przyłapała mnie na mojej bezradności "Aufsejerka" i wyleciałam "z posady" jak z procy.

Na bloku pozostawałam, jak zwyczajna "Ferfuga". Byłam z tego zadowolona tym bardziej, że moje dzieci były znowu razem ze mną. Z żywnością było coraz gorzej, głód zaczął szczyrzyć zęby w całym obozie. Racje chleba zmalały i dochodziły do 1/7 części kg chleba na osobę. Do tego chochła wodzianki i czarnej kawy miały starczyć na 24 godziny utrzymania się przy życiu, przy ciężkiej nieraz ponad siły pracy. W poszukiwaniu za żywnością, wygłodzone do ostatnich granic, więźniarki nie miały i śmietników.

Stare, niezaradne kobiety, pędzone głodem grzebały w nich, wyławiały wyssane już przez inną odpadki zdrewniałej brukwi, gnijącą marchew i zjadały. Przyłapana w takiej organizacji, była karana bardzo surowo, lecz to nie odstraszało i wypadki te miały miejsce. Przechodząc raz przez blok ze swoimi porcjami chleba (moja i dzieci), zostałam zatrzymana przez jakąś kobietę. Przeprosiła mnie na korytarzu i na osobności zaproponowała mi piękny, gruby, złoty łańcuszek z medalikiem za trzymany w ręku chleb. Skusić się nie dałam – odeszła rozczarowana.

WOLNOŚĆ

Co za cudowne słowo. Zbliżała się do ans wraz z wiosną. Na dawnych, nieuporządkowanych jeszcze kwietnikach, coraz wyraźniej występowała zielona trawa i nabrzmiały bazy krzewów. Coraz częściej zaczynało się mówić, że ta i ta, z tego, a tego bloku wyjechała na wolność, że Międzynarodowy czerwony Krzyż wystarał się o zwolnienie jakiejś arystokratki itp. O ile mnie pamięć nie myli, najwcześniej, bo kto wie, czy nie w grudniu lub styczniu zwolniona została z 20 bloku, żona premiera Mikołajczyka. Wyjechała autem z obozu, wywieziona przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Nie byłam tego świadkiem, lecz tak opowiadano w obozie.

Z "Forne", gdzie więźniarki, Polki miały również pewne funkcje, przeciekały wiadomości, że zanoszą się na zwolnienia i wyjazdy. Nie wiedziałyśmy, co o tym sądzić i różnie to było komentowane. Jedne wierzyły, inne podejrzewały, że będzie to wyjazd do komina, który ciągle dymił. Głód doskwierał już straszliwie, na rano czysta gorzka kawa, poza tym nic. O fusy na dnie kotła stoczono walki. Na obiad 3 lub 4 ziemniaki, chochla wodzianki, w której czasem udało się wyłowić ziarno ugotowanej pszenicy.

W kwietniu zaczęły do obozu przybywać wielkie ilości paczek żywnościowych Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Pierwsze były szwedzkie, potem amerykańskie. Te pierwsze szwedzkie, pięciokilogramowe, dostały o dziwo znienawidzone przez Niemców Żydówki, potem Francuski, po jednej na osobę. Nam polkom wydano po jednej na pięć. I oto zaszło coś, co chyba nie było notowane w historii Ravensbrück. Polki zastrajkowały i paczek nie przyjęły. Zarząd obozu tym razem nie ukarał strajkujących i uważał za właściwe tłumaczyć się, a nie bić. Wyjaśniono że Polek w obozie jest najwięcej i dlatego tak zadysponowało podział.

Po kilku dniach dano nam paczki, lecz już na trzy kobiety do podziału. W pierwszej dekadzie kwietnia obóz zawałony był paczkami, z których wyjmowane były papierosy. Dostałam wówczas na nas troje trzy paczki 5-cio kg. Było w nich mleko w proszku, czekolada, konserwy mięsne, suchary, nie było tylko chleba.

Ile to lat, ile dni i nocy tęskniły kobiety za wolnością. Marzyły o takiej szczęśliwej godzinie i układały wiersze, jak ten załączony niżej:

"Błędne koło"

Do domu pójdziesz na jesieni,
Jesień na pewno wszystko zmieni.
Nadeszła jesień – barwi liście
Szkarłatnie, rdzawo i złociście.
Rozpina mgły złocisto – siwe,
I srebrno – białą pajęczynę.
Po niebie czarne chmury niesie,
Świst i szelest budzi w lesie.
Nie płacz ... Nadejdzie czas spokojny,
Na gwiazdkę będzie koniec wojny.

Nadeszła gwiazdka, śniegu bielą
Świt się otulił i odmienił.

Przez zaśnieżone, błędne drogi
myśl biegnie, aż po domu progi.
Wieczór – wigilia, krąg rodzinny,
Choinka, jasny śmiech dziecinny,
Jakaś kołęda, jakaś znana,
A pod obrusem garstka siana
I te wspomnienia jasne, czyste
Ach nie – nie myśleć, Jezu Chryste,
Sen ześlij i zapomnienie,
Że to dziś twoje narodzenie.
Poprzez baraku cienkie ściany,
Jak wieczór słycać rozszlochany,
Nie płacz – nadejdzie czas spokojny,
Na wiosnę będzie koniec wojny.

Nadeszła wiosna uśmiechnięta
I wielkanocne piękne święta,
I znów wspomnień świeży wianek.
Święcone, kraszony wzór pisanek,
Srebrzyste bażki wierzbiniowe,
I pierwsze fiołki.
Skowronek swoją piosnkę wydzwania
I biją dzwony zmartwychwstania,
Wszędzie się życie budzi nowe
A nam tęsknota chyli głowę,
Nie płacz ... Nadejdzie czas spokojny,
Na żniwa będzie koniec wojny.

Hen, gdzieś daleko w słońcach chwale,
Chylą się złotych kłosów fale.
Modlą się chabry i ostróżki,
I mak przystraja polne dróżki.
O daj bogate hojne żniwo,
Błogosławiona polska niwo,
I tylko tutaj nic się nie zmienia,
Przeklęte koło udręczenia.
Nie płacz .. Już wkrótce się odmieni,
Już tylko przetrwać do jesieni.

Mijały pory roku i rozwiewały się nadzieje. W doli nieszczęśliwych nic nie zmieniało się na lepsze. Przeciwnie, - pogarszało się z dnia na dzień.
Na marzenia, w twardym obozowym życiu nie było zbyt wiele czasu, ale i ten znaleźć się musiał i przynosił chwilową ulgę.
Znała ten stan kobiecej duszy nieznana poetka obozowa i ujęła go w wierszu pod tytułem "Godzina marzenia".

Może to będzie na wiosnę,
Może to będzie jesienią,

A może w upały letnie.
Kiedy się pola makiem zaczerwienią?

Może to będzie w południe?
Może raniutko przed świtem?
A może w wieczornej godzinie bezchmurnej,
Bramy się więzień otworzą ze zgrzytem?

Może to będzie za tydzień
A może już, nim przeminie dzień,
Ta upragniona godzina przyjdzie,
Przepelni serce falą szczęśnych drzeń.

Przyszła.

Nie wiedziałyśmy w pierwszych minutach narodzin tej godziny, że to ona – ta wymarzona, lecz było w niej coś – co nie rodziło dawnego strachu, gdy wypędzono nas przed bloki.

Było nas Polek w tym transporcie sześć tysięcy, dlatego posuwałyśmy się tak wolno. Wydawali nam na daleką jakąś drogę chleb, musiało się więc dłużyć. W końcu doszłyśmy. Dostałam na nas troje trzy bochenki chleba, lokując je w naszym prowiantowym worku. Po skończonym rozdziale chleba odmarsz.

Gdy mijałyśmy bramę lagru, ten symbol niewoli i śmierci, serca nasze zmieniały się w bijące młoty, chociaż do tej chwili żadna z nas nie wiedziała na pewno, dokąd naprawdę idziemy.

Zaprowadzono nas na obóz męski, ewakuowany uprzednio z mężczyzn na “Jugendlager” i znów znalazłyśmy się za bramami. Blok był niesamowicie natłoczony, istne mrowisko, w którym trudno było ulokować się na siedząco. O spaniu nie było mowy. Na rozmowach i przewidywaniach minęły godziny do świtu. Był to zdaje się dzień 26 kwietnia 1945 roku.

Słońce zeszło szybko i obdarzyło nas pięknym ciepłym dniem. Kobiety wyległy na zewnątrz, aby rozprostować obolałe kości i wciągnąć w płuca ranne powietrze. O myciu się nie mogło być mowy. Kanalizacja była zepsuta i wszystko zakorkowane. Obóz szybko został dokładnie zanieczyszczony. Gdyby w tych warunkach przyszło tej masie spędzić kilka dni, byłyby to męki i katusze, które kosztowałyby niejedno ludzkie życie.

Niektóre z kobiet zwiedzały obóz. Zaglądały przez okno do rewiru, a potem opowiadały makabryczne rzeczy. Żywi i umarli leżeli tam razem. Na podłogach stopy trupów, na pryczach chorzy, straszliwie opuszczeni, jęczeli i konali. Robiło się coraz cieplej, godziny ranne były już dawno za nami, zaczęto nas ustawiać w szeregi. Przed nami i za nami kolumny kobiet, przygotowane do wymarszu. Droga prowadziła przez zadrzewiony teren z pobudowanymi domkami, przed którymi siedzieli, lub leżeli na leżakach ranni żołnierze niemieccy. Widocznie był tu ośrodek sanatoryjny, dla żołnierzy frontowych, wielu z nich miało głowy, ręce i nogi pobandażowane, niektórzy wyglądali, jak białe kukły. Marsz nareszcie skończył się i znaleźliśmy się na jakiejś maleńkiej stacyjce, na której stał długi pociąg towarowy. Do wagonów ładowały się kobiety. Nie tłoczono nas tam bez rachunku, lecz było nas jeszcze za dużo w wagonie, aby wszystkie mogły ułożyć się jakoś. Wewnątrz było trochę słomy, która jako tako mogła ulżyć kościom w czasie snu. Obok toru stała grupka oficerów SS-manów, a wśród nich jeden w

odmiennym mundurze. Na rękawie miał niebieską opaskę z złotym krzyżem. Teraz dopiero wysuwano przypuszczenie, że jest to oficer szwedzki, odbierający transport więźniarek. Rozmawiał z Niemcami i obserwował, co wokół się działo.

Nadeszła chwila odjazdu. Nikt nas nie żegnał, nikt nie powiedział dokąd jedziemy – mówiły tylko domysły. Eskorty nie było żadnej, a jedynymi Niemcami w całym długim pociągu był maszynista i palacz. Rozpoczęła się jazda i niedługo potem zapadła noc.

Ranek – powitał nas prawdziwy, wiosenny dzień. Pierwszy postój daleko od stacji, trwał długo i kobiety porozpalały wzdłuż toru ogniska, aby ugotować coś na śniadanie. Sprytniejsze biegły do maszyny i przynosiły gorącą wodę na kawę, rozrobienie mleka lub kakao. Był chleb, były konserwy w paczkach i głód nie groził. Pociąg jechał wolno, czasami stał kilka godzin w polu lub w lesie, często w pobliżu ludzkich osiedli. Gdy stawał na stacjach, miała jeszcze miejsce organizacja ziemniaczana z wagonów, poza tym, tak tu, jak i na przestrzeni rozwijał się handel wymienny z ludnością cywilną, za konserwy. W jadłospisie można już było widzieć piękne jabłka, czasem chleb, no i ziemniaki, które do końca były wysoko cenione na kulinarnej giełdzie. Początkowo przez jakieś dwa dni, nic mnie nie interesowało. Byłam zmęczona i oparta o ścianę swego kąta nie oglądałam niczego.

W następnych dniach otrząsnęłam się trochę, wypoczęłam nerwowo, dochodziłam więc do drzwi i razem z innymi patrzyłam na przesuwane się krajobrazy, oraz obraz straszliwego zniszczenia miast niemieckich po bombardowaniu.

Na jednym z postojów wskoczył do naszego wagonu oficer niemiecki i jechał z nami cały dzień bez słowa, usadowiwszy się w drzwiach. Nasze co młodsze kobiety prowadziły rozmowę na temat nieproszonego gościa i wyrażały wielką ochotę, by go zepchnąć w dół. Wystarczyło tylko mocno pchnąć. Nie rozumiał, lub udawał że nie rozumie, bo ani drgnął. Na jakimś postoju przed wieczorem nieproszony facet ulotnił się.

Raz stanęłyśmy nocą w lesie, gdzie stacjonowały oddziały "Hitlejugend". Żołnierze młokosy, poubierani w mundury, udawali wojsko i przeważnie byli pijani. Chodzili uzbrojeni i zaczepiali kobiety. Tu i ówdzie było słychać wrzaski kobiet. Na postojach musiałyśmy wóz opuszczać, bo to były bydlęce wagony. Była to jedna z najgorszych nocy, wręcz tragiczna. Las – pijane żołdactwo, ogniska biwakujących, daleka muzyka dział i huk bomb dolatujące nas dość silnie. Widocznie alianci bombardowali jakieś miasto, a ta ostatnia awangarda Hitlera piła i nabierała odwagi do walki. Kilka śmielszych kobiet zaryzykowało i poszło do maszynisty z prośbą, aby wyprowadził pociąg trochę dalej, tam gdzie te wojska nie będą nam zagrażać. Wybraniał się, ale wreszcie wyprowadził pociąg, a niedługo po tym wyruszyłyśmy dalej.

Innym razem stanęłyśmy w środku jakiejś wsi niedaleko cmentarza. Patrzyłyśmy na jakiś wojskowy pogrzeb. Te które wyszły z wagonu, dowiedziały się, że jest to pogrzeb dziewiętnastu lotników. Liczyłyśmy trumny i było ich rzeczywiście dziewiętnaście. Wszystko to odbywało się uroczyście, z wieńcami, kwiatami i honorami wojskowymi.

Jakaś młoda dziewczyna z sąsiedniego wagonu wyszła na drugą stronę pociągu do sąsiednich domów, chcąc widocznie coś wymienić, gdy nagle pociąg ruszył. Następnie gwałtowna likwidacja założonych kuchni i wskakiwanie, ale tamta nie zdążyła dopaść, bo pociąg szybko nabrał rozpędu i została w Niemczech.

Z takimi przygodami dojechałyśmy do Lubeki. Pociąg stał na stacji. Odgłosy wojny dochodziły do nas doskonale. Kobiety powychodziły z wagonów i przyniosły wiadomość, że na dworcu działa czerwony Krzyż, że rozdają żywność i kakao dla kobiet z naszego transportu.

Delegaci Czerwonego Krzyża przechodzili wzdłuż pociągu i od nich to dopiero dowiedziałyśmy

się z całą pewnością, dokąd nas wiozą.

Powiedzieli nam, że rzeczywiście jedziemy do Szwecji przez Danię, że nasza męka niedługo się skończy i że do granicy niedaleko. Kaka do naszego wagonu już nie doszło, bo pociąg ruszył i pojechaliśmy dalej. Na odjeździe życzyli nam wszystkiego najlepszego, a przede wszystkim powrotu do sił i zdrowia. Radość wstąpiła w nasze serca.

Droga dłużyła się nam coraz bardziej, tęskniłyśmy przy jednostronnym odżywianiu się konserwami, do chleba i ciepłej strawy. O tym zaczęto teraz mówić, a potem już się gadało i gadało. Jazda w kuczki, czy na siedząco, czy to we śnie, czy na jawie przestała jakoś męczyć. Noc, jak zwykle u ludzi podnieconych, była niespokojna. Czy we dnie czy w nocy nie wszystko mogło spać, spało się więc w kratkę. Te wyspane lepiej gadały w ciągu nocy i przerywały sen innym, ale nikt się o to nie gniewał, a zbudzone przyłączały się do tego babiego rozhoworu.

Mimo wszystko zasnęłam, byłam znowu u kresu sił, wyczerpana wiecznym czuwaniem nad dzieckiem. Zmęczenie i narkotyk kół pograżył mnie w tak twarde sen, że nie słyszałam, kiedy pociąg stanął na stacji docelowej, ani gwaru, jaki musiał panować w czasie wyładowania kobiet. Zostałam ostatecznie w wagonie i bez dzieci. Ocknęłam się w momencie, gdy ktoś dźwignął mnie pod ramiona zobaczyłam dwie białe postacie, z którymi spłynęłam na ziemię....

Na dobre zbudziłam się dopiero na peronie i zobaczyłam obok mnie stojące dzieci. Stacja była zapchana kobietami. Białe postacie, to członkowie Czerwonego Krzyża, w stroju o niepokalanej bieli, w białych, długich po łokcie rękawicach, z maseczkami na twarzy. Nieopodal stał ksiądz w uroczystych szatach z kropidłem i kilka cywilnych osobliwości. W tłumie uwijały się owe białe postacie, prowadziły chorych, grupowały zdrowych, ciężko chorych przenosiły na noszach. Zaprowadzono nas do przygotowanego na bocznym torze pociągu Czerwonego Krzyża, z osobowymi wagonami. Po wejściu do wagonów oniemiłyśmy. Luksus. Miękkie wyścielane siedzenia, kakaowe chodniki, lustra, szklanki, karafki. Tak przywitali Duńczycy zawszoną gromadę łachmaniarek. Z lagrów i bydłęcych wozów powracałyśmy tego niezapomnianego dnia do kultury i człowieczeństwa.

Bronisława Kołcz – Nowakowa
Zarębki pow. Kolbuszowa

Moje wspomnienia z wojny

Urodziłam się w r. 1912. Rodzina moja mieszkała wtedy w powiecie mieleckim. Rodzice wnet po pierwszej wojnie światowej, zakupili ziemię w powiecie Żułkiew, koło Lwowa i tam przebywali gdzieś do roku 1938. W roku 1938, rodzice wyjechali do Zarębek, pow. Kolbuszowa i tam osiedlili się. Ja zostałam "na starych śmieciach" i po wybuchu wojny w r. 1940 wyjechałam na tereny Związku Radzieckiego, gdzie mieszkałam koło Krasnojarska.

Na skutek apelu Związku Patriotów Polskich, głośnego wśród Polaków, mieszkających na terenie Związku Radzieckiego, zgłosiłam się ochotniczo do Wojska Polskiego i po uciążliwej i bardzo długiej podróży w warunkach dość ciężkich stawiałam się w Sielcach nad rzeką Oką, gdzie

formowała się II Dywizja Wojska Polskiego.

Był to rok 1943.

W Sielcach utworzono batalion kobiet, do którego ja należałam, rozpoczęły się kilkumiesięczne szkolenia, ćwiczenia, wykłady. Zaznajamiałam się z trudną sztuką wojskową. W czasie szkolenia przypominano nam odległą Ojczyznę, która w niewoli i okupacji czeka na nasze wyzwolenie. Te chwile rozmów o dalekiej Ojczyźnie budziły w nas chęć walki ze znienawidzonym okupantem i rozumiałyśmy z każdym dniem coraz lepiej, że oswobodzony nasz kraj musi się rządzić nowymi prawami. A wieczorem, gdy słyszałyśmy wokół polską piosenkę, gdy rozmawiałyśmy ze sobą o rodzinie i swoich najbliższych, rosła w naszych sercach tęsknota i pragnienie najszybszego powrotu do Polski.

A moment wymarszu zbliżał się z każdym dniem...

Byłyśmy już umundurowane i wyćwiczone...

Nie pamiętam nawet, jak się to zaczęło, pamiętam tylko ten długotrwały marsz w letnich miesiącach 1944 r., marsz naszego kobiecego batalionu. Słysmy pieszko, czasem podwożono nas na samochodach, niektóre odcinki drogi przebywałyśmy koleją.

Niejedna z nas miała odparzone nogi, niejedna zmęczona była do ostatnich granic, ale myśl o tym, że każdy kilometr, jaki przeszłyśmy, zbliżał nas do granic Polski, że wkrótce już nadejdzie moment wyzwolenia, koła nasze zmęczenie i zachęcała do wytrwania.

Przechodziłyśmy przez puste, popalone wsie, widziałyśmy poburzone miasta i rosła w nas nienawiść do sprawców tego straszliwego dzieła zniszczenia.

Smoleńsk, Żytomierz, Równe to miasta, które mijałyśmy po naszej długiej drodze, by pewnego lipcowego dnia znaleźć się w Chełmie Lubelskim, gdzie miejscowa ludność przyjmowała nas okrzykami radości i kwiatami.

Byłyśmy już w Polsce... słyszałyśmy wokół polską mowę, widziałyśmy zdziwione trochę spojrzenia przechodniów, przypatrujących się kobietom – żołnierzom w mundurach i rogatywkach. W Lublinie zastałyśmy duży ruch, miasto niezniszczone i jakieś oświetlone, przyjmowało nas serdecznie. Tak dotarłyśmy do Warszawy, na Pragę. Tu toczyły się walki z okupantem, który nie chciał oddać miasta. Po paru tygodniach otrzymałam urlop i mogłam po tylu latach odwiedzić moją rodzinę.

Wkrótce moje warunki osobiste przyczyniły się do szybkiego zdemobilizowania się i osiedlenia się już na stałe w Zarębkach. Pamięć poszczególnych wydarzeń wojny zatarła się w moim umyśle...

Pozostało jednak wspomnienie dni przebytych w służbie wojskowej i często dzisiaj, gdy głowę mi przyprószyła siwizna, a dzieci już dorosły, wracam myślami do tamtych dni, dni trudów i walki, dni, w których słowa naszego marszu: "wczoraj łąch, mundur dziś... ruszaj, Korpus nasz, na zachód marsz" najlepiej oddawał nasze uczucia i chęć służenia Ojczyźnie ...

Różne były okresy życia wesołe i smutne, dni zdrowia i dni różnych chorób...

Przyjemnie jest dzisiaj pomyśleć z dumą i wzruszeniem, że danym mi było w dniach walki dorzucić moją skromną cegiełkę do wyzwolenia ojczyzny.

Kazimierz Skowroński

Lato 1944 roku

Gdzieś tobą, Polsko, wieją sztandary na wietrze,
w obce nieba łopocąc bielą z amarantem.
I wolno jest, o boże, wojskowej orkiestrze,
żeś “nie zginęła” wołać w świat gdzieś z obcych anten.

A u nas – pory roku znaczą serie łapanek,
akcje SS, plakatów krew, na placach salwy.
Sieją wciąż z krematoriów prochy Oświęcim, Majdanek
po ziemi twej – w bzy dawniej kwitnącej i w malwy.

Już Cię widzieli – idziesz – z Tobą ciężkie czołgi
piaskami Lubii, ziemią włoską, ruiną “wału Gotów” -
w bukietach choin ciągną armaty znad Wołgi,
by wolność nieść w kraj Twój, w walczący Mokotów.

Wichr drugiego Grunwaldu mgły przedrze brunatne i czarne,
ze świata zmiecie nadludzi, ciemństwo, niewole ...
I będziesz znów w zbóż chrzęście dzwoniącym złotym ziarnem,
w radosnym śmiechu dzieci polskich w własnej szkole.

I nie zostanie w pamięci już nic z tamtych doznań,
Gdy w domu rabem obcym byliśmy – polskie plemię -
Będziemy znowu budować – razem – Stolicę, Wrocław, Poznań
i damy wszystkim wolność i pracę i ziemię.

Budzi się naród – cały – by nieść krwawy odwet
wrogowi, co w oczy hańbą niewoli nam bluznął ...
Otwieramy Ci wrota na oścież w życie nowe,
Ojczyzno, droższa nad wszystko, Ojczyzno, Ojczyzno.

Kolbuszowa Dolna, 3.VIII.1944.

Michał Czartoryski

Z ziemi włoskiej do Polski 1. Na morzu Śródziemnym

Był wrzesień 1943 roku.

Po wzburzonych falach morza Śródziemnego płynął ogromny konwój okrętów, które wiozły na front włoski żołnierzy polskich II Korpusu.

Może było niespokojne.

Trwała wojna, a Niemcy wtedy jeszcze panowali w powietrzu i na morzu, jeszcze naloty niemieckich samolotów, jeszcze niemieckie łodzie podwodne groziły z morza okrętom alianckim. Pogoda była niepewna. Ogromne fale wzburzonego morza uderzały o burty okrętów. Niebo zaciągało się zwałami chmur. Dał silny wiatr. W każdej chwili mógł zacząć się sztorm. Mimo to wśród jadących żołnierzy panował na ogół nastrój pogodny i optymistyczny. Oto nasz korpus zbliżał się nieco do dalekiej, wytęsknionej w snach żołnierskich Polski. Za kilka dni mieli stanąć na ziemi włoskiej, skąd szlakiem swych przodków myśleli wrócić “z ziemi włoskiej do Polski”.

Niepokój na okręcie wywołała jeszcze jedna sprawa. Oto sporo żołnierzy zamiast do portu Taranto wołało jechać do... Rygi, a ta choroba morska dawała się im we znaki. Z faktu tego byli zadowoleni ci, których nie chwytala morska... jazda do Rygi, a którzy, korzystali z absencji swych chorych kolegów, zamiatali ze stołów nie tylko swoje porcje, ale innych i chowali “na wszelki wypadek” do swoich żołnierskich worków.

Humor żołnierzom kilka razy popsuły niemieckie samoloty, które przeszkadzały im w błogim trawieniu lub... oddawaniu okrętowych smakołyków. Na szczęście większych szkód ataki te nie wyrządziły. Nie było rannych i zabitych. Nieuszkodzone okręty pruły nadal fale morskie z uporem i systematycznie.

Aż tu pewnego dnia chmurnego zaczął szaleć sztorm. Poczuliśmy, że Kopernik miał rację, iż ziemia porusza się wokół słońca i własnej osi. Okrętem, którym jechało kilka tysięcy wojska, rzucało jak łódką.

Jako kapral podchorąży kwaterowałem ze swoją drużyną na dolnym pokładzie. Właśnie żołnierze zajmowali swe hamaki, by ułożyć się do snu, ktoś powiedział w tej chwili, że mogą nas zaatakować szwabskie okręty podwodne.

Wtem rzucało nami po kątach pokładu, zaczęły z hamaków spadać worki, plecaki i chlebaki, oraz żołnierze też. I oto miałem przed oczami swymi obraz prawdziwej paniki. Ktoś na domiar złego wrzasnął! - Wpadliśmy na minę podwodną – Żołnierze kupom rzucali się ku jednemu wyjściu, na żelazne schody prowadzące na górny pokład. Zaczął się krzyk i ścisk.

- woda na pokładzie – doszło wołanie skądś z pokładu.

Panika wzrastała!

Nagle odezwał się gwizd oficerów, oraz szybkie i głośnie komendy: Spokojnie! Dwójkami na schodki i na pokład! Żadnej miny nie było! Zderzyły się ze sobą w szturmowej mgłę dwa nasze okręty! Opuszczamy nasz pokład! Wychodzimy na górę! Pokład nasz zostanie zatopiony! Do Włoch zajedziemy na górnym pokładzie!

A na górnym pokładzie koniec świata. Sztorm w całej swej okazałości bryzgi fal. Kołysanie okrętu. Wicher. Ciemno. Nie obeszło się bez ofiar.

Przy działach przeciwlotniczym armata zmiażdżyła kaprala i dwóch szeregowych. Z łodzi

ratowniczych, przymocowanych do burty okrętu, pozostały tylko strzepy. Uderzenie tak było silne, że zgmiotło je, jak pudełeczka od zapalek.

Nazajutrz sztorm ustał. Dzień nastął spokojny, jasny, słoneczny. Widzieliśmy, jak na horyzoncie znikają z oczu naszych inne okręty. Powiedziano nam, że nasz okręt konwojowany przez kilka okrętów bojowych, wśród których nie brakło i polskich, zawinie do portu o dobę później, niż cały konwój. A więc skończyło się na strachu.

W dzień później ujrzeliśmy brzeg włoski. W dali widoczne były kontury dużego miasta. To widać było port włoski, Taranto. Z piersi żołnierskich wydobywały się westchnienia ulgi. Niebawem mieli stać na ziemi włoskiej.

2. Bella Italia

Po wyjściu z okrętu udaliśmy się przez miasto – port Taranto do miejsca naszego postoju. Oczy nasze ujrzały niecodzienny wygląd miasta. Ulice puste, jak wymiotti. Sklepy pozamykane. W oknach prywatnych pospuszczane story.

Idąc przez miasto oddziały polskiego wojska witała cisza i bezludzie. Grobowo brzmią równe kroki żołnierskiego marszu przez miasto. Idziemy ulicami, jak przez puste wąwozy i kantony. Żywej duszy na ulicach. Żołnierze są zasztopowani takim przyjęciem.

Wtem w ową ciszę rzuca się melodia żołnierskiej piosenki. Wojsko śpiewa. I wśród wymarłych domów rozlega się polska pieśń żołnierska:

Marsz, marsz, Polonia,
Nasz dzielny narodzie!
Odpocniemy w swych trudach
W ojczystej zagrodzie.

Po przyjsciu na miejsce postoju i po rozlokowaniu się w miasteczku namiotów, długie rozmowy na temat wymarłego miasta. Oczywiście, różne interpretacje i domysły. Na odpowiedź trzeba było czekać kilka dni, kiedy miasto ożyło i zaroilo się Włochami i Włoszkami, kiedy sklepy otworzono i podniesiono story w oknach mieszkań. Okazało się, że wojska hitlerowskie, cofając się na północ, rozpuściły bzdury i kłamliwe wieści o Polakach i polskich żołnierzach, którzy będą rabować sklepy, mordować mężczyzn i gwałcić kobiety. I dlatego to przerażeni Italianie pochowali się przed nami po kątach, pozamykali sklepy i pozasłaniali okna.

Rzecz jasna – wkrótce musiały wyjść na jaw owe perfidne bujdy szwabów, w mieszkańcy Taranto przekonali się, że Polacy są ludźmi spokojnymi i kulturalnymi. I od tego czasu można było widzieć na ulicach miasta naszych żołnierzy parujących po włosku głową i rękami, z powodu nieznamości języka.

Widziało się również idących pod rączkę naszych wojaków z pięknymi, signorinami 4/ którzy mimo nieznamości języka jakoś się porozumieli w sprawach amore 5/ na migi. Zaczęły się ciekawe znajomości, czynione na przepustkach, zapraszanie do domów, na buono vino bianco e rosso 6/ słowem, jak najlepsze stosunki między nami jako okupantami a Włochami i Włoszkami jako okupowanymi.

Życie stawało się nawet ciekawe: dobre i tanie wino, smaczne arancia, 7/ winogrona i figi, piękne signoriny i... cudowna pogoda apulijska.

Wszyscyśmy za miastem, w namiotach, które stały się już od dłuższego czasu naszymi koszarami wojskowymi. Dni mieliśmy wypełnione po brzegi musztrą, ćwiczeniami i zajęciami wojskowymi. Wszak to już wkrótce wyślą nas na front. Często “rano, rano, raniusieńko, rano po rosie” udawaliśmy się na ćwiczenia w teren.

Pewnego razu właśnie wymaszerowaliśmy na jedno z takich ćwiczeń. Dzień był cudowny, pełen słońca i zieleni. A myśmy szli mozolnie, objuczeni, jak wielbłądy, czyli w pełnym bojowym rynsztunku, rytmicznie, co 7 km. tylko 5 minut odpoczywając, najczęściej w przydrożnych rowach, z nogami do góry powyciąganymi, dla lepszego wypoczynku. Celem urozmaicenia marszu dowodzący oficer często urządzał nam “lotnika”, “kryj się” i “czołgaj się”. Gdzieś pod południe byliśmy już bardzo zmęczeni i spragnieni. Dowódca zatrzymał oddział w spotkanej po drodze wsi, zwanej po włosku campagna 8/10/ przed domem jakiegoś gospodarza i poprosił go o wodę dla plutonu. Aqua? 9/ - ze zdumieniem i pewnym oburzeniem zapytał Włoch. No, io non posso dare aqua. Per moi Dio a fata vino, ma aqua per animale. 10/

po tych słowach zaprosił cały pluton do oliwkowego sadu, gdzie wkrótce wraz z żoną i dziećmi przytaskał, tocząc beczkę, chyba pięćdziesiąt litrów mile bełkoczącego i chłodnego wina. Wiara – oczywiście – nie dała się dwa razy prosić i zaczęła tak skrętnie owym winem gasić pragnienie, że wkrótce w beczce nic nie zostało. Ogarnęła nas niebawem błoga senność i za zgodą naszego oficera ułożyliśmy się w cieniu oliwek do snu (on także). Śniliśmy o gościnnych gospodarzach włoskich, o pięknej Italii i dalekiej Polsce, oraz o tym, że odbywamy trudne wojskowe ćwiczenia. Pod wieczór ruszyliśmy do koszar, serdecznie żegnani przez mieszkańców compagnii. Ruszyliśmy – rzecz jasna – z piosenką na ustach, a chcąc się przed Włochami pochwalić, zaśpiewaliśmy popularną włoską pieśń ludową, która w moim żołnierskim tłumaczeniu brzmiała następująco:

Tu w Italii piękne życie
Niby z jakiej bajki jest.
Bella signorine 14/ ujrzycie,
Zakochacie się na fest.

O bella signorina!
Podobasz się jedyna.
Urocze są twe oczy,
Twe warkocze,
Twoje ząbki i rzęs rąbki, wszystko twe.

Ja ciebie kocham, cara,
Bo ty nie jesteś stara.
Ty jesteś piccolina,
Ma jedyna, jestem skory na amore – serce me.

3. Śmierć Generała

Był wieczór.

Żołnierze naszego batalionu po apelu wieczorem znajdowali się w namiotach, gdzie czas spędzili na rozmowach, śpiewaniu piosenek i graniu na harmonijce. Powoli przygotowano się do spania.

Wtem z placu zbiórek usłyszeliśmy głuchy, stłumiony głos werbli, wołających w ten sposób na zbiórkę. Na zbiórkę? Teraz? Przecież już apel był? - wołali żołnierze. Szybko zebraliśmy się na placu. Gdzie po komendzie: "baczość" i umilknięciu werbli dowódca baonu odczytał nam krótki telefonogram z Dowództwa Korpusu:

- Dziś zginął w katastrofie lotniczej na Gibraltarze generał Władysław Sikorski wraz ze swoim sztabem.

Cisza. Zaskoczenie. Martwota.

W takiej grobowej ciszy usłyszeliśmy tu i ówdzie szloch, tu i ówdzie łkanie, które się wzmagalo i rosło. To płakała po swoim Wodzu ukochanym prosta, żołnierska brać. Dowódca baonu również czytał te wprost dla nas makabryczne wieści przez łzy. Ale bo i zasłużył na to płkanie Generał. Świetny polityk dyplomata, wielki strateg i żołnierz potrafił skupić wokół swej osoby najlepsze siły patriotyczne i wojskowe w dniach tragedii polskiego Września, najpierw we Francji, później w Anglii i Związku Radzieckim. To wszystko sprawiło, że żołnierze kochali go i z dumą mówili o sobie, że są "żołnierzami Sikorskiego". A tu tymczasem człowiek ten odchodzi w chwili, gdy sytuacja światowa i na frontach dawała pewność nieuniknionej klęski Hitlera i nazizmu, a zwycięstwa sprzymierzonych, w tym Polski. Więc prosić żołnierzy, którzy widzieli go oko w oko w Związku radzieckim na przeglądzie wojsk naszych, na manewrach w Iraku i tak niedawno temu w Egipcie, płakali i zdawało się im, że razem z nim ginie również sprawa wolności Polski i rychłego powrotu do Ojczyzny. A więc i żołnierze młokosy bezwase i stare wąsate żołnierzyska płakali po nim, po swym Wodzu, który uosabiał w ich oczach i myślach swą, daleką jeszcze, ale wkrótce mającą być wyzwoloną Ojczyznę.

Żołnierze płakali.

Ale oficerkowie sztabowi ze sanacyjnej psiarni, niedobitkowi i uciekinierzy z r. 1939 obchodzili inaczej tę smutną i tragiczną chwilę. Oto wieczorem w kasynie oficerskim ta "banda sztabowa" sanacyjnych oficerów urządziła sobie stypę i pijaństwo, na którym głośno, aż nawet hałaśliwie, demonstrowali radość z tego faktu. Radość ta wkrótce objawiła się tym że naczelnym dowódcą został nie miejsce generała Władysława Sikorskiego najpierw przez krótki okres gen. Anders, a potem stary, trzęsący się legun, gen. Sosnkowski, piłsudczyk zapiekły i osławiony sanator.

Z Afryki, gdzie gen. Sikorski skupił byłych sanacyjnych dygnitarzy wojskowych spod znaku legionistów i sanacji, a których On odseparował od czynnej, dowódczej roli jako sobie i swej polityce element wrogi, zaczęli napływać "nowi" dowódcy jednostek, odsunięci dotychczas przez Generała, a "Jego ludzi" zaczęto do dowodzenia usuwać. Należło znowu do Armii tego "bractwa legionowego", które dotychczas w Afryce "prostowało banany", jak złośliwie i dowcipnie o nich mówili żołnierze.

Wokół tej tragicznej śmierci Generała snuliśmy różne swoje przypuszczenia i domysły.

Jedni mówili, że Churchill spowodował tę śmierć, by za jednym zamachem pozbyć się człowieka, z którym należało się liczyć i który był wielkim autorytetem na arenie polityki światowej. Inni znowu posadzili o to gen. Andersa, który spiknąwszy się z byłą sanacją, chciał pozbyć się groźnego rywala do władzy w przyszłej Polsce.

Niejednym z tych, którzy zbyt głośno mówili o Andersie i klice sanacyjnej jako o sprawcach tragedii Generała, wkrótce zamilkł i tylko mówiło się wśród żołnierzy, że został on skazany na roboty i wywieziony do obozu pracy w Afryce.

Propaganda oficerska nowego Dowództwa Armii rozpowszechniała cicho bzdurną wieść, że to

komuniści sprzątnęli Sikorskiego. A przecież dla komunistów i samego Stalina Sikorski był osobą, która pragnęła załatwienia pozytywnego skłóconych stosunków politycznych między Polską a Związkiem Radzieckim, a którym to sami Rosjanie wyrażali się jak najlepiej i najprzychylniej. Sprawa śmierci Generała nie została wtedy żołnierzom wyjaśniona. I do dzisiaj jest w dalszym ciągu "kwestią otwartą"...

4.Inferno 16/

Wysiedliśmy z samochodów.

Dowódcy oddziałów zrobili zbiórkę i poinformowali nas o celu marszu, jego trasie i sposobach realizacji. Oto mieliśmy się udać na linię frontową pod Monte Cassino; przedtem należało przejść dość długi, ale wąski kanion między zboczami, dalej doliną odkrytą obejść ruiny miasta Cassino i krętymi ścieżkami górskich zbocz zająć pozycję u stóp klasztoru i wzgórza Monte Cassino.

Była ciemna noc.

Do uszu naszych dochodziły echa armat i dział.

To były odgłosy walk pozycyjnych.

Nie było żartów.

Wojna.

Niegdyś Niemcy, jeszcze przed wycofaniem się na Monte Cassino, poznali te pozycje i byli świetnie wstrzeleni zarówno w wąwóz, jak na dolinę i zbocze górskie u stóp klasztoru.

Ogniem ciągłym nękali wojska nasze, wiedząc, że tą trasą nasi żołnierze udają się na swoje stanowiska, aby zmienić oddziały polskie i alianckie.

Ostrzeliwali więc wąwóz, w którym znajdowały się połowe szpitale, ośrodki i inne przyfrontowe placówki.

Idący na front żołnierze gęsto padali trupem i w owym wąwozie górskim i w owej dolinie i na ścieżkach widocznych na stanowiskach. Stąd wąwóz ów nazwano Piekiełem (po włosku Inferno), a ową dolinę Doliną Śmierci.

Dlatego szliśmy gęsiego, co 20 kroków jeden żołnierz, często z powodu ciskanych na wąwóz armatnich pocisków padając, czołgając się i kryjąc przy ścianach stromych wąwozu, aż siódme poty na nas wychodziły. Nie obeszło się bez strat. Z oddziału naszego kilku zostało zabitych, a kilku raniono. Wreszcie przed nami ukazała się jeszcze bardziej groźna Dolina Śmierci; cała była okryta mgłą dymiących zasłon, na drodze leżały trupy mułów, które bohatercko dostarczały na górskie pozycje dla żołnierzy żywność, wodę i amunicję. Można powiedzieć, że gdyby nie owe cierpliwe muły, dzielnie poruszające się po stromych ścianach górskich, to na pewno nie wygralibyśmy tej bitwy z Niemiaszkami.

Przy drodze zrytej kulami dział armatnich, w rowach i na polach leżały też wraki samochodów.

Po przejściu owej Doliny śmierci w ogłuszającym huku armat, w świetle rakiet wystrzeliwanych w niebo, w pełnym uzbrojeniu, mając pod skórą mrówki strachu, jakoś doszliśmy do zboczy i ścieżek, prowadzących na nasze górskie pozycje. Cały czas gęsiego.

A gdy weszliśmy na wąskie ścieżki, rozciągały się białe taśmy, które dla nas, piechurów rozwlekli łącznościowcy, by nam wskazać, że poza owymi taśmami teren jest zaminowany i wystarczyło wejść poza owe białe taśmy, a można było szybko ulecieć do Bozi i znaleźć się na łonie Abrahama. Po tej mozolnej drodze doszliśmy, a właściwie doczołgali, do naszych pozycji.

Jakie to były pozycje?

Pożal się Boże!

Sami żołnierze w załomach skał i w skalnych zakamarkach porobili sobie pseudo bunkry, narażeni będąc na ogień szwabskich pocisków. Tu moczył ich deszcz, ziębił chłód nocy i prażył ogień hitlerowskiej artylerii.

A przed nami w żelazobetonowych bunkrach i w piwnicach klasztornych siedzieli sobie na górze i nad nami Niemcy, mając na razie zabezpieczony żywot.

Różnie bywało na tym froncie, jak to w walkach pozycyjnych. Strzelanina w dzień i w nocy, patrole i podchody pod stanowiskami hitlerowskie. Chłodno w nocy, a czasem i głodno, gdyż nie zawsze (ubite po drodze) muły dostarczały nam żywności i wody. Bywało, że i przez kilka dni nie było co do gęby włożyć.

Kiedy chwilowo spokój czasem nastawał, a ogień artylerii ucichł, wrzeszczały po obu stronach głośniki radiowe i wtedy odbywała się wojna psychiczna i ideologiczna. Z obu stron namawiano się do poddania, do dezercji, lżono się i szła sobie obustronna wymiana zdań jak w czasach pokojowych. Wtedy na dobę "fasowaliśmy" litr wody, co miało nam wystarczyć na ugotowanie strawy, umycie się i golenie. Woda zatem liczyła się na wagę złota.

Zwykle żołnierzy trzymano przez miesiąc na frontowych pozycjach, a później przychodziła zmiana, szło się na wypoczynek na tyły. Nas już wtedy nie zdołano zmienić.

Był to, bowiem koniec kwietnia 1944 roku.

5.Czerwone maki

Był maj 1944 roku.

Pogoda nastąpiła piękna. Wzgórza, ich zbocza, doliny i dolinki pokrywała czysta zieleń traw i drzew, które je obsiadły. A od wysokogórskich, niskopiennych maków aż czerwieniło się, tyle ich rosło całymi kępami i koloniami. Dni bywały jasne, słoneczne, upalne, noce natomiast chłodne, a nawet zimne. Kiedy przycichły głosy artylerii i nadchodziła czasami cisza, zdawało się nam, że wojny nie ma, że już się skończyła, a my w tym przepięknym zakątku Italii jesteśmy na wycieczce i wczasach. Ale czarne kikuty murów klasztornych na Monte Cassino, ale zgliszczą leżących u stóp tej góry miasta Cassino, ale poszarpane i spalone konary drzew zaprzeczały temu. A na szczycie był nasz odwieczny, germański wróg, były jego niedobite kohorty.

Jeszcze w jesieni 1943 r. Niemcy stworzyli z klasztoru i sąsiadujących z nim wzgórz bardzo silną fortecę, która stała się centralnym punktem, obronnej "linii Gustawa", a za którą rozciągała się druga, niemieckiej obronna, sięgająca aż za Monte Cassino, "linia Adolfa Hitlera".

Dlaczego Monte Cassino miało tak ważne znaczenie w kampanii włoskiej?

U jego stóp bowiem biegnie "droga nr 6", która łączy Neapol z Rzymem. A zatem ten, kto ma w swoim ręku wzgórze klasztorne, dzierży równocześnie klucz do bramy Wiecznego Miasta. Dlatego do obrony tego wzgórza ściągnięto najlepsze oddziały spadochroniarzy Hermana Georinga, które zwano "die grunen Teufel" 17/. dlatego to również wojska alianckie już trzy razy przepuszczały szturm do tej twierdzy i trzy razy musiały się z dużymi stratami wycofać.

Zbliżała się więc czwarta ofensywa, tym razem polska. Dzień 11 maja 1944 roku wstał piękny, w całej swojej wiosennej krasie.

W oddziałach jednak polskiego II Korpusu panował nastrój zdenerwowania, napięcia i wyczekiwania. Wśród żołnierzy bowiem rozeszła się wieść, że dzisiaj w nocy nastąpi generalny szturm.

W takim nastroju godziny wlokły się dość leniwo.

Nastał wreszcie wieczór. Przyszła i noc.

Wtem o godzinie 23 w nocy zagrzmiało tysiąc pięćset dział artyleryjskich.

Atak się zaczął.

Przez dwie godziny rozszalał się huk i ogień armat, które miały przydusić do ziemi żołnierzy niemieckich i przygotować szturm piechoty polskiej.

O godzinie pierwszej w nocy ruszyły nasze oddziały do ataku. Rozpoczęła się zażarta walka, która trwała całą noc z 11 na 12 maja, przez cały dzień 12 maja i znowu noc 12 na 13 maja.

Nacieraly dwie jednostki: Brygada Karpacka i Dywizja Kresowa. Natarcie I Brygady Karpackiej zostało odparte. To samo stało się z natarciem Dywizji Kresowej.

Dnia 13 maja wydano pozostałym przy życiu rozkaz wycofania się.

Pokłosie tego szturm było straszne, całe kompanie wybite, 90% oficerów, dowódców kompani i plutonów zginęło lub zostało rannych.

Ogień naszej artylerii okazał się za słaby jeszcze. Nawaliła też łączność. Nie dopisało lotnictwo.

Pierwsze więc nasze natarcie zostało odparte przez Niemców. Nie powiodło się również XIII korpusowi brytyjskiemu w dolinie rzeki Liri, stracił on bowiem 3000 żołnierzy.

Dowództwo naszego Korpusu szybko reorganizuje naszą dywizję, aby przeprowadzić drugie natarcie. Tymczasem bez przerwy pozycje niemieckie bombarduje lotnictwo alianckie, przeprowadzając 220 nalotów, niszcząc kwaterę główną X Armii Niemieckiej.

Nadchodzi 16 maj.

I znowu niezwykle silne, jeszcze silniejsze niż w pierwszym szturmie, przygotowanie artylerii. W całonocnej bitwie XVI Batalionu Dywizji Kresowej opanowuje częściowo wzgórze Widmo od strony Monte Cassino.

Dnia 17 maja XV baon zdobywa południowe Widmo, baon XVIII Małe St. Angelo.

Dalsze jednak natarcie z powodu ogromnych strat staje się niemożliwe. Z Dywizji Kresowej zostają tylko niedobitki. Naszych sił na wsparcie brak.

Zadanie bojowe wykonane tylko w części.

Ażeby utrzymać zdobyte pozycje nieprzyjaciela i zdobyć resztę wzgórz i klasztor, dowództwo napędza formuje nowe oddziały.

A oddziały te były niezwykle, gdyż składały się z ordynansów, ministrantów, sanitariuszy, łapiduchami zwanych, kucharzy i szoferów, czyli tych żołnierzy, co to wolą się trzymać z dala od frontu i czują się świetnie na tyłach. Ale nie tylko wojska polskie ponosiły straty. Wielkie straty ponieśli też Niemcy, którzy przygwożdżeni do ziemi, nie byli zdolni do przeciwuderzenia.

W nocy z 17 na 18 maja nasz podsłuch przejął radiowy rozkaz niemieckiego dowódcy, który nakazał Niemcom wycofanie się z Monte Cassino. Hasłem do wycofania, a wprowadzeniem w błąd Polaków, miało być bombardowanie stacji kolejowej.

Nad ranem 18 maja resztki naszych batalionów ruszyły do nowego natarcia. Opór wroga był już słabszy. Zajęto wzgórze 593. Mas Albonettę i St. Angelo.

Nieprzyjaciel był w odwrocie.

Równocześnie opór wroga przełamywał korpus brytyjski w dolinie rzeki Liry.

Rano jeden z oddziałów brytyjskich stanął w ruinach miasta Cassino. Pierwszy na zboczu wzgórza klasztornego, a potem na szczycie, wdarł się patrol 12 Pułku Ułanów Podolskich.

18 maja 1944 r. o godzinie 10 min. 40 polska flaga biało-czerwona załopotowała na ruinach klasztoru Benedyktynów, z których rozległ się hejnał mariacki.

Linia Gustawa była w rekach naszych.

Dnia 4 czerwca 1944 r. wojska sprzymierzone weszły do Wiecznego Miasta. A potem Monte Cassino został ogromny cmentarz polskich żołnierzy i sporo mniejszych cmentarzyków w dolinach i dolinkach zboczy montecassińskich.

Pod Monte Cassino zostały czerwone maki, które swą czerwienią przypominały i będą przypominać o polskiej krwi przelanej przez polskich żołnierzy “za wolność naszą i waszą”.

Została jeszcze pieśń “Czerwone maki na Monte Cassino”, którą do muzyki Alfreda Schultza napisał Feliks Konarski, a której refren brzmi:

Czerwone maki na Monte Cassino
Zamiast rosy piły polską krew.
Po tych makach szedł żołnierz i ginął,
Lecz od śmierci silniejszy był gniew.

Przejdą lata i wieki przeminą,
Pozostaną ślady dawnych dni
I tylko maki na Monte Cassino
Czerwieńsze będą, bo z polskiej wzrosną krwi...

6. Po kampanii

Gdy żołnierze nasi dobijali hitlerowską bestię we Włoszech, w walkach zaciętych pod Anconą i Bolonią, ja leżałem z innymi rannymi w daleko na południe od frontu położonym szpitalu wojskowym w Casa Massima i leczyłem dość mocno przez odłam szkła w czasie wybuchu pocisku artyleryjskiego uszkodzony kręgosłup. Po wyleczeniu odesłano nas na dalszą rekonwalescencję i rehabilitację do Campobasso. Było to duże i ładne miasto, w którym “przychodzili do siebie” skoszarowani w wielkim i eleganckim domu faszystowskim Polacy z różnych szpitali polowych.

Tutaj z okien tego domu obserwowaliśmy bardzo oryginalną, barwną i dziwną procesję Bożego Ciała.

Włosi lubią wszelkie parady różnego rodzaju (w czym są bardzo do nas podobni) i z procesji religijnej uczynili jakieś “carnevalle” 18/, tyle tam było przepychu, kolorów, strojów różnych bractw i zrzeżeń religijnych, śpiewów i muzyki. Zdawało się nam, że wkrótce ten kolorowy korowód zacznie “pływać rozmaite”.

Nic dziwnego!

Co kraj, to obyczaj.

Piękno Italii zacząłem dopiero poznawać (już w warunkach pokojowych) wtedy, gdy po przeszkoleniu zostałem przewodnikiem dla polskich żołnierzy po Neapolu i Pompei.

Przepiękny jest Neapol, położony nad przepiękną zatoką, w której odbija się “lazurowe włoskie

niebo”, uroczą jest Santa Lucia 19/, zakątek przemiły, gdzie gaje figowe dochodzą do samych brzegów morskich.

A już egzotyką starorzymską tchnie miasto – muzeum-Pompeja, okolona starymi murami, wydobyta spod lawy Wezuwiusza, który króluje swoją wiecznie dymiącą głową nad całą okolicą, a w niej teatr, łaźnie, domy patrycjuszów rzymskich, ulice kocimi łbami wybrukowane, sklepy, a na ścianach autentyczne napisy z owych “przedpotopowych czasów”, w domach kadzie na wino i zakonserwowane postacie z pamiętnej “tragedii wulkanicznej”: tu starzec z pękłą, długą brodą, pijący z dużego dzbana wino, z lękiem na dostojnej twarzy przed nadchodzącą śmiercią z Wezuwiusza, tam młoda, śliczna, w swojej tunice matka, tuląca do piersi małą dziecinę, a wszystko jakby żywe, jakby w tej chwili przeżywające po raz drugi starą tragedię wybuchu wulkanu i zalania miasta. W dali zaś widoczne słynne Capri.

Ponieważ kampania włoska się skończyła, Dowództwo Korpusu powzięło plan odkomenderowania żołnierzy – nauczycieli do szkół, które miały za cel ułatwić wielu bohaterom tej kampanii ukończenie małej i dużej matury.

Zaczęły powstawać wojskowe Kursy maturalne w różnych częściach Włoch. W ten sposób znalazłem się w miasteczku Alessano. Jest to niewielkie miasteczko, liczące ponad 10000 mieszkańców, w prowincji Lecce 20/ w Alulii, na samym krańcu apenińskiego buta, leżące w pobliżu morza, czyste na ogół, z ludnością biedną, wśród których żyje kilka rodzin starej włoskiej arystokracji feudalnej (Santi, San Giovanni, Torsello).

W miasteczku tym było włoskie gimnazjum, które władze tutejsze nam oddały do dyspozycji. Zaczęliśmy uczyć setki naszych żołnierzy, którzy z powodu wojny nie zdołali ukończyć szkoły średniej. Ciekawe to było “Rzeczpospolita Studencka” (tak to obóz szkolny przezwali sami uczniowie), licząca przeciętnie około 500 osób.

Ciekawi też to byli “Uczniowie” liczący sobie 18 – 50 lat, od zwykłego szeregowca do kapitana, jeśli chodzi o szarżę. Dowódcą tego obozu szkolnego był ppłk. Zimmer, stary legionowy szpak, oryginał, zastygły w swej pruskiej dyscyplinie, który usiłował wprowadzić ją w naszej pracy, co mu się jednak nie udało.

Dyrektorem naszych Kursów Maturalnych był wytrwały pedagog, biolog dr Szela.

Grono liczyło ponad 20 doktorów i magistrów, pedagogów z prawdziwego zdarzenia, których nie zdołały wysłać na tamten świat głupota Andersa i hitlerowskie kule.

W tej “Rzeczpospolitej Studenckiej” panowały stosunki demokratyczne. Grono nie było zależne od pana płk. Zimmera, jeśli chodzi o sprawy dydaktyczne, w klasach lekcyjnych na jednej ławie zasiadali szeregowcy, podoficerowie i oficerowie, którzy “bez względu na szarżę” pełnili dyżury, odpowiadali na lekcjach, wykonywali te same czynności porządkowe. Wśród grona byli ludzie młodszy od swych uczniów wiekiem i niższy stopniem, co nie wpływało jednak zupełnie na ich autorytet nauczycielski. Nauka była skrócona, pracy dużo, zważywszy, że brak było polskich podręczników, które musiały zastępować wykłady profesora, lub napisany przezeń skrypt.

Kursy dawały dyplom tzw. małej i dużej matury.

Stosunki z miejscową ludnością (po przełamaniu pierwszych lodów nieufności) ułożyły się jak najlepiej, zaproszono nas do domów cywilnych, goszczono, karmiono różnymi włoskimi smakołykami, jak: pesche 22/ macheroni 23/ i inne spaghetti 24/, oraz różnego rodzaju verdura 25/, pojono nas, stawiając wino bianco 26/ i rosso 27/, zapraszano na Wigilie i Wielkanoc.

Myśmy się rewanżowali różnego rodzaju konserwami, czekoladami, angielskim ginem 27/ i sokiem grejfrutowym 28/ i whisky 29/ z wodą sodową.

Po kontaktach spożywczo – żołądkowych wytworzyła się więź towarzyska, zaczęła się amore 30/ między naszą kawalerką a czarnookimi signorinami 31/, wreszcie wytworzyły się również kontakty kulturowe, które przejawiały się w chodzeniu uczestniczeniu naszych żołnierzy w

impresach artystycznych, organizowanych przez Włochów, a włoskiej ludności w naszych popularnych porankach artystycznych.

Zaczął kwitnąć i odchodzić handel wzajemny.

A handlowano wszystkim, co się dało: był handel pieniężny i był też wymienny, artykułami zaś tego handlu było rozmaite rzeczy: wino, pomarańcze, ryby, wódka, koce wojskowe, menażki, plecaki, chlebaki, konserwy, słowem niezwykła różnorodność asortymentowa, na wszystko były ceny ustalone, co nie znaczy, że nie odbywały się różne targi i przetargi.

Pamiętam, kiedy już zostałem podporucznikiem (dotychczas uczyłem jako “kapral podchorąży”, co w naszym języku nazywało się “przed porucznikiem”) raz zachciało się nam świeżych, nowych ziemniaków w kasynie oficerskim na obiad. Poszli nasi kucharze na targ i ku naszej radości zakupili duży kosz pięknych kartofli. Jakie jednak było nasze zaskoczenie, kiedy przy wybieraniu ich okazało się, że tylko na wierzchu były ziemniaki, w większości kosz wypełniały piękne dorodne pomarańcze.

Dlaczego?

Bo pomarańcze były tańsze od ziemniaków, podobnie jak wino kosztowało mniej, niż woda sodowa. Codziennie przy kuchni żołnierskiej widziało się długie kolejki Włochów, stojących po fasunek śniadania, obiadu i kolacji, bo w ten sposób odbywało się u nas “dożywianie” zbiedzonych i wygłodniałych po rajach faszystowskim Mussoliniego i panowaniu Hitlera Włochów.

I dobrze nam było z Włochami, a Włochom z nami.

Gdy odjeżdżaliśmy już z Alessano do Anglii na demobilizację, to żegnało nas całe miasto z autentyczną procesją katolicką na czele.

Były płacze, szloch, serdeczne przemówienia, a wśród głosów pożegnania często słyszało się: - Per noi e finita America! - 32/

W międzyczasie skończyła się też wojna, jedna z najstraszliwszych wojen, jaką ludzkość przeżyła, dawno już minął maj 1945 roku. Żołnierze armii alianckiej – Anglicy, Australijczycy, Amerykanie, Nowozelandczycy, Francuzi i inni wyjechali już do swych krajów i rodzin.

A myśmy czekali.

Każdy z nas miał już dość wojny i wojska. Każdy z nas cierpiał na nostalgię z tęsknoty za Ojczyzną, rodziną i bliskimi. Nieraz, gdy doleciała żołnierskiego ucha jakaś znajoma melodia polska, jakaś nuta rodzima, a swojska, to wyciskała łzy z oczu, dławiała gardło, ścisnęła serce. A nasza wielce szanowana Generalicja z Andersem na czele czekała... - Bo to – żołnierze – wojna jeszcze nieskończona. Alianci przygotowują się do wielkiej rozprawy z komunizmem i Związkiem Radzieckim.

W wojnie tej nie morza zabraknąć Polski...

Takimi i innymi bzdurami karmiła żołnierzy naszych oficjalna, głupia i krótkowzroczna propaganda tych, którzy żerowali na patriotyzmie żołnierskich mas, robiąc wrogą, antynarodową politykę, bojąc się powrotu do ludowej Polski, tych “ostatnich z Siekierzyńskich” i “ostatnich Mochikanów” płytkiej, ubogiej i małej polityki sanacyjnej matadorów i entuzjastów burżuazji.

A żołnierz rwał się do kraju.

Marzył on, że po tylu latach tułaczki i walki wejdzie do Kraju ojczystego z bronią w rękę, jak na bohaterów spod Monte Cassino, Ancony i Bolonii przystało.

Tymczasem “wodzowie” zgotowali mu na ogół smutny los. Dlatego radość opanowała masy żołnierskie, gdy przyszła wieść, że jedziemy do Anglii, gdzie nastąpi demobilizacja i możliwość wyjazdu do kraju.

Nadszedł wreszcie ów dzień.

Jesienią 1946 roku wsiedliśmy w Lecce na okręty, by przez morze Śródziemne, cieśniną

Gibraltarską, ocean Atlantycki udać się do Anglii.

W czasie dość długiej podróży oddaliśmy hołd gen. Sikorskiemu w miejscu jego tragicznego końca. Opuszczaliśmy gościnną – słoneczną Italię, aby zawitać do mglistego Albionu.

7. W Wielkiej Brytanii

Wielka Brytania przyjęła nas oczywiście mgłą gęstą, mokra... Uczeni bowiem, geografowie obliczyli, że w ogóle w całym roku jest tutaj zaledwie 50 dni słonecznych, a poza nimi ciągle pochmurno, deszczowo i mglisto.

Przyjemny klimacik! Nie ma co!

Ale nie tylko klimacik, bo i mieszkańcy też nie więcej sympatyczni. Wkrótce zaczęła się demobilizacja wojsk polskich. Po oddaniu broni i amunicji zostaliśmy w mundurach, a jako “natchnienie narodu” (tak o nas często mówił sam “pan z cygarem”, Churchill), w dowód wielkiego oddania oddano nam na mieszkanie baraki po jeńcach hitlerowskich.

Ja jeszcze uczyłem na kursach maturalnych, oczywiście, także w owych barakach i “beczkach śmiechu”^{33/} się gnieźdzących. Po demobilizacji i otrzymaniu z kasy Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości za polskie złoto/ odprawy w funtach szterlingach zaczęło się ogólne “nieróbstwo”, co tak trafnie Włosi zwykli nazywać “dolce farniente”^{34/}, a Polacy “leżeniem do góry brzuchem”.

Ale nie tylko zaczęło się “słodkie nieróbstwo”, bo również rozpoczęła się wielka sprzedaż “żywego towaru”, wielkie targowiska na duszę i ciała zdemobilizowanych żołnierzy. Przede wszystkim przestrzegano przed powrotem do kraju, gdzie “komunistyczny rząd warszawski” wysyła reemigrantów na “białe niedźwiedzie”, poza tym zachęcano do pozostania w Anglii, lub do wyjazdu w różne strony i części świata: do USA, Ameryki Łacińskiej, Kanady, Australii i innych krajów. Kanada na przykład, a zwłaszcza jej obywatele ukraińskiego pochodzenia, chętnie by widziała jako parobków na gospodarstwach rolnych naszych zdemobilizowanych żołnierzy. Jednakże masa żołnierzy nie dała się (w swej ogromnej większości) nabrać na owe “nęcające” wyjazdy, do czego przyczynił się też sam stosunek Anglików do nas. Ci “Ubermensch”^{35/} w wydaniu angielskim na każdym bowiem kroku dawali odczuć, że jesteśmy elementem u nich obcym, niepotrzebnym, zawadzającym; nasi lekarze np. nie mieli prawa leczyć Anglików, tylko Polaków, nasi inżynierowie, doktorzy i inne magistry musieli pracować w fabrykach angielskich jako zwykli robotnicy.

To wszystko wykurzyło starych wiarusów z II wojny, psioczyli na kolanach angielskich aliantów, szukali z nimi zwad i często dochodziło do zwykłego “mordobicia” angielskich “nadludzi” i wczorajszych sprzymierzeńców.

Ale to wszystko przyspieszyło również inne, bardzo pozytywne zjawisko, którym było masowe zgłaszanie się w konsulacie polskim (przepraszam “warszawskim”) na powrót do kraju.

Ale z tym zgłaszaniem się na powrót do kraju było różnie. Przede wszystkim na takiego, który się zgłaszał na powrót do Polski, rzucano “narodową ekskomunikę” (zwłaszcza jeśli był oficerem) i jako “komunistę i bolszewika” usuwano jak gangrenę z obozu pozostających w gestii dowództwa II Korpusu, a komasowano w odrębnych innych obozach, już będących pod opieką “rządu warszawskiego”.

Zgłoszenia na powrót do Kraju były tak masowe, że czasami i pół roku trzeba było czekać na

swoją kolejkę i miejsce na okręcie. Jeśli ktoś chciał dostać się wcześniej na okręt i prędzej wrócić do Kraju, musiał skombinować jakieś przestępstwo (np. ukraść i sprzedać koce z magazynu wojskowego lub uskutecznić “mordoplastykę” jakiemuś angielskiemu obywatelowi): wtedy po osadzeniu wydawano wyrok, w którym się mówiło, że... “z powodu popełnionego przestępstwa za karę należy delikwenta ciupasem odtransportować do Polski”. Sporo było takich żołnierzy, którzy w ten sposób wcześniej wyjechali do Kraju.

Ja jednak na wyjazd do Polski miałem czekać sześć miesięcy...

8. Wojna na wesoło

Był to przełom roku 1946/47. Mając sporo czasu do wyjazdu, mogłem wiele rozmyślać nad losem polskiego żołnierza i swoim, snuć wspomnienia ze siedmioletniej tułaczki, wspomnienia nie tylko poważne, ale i wesołe.

Wojna bowiem to nie tylko walka, przelew krwi, różne mniej lub więcej tragiczne i poważne zdarzenia, ale to również okres, w którym powstają sytuacje humorystyczne.

Kornel Makuszyński mówi, że żołnierz to takie stworzenie, co się tylko “nie je, nie pije, chodzi i bije”, ale to również człowiek, który kocha dzieci, dziewczęta, wino, piosenki i żarty.

Z mojej siedmioletniej “drogi do polski” przez Związek Radziecki, Iran, Irak, Palestynę, Syrie, Liban, Egipt, Włochy i Anglię, pamiętam wiele spraw również wesołych, z których warto się pośmiać, by zapomnieć o grozie wojennych lat.

Było to w obozie ćwiczebnym na pustyni irackiej.

Niedziela. W namiocie naszym śpi starszy strzelec, a reszta wyszła gdzieś na przepustkę. Prócz niego w namiocie znajduje się jeszcze inny szeregowiec, który nie śpi. Do namiotu wchodzi oficer inspekcyjny, żołnierz wstaje, staje na baczność i zamiast meldować oficerowi o stanie liczebnym drużyny mówi szeptem:

- Pst ... panie poruczniku, starszy strzelec śpią!...

Starszy strzelec bowiem okazał się dlań większą “szarżą” niż oficer ...

... W wojsku obowiązuje po wypowiedzi oficera odpowiedź żołnierza “tak jest, panie poruczniku”.

Do namiotu wpadł zły jak cholera porucznik i krzyczy:

- Co wy sobie myślicie, ofiermy, że ja jestem świnia?

- Tak jest, panie poruczniku – odpowiada wiara.

- Jak wy się do mnie odzywacie? Myślicie, że ja z wami świnie pasłem? - tak jest, panie poruczniku, - odpowiadają żołnierze.

Wkrótce po tym i podobnych wpadkach wyszedł rozkaz dowództwa, który znosił “tak jest”, a w miejsce tego wprowadzał inny frazes a mianowicie “rozkaz, panie”...

W Palestynie wyszło nas trzech podchorążych na kurs maskowania. Kurs ukończyliśmy z wynikiem bardzo dobrym. W drodze powrotnej jednak zamiast wprost wrócić do oddziału, wdepnęliśmy do Jerozolimy. Była piękna wiosna, czas akurat żydowskich świąt paschalnych. Na ulicy zaczepił nas jakiś elegancki pan, który najczystszą polszczyzną zaprosił nas do siebie na święta. Spędziliśmy u niego trzy dni. Po powrocie do batalionu raport karny.

Dowódca, major, tak do nas przemówił:

- za to, żeście skończyli kurs i tak wspaniale zamaskowali się po nim, co mam, to dam ...
i ... wlepił nam 5 dni koszarniaka ...

... W Afryce, nad morzem stoi żołnierz polski i pałac papierosa, patrzy w przysłowiową “siną dal”. Na rękawie zaś munduru nie ma naszywki z wyrazem “Poland” 36/. W pewnej chwili przystępuje doń żołnierz angielski, a nie widząc żadnej naszywki i nie mogąc rozpoznać narodowości, pyta się;

- Polisch 37/

a na to nasz wojak odpowiada:

- Nie widzisz, przeca, że kurza ...

Żołnierz był Ślązak.

I tak to porozumieli się ... alianci ...

Żar leje się z nieba. Na plaży we Włoszech ścisk. Ludzie różnej płci i narodowości, spaleni na czekoladę, kąpią się w spokojnych falach morza śródziemnego. W dali od brzegu dwaj młodzi ludzie płyną, a płynąc, taką toczą ze sobą rozmowę, oczywiście po włosku ...

- Yy ... mare e buono ... 38/ y..y..y... bello 39/ ...y..y..y.. solo y ...y...y... mare e bello y...y..y... solo y ...y...y.. buono y....y...y... - stękając przeraźliwie, dukając odpowiada drugi. Wreszcie jeden z nich pyta: - Voi siete pollaco? 41/

- si, io sono Pollaco 42 odpowiada zapytany.

- To dlaczego, do jasnej cholery, mówisz do mnie po włosku? – krzyczy na to pierwszy.

Tak to męczyli się w pięknej Italii nasi rodacy ...

... Pamiętam, że w czasie naszego pobytu w Rosji, w Uzbekistanie, zachciało się koledze podchorążemu urządzić swoje imieniny i zaprosić na nie dowódcę baonu. Wszystko na tę ucztę miał: t napoje wysokowe, i ciastka, nie ciastka inne delikatesy. Gorzej było z mięsiwem. Ale pewien kapral, kucharz doskonały baonu, przyrzekł, że o mięso się sam postara. Na imieniny przyszłe sam dowódca batalionu i koledzy. Dowódca, podpiwszy, nie mógł się nachwalić wspaniałej pieczeni i zapytał kucharza, z czego przyrządził tak smaczną pieczeń. A kapral, również podпиты, odpowiada najspokojniej:

- melduję, panie majorze, że to z psa pana majora...

Dopiero wtedy zrozumieliśmy, co się stało z psem naszego dowódcy, pięknym, tłustym wilczurem, który kilka dni temu przepadł gdzieś, a którego z rozkazu majora, rozciągnięci w bojowej tyralierze bezskutecznie szukaliśmy po okolicznych polach i lasach.

Uczta skończyła się na tym, że pan major nie oddał kaprala do raportu, ale oddał... pieczeń z własnego psa ...

... Pamiętam również, jak to w Alessano, w obozie szkolnym, żołnierze na Boże Narodzenie podpiwszy, zaczęli w nocy “szumieć” i “rozrabiać”, biegając po ulicach i pałac na wiwat nowo narodzonej Dzieciny Bożej.

Pan ppłk. Zimmer zaś biegał za nimi po krętych ulicach i ślepych zaułkach, a oni z za węglów domów i uliczek wąskich bawili się z nim w... ciuciubabkę, wołając z różnych stron: A, kuku!... a, kuku!...

Nikogo – rzecz jasna – nie zdołał zidentyfikować pan podpułkownik...

... Opowiadał mi pewien sierżant, że w jak to w Alessano w jednej restauracji doszło do draki z Włochami. Włochów było kilkunastu, a on był sam, a na domiar złego, nie miał przy sobie

żadnej broni. Sięga nagle do tylnej kieszeni, wyciąga “broń” i wszystkich Włochów przyprowadził na naszą wartownię. Tą bronią okazał się duży klucz od bramy mieszkania, w którym sierżant kwaterował.

Co to znaczy przytomność umysłu...

... Włoscy żołnierze, których kompania była w wojsku alianckim zwykle się przechwalali ze swojej odwagi, mówiąc: - Noi sempre avanti 43/. Wypowiadając te słowa, równocześnie odwracali czapki swe daszkami na tył głowy...

... Niemieckie radio nazwało nas II Korpus “turystyczna armia gen. Andersa”. Kiedy chcieliśmy się dowiedzieć, gdzie z kolei armia nasza wyjedzie, to tylko słuchaliśmy audycji tego radia, które bardzo dobrze i dokładnie określało, dokąd znowu wyruszy nasza “turystyczna armia”. Były to chyba jedyne słowa zgodne z prawdą, jakie hitlerowcy wypowiedzieli w czasie całej II Wojny Światowej...

... W miasteczku Mottola, leżącym na pięknym zniesieniu, znajdowała się kwatera gen. Przewłockiego. Był to ziemianin z kresów, który zakończył carską “szkołę paziów” i w wojsku rosyjskim dochrapał się rangi oficera, a w sanacji generała. Człowiek ten był bardzo lubiany przez prostych żołnierzy, a dla oficerów bywał przestraszonym w czasie inspekcji.

Razu jednego do świetlicy baonowej, w której ćwiczyłem z żołnierzami pieśni, (było to już po kampanii włoskiej) po polsku (niezbyt dobrze, bowiem władał językiem ojczystym, często wplątując do niego wyrazy rosyjskie).

- Nu, tak chłopcy, zapiećcie 44/ tę znaną polską piosenkę 45/ ...y...y...y... Boże, coś Boże... Nie. Już wiem... Boże, caria chrani 46/...

Tę ostatnią bowiem pieśń – hymn carski – lepiej pamiętał niż naszą “Boże coś Polskę” ...

... Tenże sam generał, którego nazywano “Iwan z Mottoli”, przedstawiał do raportu karnego pewnego podchorążego, który miał brudną kupkę od pasa. Na raporcie generała pyta go:

- Nu, podchorąży, tak czemu mu was była brudna priaszka? 47/

A na to podchorąży:

- Panie generale, nie rozumiem po rosyjsku! Proszę do mnie mówić po polsku!

Generał najpierw się rzucił i ciskał, krzyczał, a wreszcie dał za wygraną i... puścił wolno podchorążego, sam się szczerze uśmiewając ... Rozumiał się chłop na żartach. Ale od tej chwili żołnierze nazwali go “genierał 48/ Priaszka” ...

... Pomnę, jak ten generał przyjechał do Alessano do szkoły wojskowej i był przyjmowany w naszym kasynie oficerskim obiadem. Siedząc przy stole w kasynie mógł podziwiać na ścianie vis a vis wymalowaną na górze Motellę, a nad nią unoszącego się w powietrzu srogiego lwa z głową generała Przywłockiego. Lew zaś miał na sobie pas, z którego kupli czyli... “Piriaszki” rozchodził się wielki snop promieni...

Śmiał się do rozpuku.

Naprawdę, ten pół Polak, a pół Rosjanin znał się na żartach ...

... Żołnierze nasi, mając trudności w nazywaniu włoskich miast i miejscowości, ułatwiali sobie ich odczytywanie przez nadawanie im brzmienia polskiego.

I tak np. na górze w pobliżu miasta Alessano stała campagna 49/ włoska, którą swego czasu założył Grek nazwiskiem Sardo: stąd osada ta nosiła nazwę Monte Sardo 50/. Uczniowie nasi nazwali ją dla uproszczenia “Santa Morda”, to niby... “Święta Morda”.

Albo szpital polowy leżał pod miastem Casa Massima, które to miasto przechrzczono na polskie ... “Kasia ma syna”.

No trudno. Trzeba było sobie jakoś życie ułatwiać...

... Był u nas w wojsku sierżant Szczepański, który lubił w czasie odprawy warty długo, nudnie, zawile i w stylu biblijnym przemawiać. Razu pewnego tak kończył swoją mowę:

- Pójdziemy niebawem na front. Pokonamy niemieckie hordy. I po wielu latach tułaczki wrócimy jako zwycięzcy do ojczyzny...

A na to w szeregu wartowników odezwał się głos:

- Amen!

Za ten modlitewny wyraz dostałem tylko 3 dni aresztu... A sierżant miano: "sierżant Szczepański, kaznodzieja Pański"...

... W Rosji wyruszaliśmy na wielodniowe manewry na przełęcz Samarkandzką.

Przed wymarszem, na odprawie kompanii ciężkich karabinów maszynowych przedwojennych oficer tak kończył swe gadanie:

- Musicie uważnie uważać na sprzęt wojskowy, by nie zgubić żadnego. Dla mnie ważniejszy jest hełm niż żołnierz. A z kompanii, jakby się wszyscy umówili, rozległ się głos:

- Fuuj...!

- Jeśli się komuś nie podoba moje gadanie, wystąp!

Jak na komendę cała kompania wystąpiła do przodu...

- raz, dwa, trzy...

Oficer się cofnął.

Przez kilka dni dowódca Szkoły Podchorążych przyjmował raport. Każdy wstawał przed nim i składał zażalenie na porucznika. A było nas 180 ludzi.

Za kilka dni po raporcie gdzieś zniknął pan porucznik. I nie widzieliśmy go już nigdy ...

... Po wejściu wojsk alianckich (więc i naszych) do Rzymu odbyła się w Wiecznym Mieście wielka defilada wojsk sprzymierzonych. Wkrótce potem dowiedzieliśmy się, że gen. Anders otrzymał bardzo wysokie odznaczenie angielskie za Monte Cassino, a mianowicie "Order Łażni". Brać żołnierska po tym fakcie zaczęła mówić, że właściwie to myśmy dostali "łażnię", a Anders... order ...

Kiedy Melchior Wańkowicz wyraził chęć napisania książki o Monte Cassino i za to otrzymał z góry sporo funtów szterlingów a conto, żołnierze mówili:

- to nie gen. Anders zwyciężył pod Monte Cassino, w ... Wańkowicz! Kto właściwie zwyciężył pod Monte Cassino? Anders czy Wańkowicz?

Myślę, że czyn zbiorowy tysięcy prostych żołnierzy ...

... tak to żartował żołnierz polski w II wojnie światowej w myśl znanej zasady: "choć gołe, ale wesołe", ... choć wojna, ale humor na wojnie jest jak cukier, który ... krzepi. Tymczasem czas w Anglii mijał. Miesiąc leciał za miesiącem. Zbliżał się dzień mojego powrotu do Kraju ...

9. Idziemy do ciebie...

Morze było spokojne, odbijając w swych falach jasne promienie majowego słońca, które drgającymi plamami igrało po tafli morskiej.

Był maj 1947 roku.

Na okręcie wracało do kraju po latach tułaczki przeszło 3000 żołnierzy polskich. Jechali wprawdzie w mundurach i z odznaczeniami na piersiach, ale bez broni. A tak przecież marzyli o zbrojnym powrocie do ojczyzny, za którą i o która tyle walczyli. Niestety, głupia polityka dowódców, ich egoizm i walka o władzę dowództwa sprawiły, że teraz wracamy bez broni, na

wpół cywile, nie jak zwycięzcy, ale raczej jak reemigranci zwykli, tylko że w wojskowych mundurach.

Nic więc dziwnego, że gorycz zalewa ich gorące miłości do Kraju pełne, proste serca żołnierskie. Pogoda była prześliczna, a każda godzina każda minuta zbliżały ich wreszcie do upragnionego Kraju ojczystego, za którym tyle lat, tyle dni i nocy tęsknili, o którym śnili w obcych, dalekich ziemiach. Wszystko to napełniało dusze ich radością i nadzieją, że za kilka dni już ujrzą ojczysty brzeg, rodziny swe i najbliższych, bez których tak im było źle, samotnie i boleśnie.

Ponieważ pogoda była cudna, brać żołnierska wylezła na pokład, by tęsknie spoglądać na horyzont, za którym wkrótce miał się ukazać wy tęskniony przez nich kraj...

Rozmowom i wspominkom nie było końca.

Byłem też wśród nich, siedziałem i czytałem utwór, który mi się dostał do rąk. Były to wspomnienia z Oświęcimia Zofii Kossak-Szcuckiej pt. "Z otchłani".

Na morzu było ślicznie, jasno i słonecznie, a mnie się zdawało, czytając tę książkę, że znowu nastąpiła noc ciemna z nienawistną gębą hitlerowców, którzy mordowali nas w obozach śmierci. Przed oczyma mojej wyobraźni przewijały się wprost makabryczne grozy pełne i tragicznych obrazy przeżyć Polaków w Oświęcimiu. I wobec tej świętej martyrologii milionów ludzi w obozie oświęcimskim i wobec ich nieludzkich męczarni zbladły mi nasze przeżycia, nasze wysiłki wojenne i nasz wojskowy trud. Od książki tej nie mogłem się oderwać, a równocześnie skóra na mnie cierpła i ciarki chodziły po grzbiecie, gdy czytałem o barbarzyńskich torturach i mękach ludzi, o ich gehennie, i otchłani piekielnej ich cierpień.

Na szczęście wojna była skończona, a myśmy się zbliżali do polski. I ta niewypowiedziana radość wzięła górę nad minioną wojną i jej koszmarem, a w sercu zagościła nadzieja rychłego zobaczenia Ojczyzny i najbliższych i to uczucie aż rozpierało nam piersi. Przez cały czas podróży towarzyszyła nam piękna pogoda.

Piątego dnia powiedziano nam, że dziś zawiniemy do portu polskiego do Wrzeszcza. Wszyscy wyszli na pokład. Głowa przy głowie. Serca biją niespokojnie. Oczy zachodzą mgłą łez. I kiedy niebawem ujrzeliśmy kontury lądu, zarys polskiego brzegu, przyszedł mi na myśl przepiękne słowa M. Konopnickiej z jej poematu pt. "Pan Balcer w Brazylii".

Idziemy do ciebie, ziemio, matko nasza,
coś z pierwotnej zrodziła się gliny,
Idziemy do ciebie, rzesza twoja ptasza,
powracające do gniazd swoich syny.

Kolbuszowa, 6 marca.

Michał Czartoryski.

Objaśnienia:

1. Piękne Włochy
2. Italiani – Włosi
3. parujących – mówiących
4. signorinami – czyt. siniorinami – pannami
5. amore – miłość
6. buono vino bianco e rosso – dobre wino białe i czerwone
7. arancia – czyt. aranczia – pomarańcze
8. campagna – czyt. kampania – wieś
9. aqua – czyt. akwa – woda
10. w tłum. Nie, ja nie mogę dać wody. Dla nas bóg stozył wino, a wodę dla zwierząt
11. Belle signorine – czyt. belle signorine – piękne panny
12. bella signorina – piękna pani
13. cara – czyt. Kara – droga
14. piccolina – czyt. pikolina – małeńka
15. amore – miłość
16. inferno – piekło
17. die grunen Teufel – zielony diabeł
18. carnavalle – czyt. karnawale – karnawał
19. Santa Lucia – święta Łucja
20. Lecce – czyt. lecze
21. Giowani – czyt. Dziowanni
22. pesche – czyt. pesze – ryby
23. maccheroni – czyt. makeroni – makaron
24. spaghetti – czyt. spageti – długi, cienki makaron
25. Verdura – zielenizna
26. wino białe i czerwone
27. gin – czyt. dżin - gatunek angielskiej wódki
28. grejfrut – skrzyżowanie cytryny z pomarańczęm
29. whisky – gatunek wódki angielskiej
30. amore – miłość
31. pannami
32. Per noi e finite America – dla nas skończyła się Ameryka
33. beczki śmiechu – baraki, zbudowane na murowanych fundamentach, a których dach i boczne ściany w kształcie beczek pokrywała gufrowana blacha
34. “dolce far niente” - słodkie robić nic
35. Uermensche – nadludzie
36. Poland – Polska
37. Polisch – Polak
38. mare e buono – morze jest dobre
39. bella – piękne
40. voi siete Polaco – czy pan jest Polakiem
41. Si, io sono Polacco – jestem Polakiem
42. Noi sempre avanti – my zawsze naprzód
43. zapiejte: - zaśpiewajcie
44. pieśniczkę – piosenkę
45. Boże caria chrani – Boże chroń cara

- 46.Priaszka – kupła w pasie
- 47.genierał – generał
- 48.campagna – wieś
- 49.Monte Sadra – góra Sardo

Wyk. Sp. "Tekst", Al. Ujazd. 26
U-1159/300/II-P-50